PLUM SYKES
DEBI UTANTKI Z PARK AVENUE

z angielskiego przełożyła RENATA KOPCZEWSKA

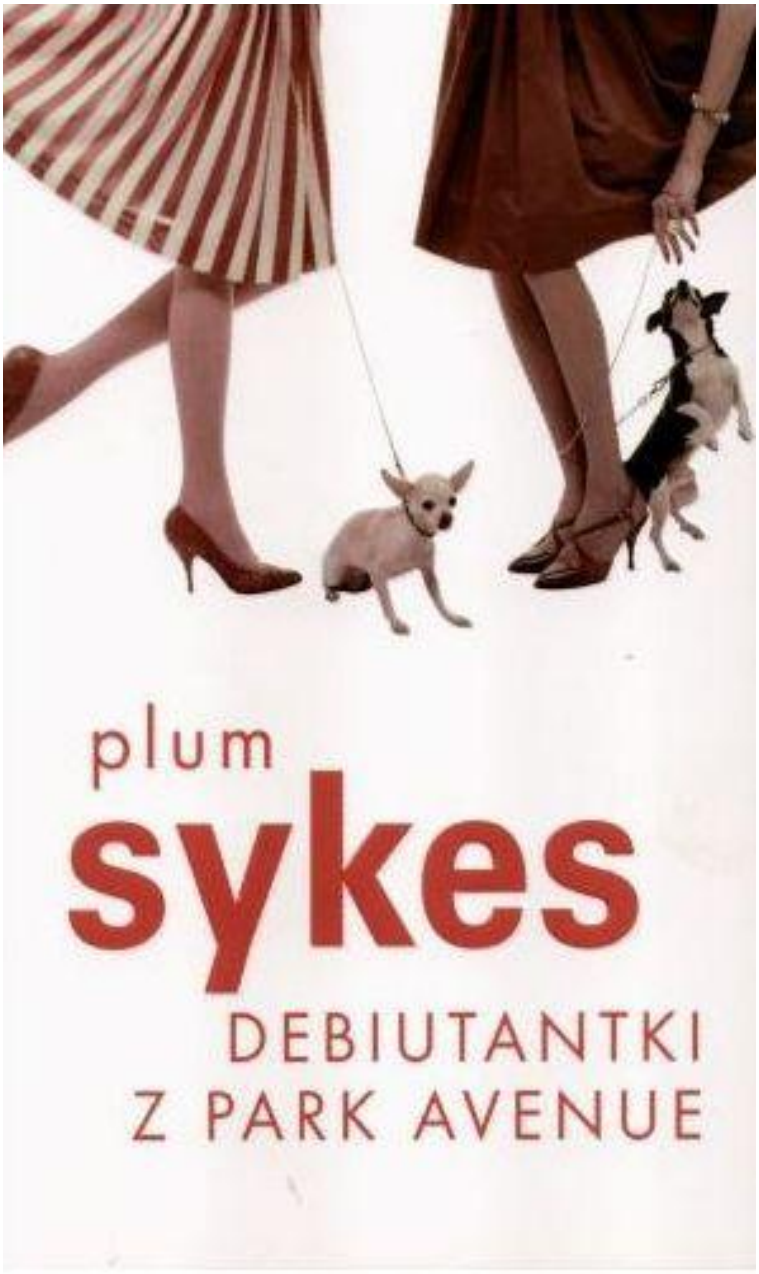

TLR

Dla Toby'ego.

1

ETAP POZBYWANIA SIĘ MĘŻA

*

Tak się teraz dzieje, że dziewczyny z Nowego Jorku, gdy tylko wyjdą za mąż, natychmiast szukają sposobu, by pozbyć się męża. Wkładają w to nie mniej wysiłku niż jeszcze niedawno w poszukiwania odpowiedniego kandydata. I zdarza się wcale nierzadko, że udaje im się zgubić młodego małżonka już w pierwszych dniach miodowego miesiąca. Szczególnie niebezpieczne pod tym względem są miejsca takie jak Capri albo Harbour Island, gdzie trzeba wybierać między atrakcyjnością towarzystwa wylegającego na plażę z samego rana a koniecznością zarezerwowania sobie miejsca w pierwszym rzędzie na pokazie mody Valentino. Niektórych mężów, jak choćby Jamiego Bellangere'a, udaje się zgubić już na lotnisku w Barbadosie, miejscu, w którym życie towarzyskie aż kipi, co stwarza poważne zagrożenie dla młodych par będących nawet i rok po ślubie. Dwudziestoszścioipółletnia była pani Bellangere'owa po prostu zapomniała — to jasne! — zabrać Jamiego do hotelowego auta, co ma przemawiać na jej korzyść. Recepcjonistka z Sandy Lane zadzwoniła do niej z wiadomością od Douglasa Blunkettsa, że czekają na nią z kolacją o ósmej wieczorem na jego łajbie (tak Blunketts nazywał swój jacht długości czterdziestu pięciu metrów, noszący oficjalną nazwę *Private Lives).* Tymczasem nieduże lądowisko na wyspie Mustique okazuje się jeszcze bardziej zabójcze niż sam Barbados, tam przysięgi małżeńskie ulatują z pamięci panny młodej jeszcze zanim jej bagaż pojawi się na bambusowym taśmociągu. Powodem jest zazwyczaj zaproszenie na obiad od Micka Jaggera, które dociera do niej z chwilą lądowania samolotu.

*

Społeczny skład i towarzyski przekrój ludzi przebywających w meksykańskim Careyes, oferującym egzotyczne atrakcje, sprawiają, że nie ma lepszego miejsca niż to na spędzenie „miodowego miesiąca dla rozwiedzionych". Wakacje pełne erotycznych ekscesów to nowy, ale już obowiązujący przywilej dla *debutante*

divorcées, czyli świeżo rozwiedzionych dziewczyn z nowojorskiego towarzystwa. Okres ten należy spędzać w beztroskiej, podnoszącej na duchu atmosferze, w okolicy oferującej piękne widoki, z mnóstwem siłowni, sal gimnastycznych i gabinetów akupunktury, gdzie prowadzi się konwersacje lekkie jak piórko. Poruszane tematy to: „Dokąd dziś dopłynęłaś?" „Byłaś już na wyspie?", „Jak myślicie, czy mogę pójść na kolację w białych dżinsach?" albo: „Czy zostałaś zaproszona do Goldsmithów na sylwestra?". Codziennie odbywa się tyle przyjęć, że wprost nie sposób zostać w domu, chyba że jest się akurat osobą urządzającą imprezę. Praktycznie wszyscy są zawsze na rauszu, bo jedyne, co pije się przez cały czas, to sprzyjająca bliższym kontaktom mieszanka piwa, lemoniady i tequili. Szczerze mówiąc, Careyes stanowi idealne miejsce dla uroczej rozwódki nowicjuszki, ponieważ tutaj może ona, jeśli tylko zapragnie, kochać się codziennie z innym menadżerem funduszów inwestycyjnych...

*

Lauren Blount poznałam na plaży w Święto Pracy. Wiecie, jak to jest w Careyes. Wystarczy pięć minut, żeby się zaprzyjaźnić z kimś, kto nosi taki sam kostium bikini od Pucciego. Lauren od tygodnia spędzała tu swój miodowy miesiąc rozwodowy i w ciągu jednej chwili opowiedziała mi wszystko o sobie. Co wcale nie znaczy, że musiałyśmy się przedtem znać.

— Właściwie to był uroczy dzień, kiedy brałam rozwód — powiedziała Lauren, rzucając mi spojrzenie spod szerokiego ronda czarnego plażowego kapelusza, który wyjęła z przepastnej torby płóciennej od Hermesa. — Jak ci się podoba ten kapelusz? Yves Saint Laurent podarował go mojej mamie w 1972 roku.

— Genialny — przyznałam.

Lauren prezentowała się na plaży wyjątkowo szykownie. Jej zwinne drobne ciało pokrywała opalenizna o kakaowym odcieniu, stanowiąca idealne tło dla bikini *bandeau* w geometryczne turkusowe i czekoladowe wzory. Wypielęgnowane paznokcie stóp miała pomalowane na delikatny różowy kolor, a czarne loki, lśniące jak ziarnka kawy, falami spływały na ramiona i zamiatały piasek przy każdym poruszeniu głową. Z delikatnej szyi zwieszało się sześć sznurów drobnych perełek, jej ręce zaś zdobiły trzy złote kółka bransoletek kupionych na suku

w Marrakeszu.

— Mama by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że noszę jej perły na plaży — powiedziała Lauren, podchwytując moje spojrzenie. — Morska woda bardzo im szkodzi. Ale dziś rano obudziłam się w nastroju *Czuła jest noc,* musiałam je więc założyć. Styl lat dwudziestych, Riwiera, dla mnie to jest to. A dla ciebie?

— Też go uwielbiam — zgodziłam się.

— Ależ gorąco, Matko święta. I za dużo tu ludzi. — westchnęła Lauren, lustrując wzrokiem Playa Rosa. Na plaży doliczyłam się najwyżej trzech osób. — Może wstąpisz do mnie do domu, co?

— Z przyjemnością— odrzekłam, podnosząc się z leżaka.

— Zjemy sobie lunch i będziemy się byczyć przez całe popołudnie. Nasza Casa ma boski dolny salon, jest naprawdę nieziemski — powiedziała, zbierając swoje rzeczy do przepastnej torby i wsuwając stopy w złote sandałki.

*

Wiadomo, że w Careyes, jeśli się nie ma dolnego salonu, to człowiek nie liczy się w towarzystwie. Bez tego pies z kulawą nogą do ciebie nie zajrzy. Taki salon z jednej strony musi dawać cień, rzucany przez daszek z nienagannie położoną strzechą, z drugiej zaś — być otwarty na lekką bryzę idącą od oceanu, nawet jeśli mauretańskie antyki miałyby ucierpieć od morskiego słonego powietrza.

Casa Papa, jak Lauren nazywała dom swojego ojca, to spalony słońcem meksykański zamek, otoczony błękitnym basenem niczym fosą. Kiedy przyszłyśmy, Lauren poprowadziła mnie przez cały dom aż do dolnego salonu. W tej samej chwili pojawiła się pokojówka ubrana w szeleszczący mundurek w biało-niebieskie paski (bardziej pasowałaby do domu na Upper East Side), trzymając w rękach szyfonową sukienkę w turkusowym kolorze, którą Lauren włożyła wprost na bikini. Chwilę potem nadeszła druga służąca,

niosąc na tacy świeżo przyrządzone quesadillas i guacamole, szklane talerzyki i cukierkoworóżowe serwetki.

— Och, dziękuję ci, Mario — powiedziała Lauren. — *Puede hacer nos el favor de traer dos limonadas heladas*?

— *Si, señorita* — skinęła głową Maria.

Zakrzątnęła się zaraz przy nakrywaniu stoliczka z laki, poczym zniknęła w poszukiwaniu lemoniady.

— Jezu, jak przyjemnie — westchnęłam, rzucając torbę na podłogę i zapadając się w miękkiej kanapie, podczas gdy Lauren zwinęła się w kłębek w wiklinowym foteliku. Na środku pokoju ogromny czerwonawy pień kaktusa *candelabro* strzelał do samego sufitu. Z miejsca, gdzie siedziałyśmy, można było dostrzec drobną postać opalającą się na tarasie domu naprzeciwko.

— To moja kuzynka, Tinsley Bellangere — wyjaśniła Lauren, lekko się krzywiąc. — Nie do wiary, jak ona może tak smażyć się na słońcu, przecież to niebezpieczne w takim upale. Zwłaszcza że wszyscy w jej rodzinie umierają na raka skóry! A do tego laserem wywabiła sobie piegi. Tinsley też spędza tu swój rozwodowy miesiąc miodowy, z czego się nawet cieszę. Nazywam ją Panna Chwilowa Mężatka. Była żoną Jamiego przez niespełna trzy dni, co można uznać za swojego rodzaju rekord, no nie? A propos, chcesz jeszcze posłuchać o dniu mojego rozwodu?

— No pewnie — przytaknęłam. Kto by nie chciał? Czy może być coś lepszego niż wysłuchanie opowieści o życiu miłosnym koleżanki, co sprawia, że trzy godziny mijają tak szybko, jakby to były trzy sekundy?

— Już mam podpisane wszystkie papiery rozwodowe. Chyba od tego czasu upłynęły ze trzy tygodnie. Najważniejszy problem w całym rozwodzie stanowił pies, Boo Boo. W końcu ja go dostałam. Ale trwało to całe miesiące.

W każdym razie postanowiłam uczcić ten dzień razem z Miltonem Holmesem, naszym rodzinnym dekoratorem wnętrz, a przy okazji moim przyjacielem... powiedzmy, że do pewnego stopnia. Milton miał bzika na punkcie pójścia do prywatnego gabinetu w Harry's Downtown, mimo że o tej porze lata, dwunastego sierpnia, nie powinno tam być żywej duszy. Ubrałam się na czarno od stóp do

głów, założyłam postrzępione lanviny, we włosach miałam klamrę z kości słoniowej odziedziczoną po prababci. Uważałam, że tak będzie super, ale teraz, gdy o tym pomyślę, to wydaje mi się, że byłam ubrana jak na pogrzeb... O, dziękuję ci, Mario — zwróciła się do Marii, która wniosła dzban z mrożoną lemoniadą i dwie wysokie szklanki. — Przepraszam. O rany, czuję, że muszę zapalić.

Lauren sięgnęła do torby, skąd wyciągnęła etui z krokodylej skóry, nie większe od oprawki szminki. Wewnątrz wyłożonego srebrem puzderka znajdowały się dwa marlboro ultra light. Zapaliła jednego papierosa, po czym odłożyła go na brzeg popielniczki i tak już zostawiła.

— No więc siedzimy tak, ja, z daleka wyglądająca na świeżą rozwódkę, i Milton, który aż się trzęsie, by pójść na górę, podczas gdy ja doskonale wiedziałam, że tam nie ma nikogo, no, może tylko Beyonce albo Lindsay Lohan czy jakaś inna dziewczyna, którymi wszyscy natychmiast się nudzą, tak że one się nie liczą. Chociaż, prawdę mówiąc, od nowa polubiłam Lindsay Lohan. Nawet chciałabym być Lindsay Lohan, a ty?

Lauren zamilkła, wyraźnie oczekując ode mnie odpowiedzi. Zrozumiałam, że to było poważne pytanie.

—Czy ja wiem? Bycie codziennie Lindsay Lohan mogłoby okazać się męczące — zaryzykowałam. Już samo tak częste zmienianie okularów przeciwsłonecznych może się wydać torturą.

—Lubię zwracać na siebie uwagę. Tak czy owak to była dygresja. No więc ja i Milton poszliśmy w końcu na górę, zaczęłam zamawiać jedną truskawkową teąuilę za drugą... — W tym miejscu Lauren przerwała, by rozejrzeć się wokół, iakby upewniając się, czy nikt nas nie słyszy, po czym wyszeptała: — Następne, co zapamiętałam z tego wieczoru, to że zupełnie obcy gość kazał podać do naszego stolika szampana z dobrego rocznika.

—Kto to był? — zapytałam.

— Nie uwierzysz. To był Sanford Berman.

Zatkało mnie.

— Nie mów...

—Dokładnie on. Właśnie zamierzał uczcić uruchomienie swojego trzeciego

przedsiębiorstwa albo coś równie zwariowanego, nie mam pojęcia, co to było, bo przestałam zaglądać do gazet, aby nie czytać o własnym rozwodzie. Milton oszalał z wrażenia, Sanford jest jego największym idolem. Bo — jak mówi Milton — wszyscy myślą, że Rupert Murdoch to potentat, ale Sanford kupił Ruperta Murdocha.

Komórka Lauren zaczęła dzwonić, Lauren wzięła ją do ręki i wyłączyła.

— To on. Zawsze do mnie dzwoni — wyjaśniła zblazowanym tonem.

— Odbierz. Mnie to nie przeszkadza — poradziłam.

— Właściwie to potrzebuję od niego odpocząć. W tym jest problem. Stałam się jego obsesją. On ma prawie siedemdziesiąt dwa lata, a ja nie mogę przecież umawiać się z kimś takim. Owszem, lubię antyki, ale nie pod postacią moich facetów. Na czym to ja skończyłam? — zapytała.

— Sanford przysłał wam szampana — przypomniałam jej.

— No właśnie. Więc wypiłam tego szampana, a wtedy Sanford podszedł i zaczął ze mną rozmawiać. Był taki uroczy, oczywiście na modłę starszych panów. Uznał, że to bardzo nowoczesne: urządzać przyjęcie z okazji swojego rozwodu. No więc zgodziłam się na następną kolejkę, nie zależało mi. W ogóle niewiele pamiętam z tego wieczoru — przyznała, lekko się krygując — może poza szczegółem: okazało się, że Sanford jest żonaty, ale zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Pozwoliłam mu. Po drodze zapytał, czym się zajmuję, więc powiedziałam, że od czasu do czasu sprzedaję i kupuję unikatową biżuterię, na co on oświadczył, że kupiłby coś dla swojej żony. Czy on nie jest słodki?

Sanford zadzwonił do Lauren następnego dnia już o ósmej rano, chcąc umówić się na oglądanie biżuterii. Wieczorem tego samego dnia, o wpół do jedenastej, złożył jej wizytę. Gawędzili o niczym do północy, aż w końcu Lauren zapytała go, czy chce obejrzeć biżuterię.

— Wiesz, co on na to odpowiedział? „Właściwie to nie. Uważam, że jesteś zabawna". Wyobrażasz sobie? — Lauren otworzyła szeroko oczy, chcąc wzmocnić wrażenie. — W tym miejscu opowieści znów muszę zapalić — dodała, wyciągając następnego papierosa. — A potem zaczął codziennie rano przysyłać mi przez kierowcę „Wall Street Joumal", kawę latte i jeszcze ciepłego rogalika z Patisserie Claude. Wtedy uznałam, że bycie świeżą rozwódką jest znacznie mniej

wyczerpujące niż bycie świeżo poślubioną małżonką. Boże, mój rozwodowy miesiąc miodowy to najlepsze, co mogło się zdarzyć. — Przeciągnęła się rozpromieniona. — Uwielbiam być rozwódką.

*

Nie sposób nie uwielbiać tego stanu, jeśli się jest Lauren Blount, z rodziny tego Hamilla Blounta, który praktycznie wykreował Chicago. Oczywiście to zależy, kogo o to spytać, istnieje bowiem stronnictwo Marshalla Fielda oraz stronnictwo Hamilla Blounta. Tych dwóch nie zasiądzie obok siebie do wspólnego stołu w chicagowskim Racquet Club, jeśli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Mówi się, że Hamill Blount ma więcej dzieł sztuki niż Guggenheimowie, więcej nieruchomości niż McDonald, a zawartość skarbca matki Lauren sprawiła, że w Kolumbii zaczyna brakować szmaragdów.

Upłynęły zaledwie trzy tygodnie od rozwodu Lauren, a ona randkuje jak szalona. Bawi ją, kiedy może założyć kreację od Chanel, ciężką od koronek Lesage, jaką sobie sprawiła z okazji uroczystego obiadu wydanego po próbie generalnej pokazu nowej kolekcji, oraz jeden z trzech pierścionków zaręczynowych. Natychmiast została nominowana do listy Najlepiej Ubranych Kobiet, ale zignorowała ten zaszczyt, jakby to był głupi żart. Jednak bywalcy Pastisa[1] zgodzili się co do tego, że Lauren naprawdę zasługuje na ten tytuł. Obrzydliwa mieszanka podziwu i zazdrości sprawia, że dziewczyny, które przesiadują w Pastisie, fizycznie nie są w stanie przyznać, że któraś zasługuje na umieszczenie jej na liście NUK, zwłaszcza jeśli chodziły do tej samej klasy u Spence'a.

Lauren roztaczała wokół siebie aurę eleganckiej bogatej dziewczyny. Nie była specjalnie wysoka, ale proporcjonalnie zbudowana, miała szczupłe kostki i przeguby, mogła osiągnąć właściwie wszystko. Idealne nogi, które wzbudzały zawiść koleżanek, były świadectwem pobieranych przez lata prywatnych lekcji tańca klasycznego, tak twierdziła sama Lauren. Wyglądała jak odświeżona i odmłodzona wersja Jane Birkin, jej idolki — długie kasztanowe loki, grzywka wpadająca do oczu, całoroczna opalenizna, której utrzymanie nie przedstawiało

[1] Pastis — modna nowojorska restauracja.

najmniejszego problemu, skoro rodzinne posiadłości obejmowały także domy w znanych uzdrowiskach, od Antiguy do Aspen. Ubrana w swobodny strój też potrafiła czarować. Przed południem nosiła długie obcisłe spodnie od Mamiego, koronkową bluzeczkę od Yves Saint Laurenta i jakby przyciasną skórzaną kurteczkę od Ricka Owensa. Jeśli zakładała coś klasycznego, to tylko od Ossiego Clarke'a albo od Diora. Potrafiła polecieć do Londynu specjalnie po to, by kupić najlepsze rzeczy sprzedawane na Dover Street Market.

Tak, stroje stanowiły obsesję Lauren. Jeśli wpadło się do niej wczesnym popołudniem, równie dobrze można ją było zastać ubraną w jaskrawoczerwoną suknię z organdyny projektu Christiana Lacroix, co w trykot do ćwiczeń pilâtes (pozostałość z czasów baletu). Swoje suknie balowe — z kolekcji Balmaina, McQueena czy samego Givenchy — przedmiot zazdrości nowojorskiej elity, przechowywała w klimatyzowanej garderobie wielkości przestronnej kawalerki. Nie było tygodnia, żeby nie przysłano jej w prezencie jakiejś sukni, co czynili na przykład Oscar de la Renta i Peter Som, ale zawsze je odsyłała, bez względu na to, jak pięknie się prezentowały. Uważała, że nie wypada nie płacić za ubranie, mówiła, że odda je biednym. Największą jednak słabość miała Lauren do biżuterii, szczególnie gdy mogła ją nosić wbrew przyjętym zasadom; wielką uciechę sprawiało jej na przykład założenie do łóżka bezcennych hinduskich rubinów.

*

— Może powinnam zaprosić do nas Tinsley, pobyłaby przynajmniej w cieniu. Wariatka, że tak się smaży na słońcu — zauważyła Lauren trochę później. — To na pewno przez ten rozwód. Ona myśli, że się dobrze bawi, ale z każdą chwilą staje się coraz bardziej niepoczytalna. Zaczęła zmieniać bikini siedem razy na dzień, a to już jest objaw rozchwiania emocjonalnego. Kocham ją i życzę jej jak najlepiej, żadnej chemioterapii.

Lauren pstryknęła swoją srebrną maleńką komórką i połączyła się z Tinsley, która obiecała przyjść w ciągu dziesięciu minut. „Bikiniarka" z naprzeciwka pomachała nam i zniknęła z pola widzenia.

— Zawsze tu przyjeżdżają na Święto Pracy. Polubisz ją, zobaczysz — obiecała Lauren. — A ty, co robisz tu, w Careyes?

— Jestem... Spędzam tu swój miesiąc miodowy — odrzekłam z ociąganiem.

— Sama?

— Tak jakby — wymamrotałam, spuszczając oczy. Przekonałam się raz jeszcze, że podłoga to świetny obiekt w który można wbić wzrok, kiedy w końcu trzeba przyznać, że trzy minuty po ślubie zostało się bez męża.

— To zupełnie jak mój rozwodowy miesiąc miodowy. Rzeczywiście to bez znaczenia, czy ma się obok siebie męża, czy nie.

Lauren zachichotała, ale gdy napotkała mój wzrok, zaraz przestała się śmiać.

— Oj ej, przepraszam—stropiła się.—Ty się tym martwisz.

— To nic — nadrabiałam miną. W nadziei, że Lauren nie zauważy, otarłam pospiesznie wierzchem dłoni łzę zabłąkaną w okolicach nosa.

— Co się stało? — zapytała współczująco.

— No więc... Ach — westchnęłam.

Może całą tę żałosną historię powinnam jednak opowiedzieć Lauren. Prawie jej nie znałam, ale w końcu mnóstwo ludzi płaci grube pieniądze za to, by móc w ramach cotygodniowej terapii wyjawić komuś obcemu swe najskrytsze myśli.

Jakoś przestałam czuć się zażenowana, kiedy zrelacjonowałam Lauren, co mi się przytrafiło. W końcu mój miodowy miesiąc okazał się tyleż romantyczny, co moje obecne odosobnienie. Hunter, mój świeżo poślubiony małżonek, musiał wyjechać już drugiego dnia po naszym ślubie, by dopiąć prowadzony od dłuższego czasu interes. Co do mnie, to nie należałam do dziewcząt, które od dziecka snują marzenia o dniu swego ślubu, marzyłam jednak o miesiącu miodowym. Miały to być dwa najwspanialsze tygodnie w całym życiu, wypełnione seksem i bliskością, istne rajskie wakacje. Kiedy Hunter wyjawił mi, że musi nagle wyjechać, zachowałam się nadzwyczaj dojrzale, tak w każdym razie mi się wydawało, i powiedziałam, że rozumiem. Ale wewnątrz byłam zdruzgotana. Hunter obiecał, że jeszcze się wybierzemy na odłożony miesiąc miodowy ale to rozwiązanie jakoś mnie nie pociągało. Bo jak pół roku po ślubie wykrzesać zauroczenie właściwe młodej parze? Z definicji podróż poślubna musi się odbyć tuż po ślubie, nie później.

Huntera nie było już od trzech dni. Stoicki spokój udało mi się zachować

najwyżej przez trzy godziny, ale potem wpadłam w nastrój tragiczny. Co robić z tą masą czasu podczas miesiąca miodowego, jeśli zostało się samej? Czytanie w brukowej prasie o zawodach miłosnych przeżywanych przez gwiazdy bynajmniej nie pomaga.

Moje współczucie dla samej siebie rosło co rano, gdy pokojówka przynosiła śniadanie dla dwojga, z najlepszymi życzeniami, kwiatami, a do tego meksykańskie lukrowane serduszka. Nie mogłam zdobyć się na to, by powiedzieć jej, że Hunter wyjechał i być może wcale nie wróci. Cała sytuacja była dla mnie tak bardzo zawstydzająca, że nawet nie zadzwoniłam do żadnej przyjaciółki, by się przynajmniej wyżalić. Bo co ludzie powiedzą? Znaliśmy się z Hunterem zaledwie sześć miesięcy i wzięliśmy ślub na Hawajach pod wpływem impulsu. Już mogę sobie wyobrazić, jak plotkują: nie miała pojęcia, w co się pakuje", „prawie go nie znała", chyba zostawił ją dla innej dziewczyny, z którą spędza teraz wakacje"... Takie myśli prześladowały mnie bez przerwy, ale jeszcze gorszy był zawód, jaki odczuwałam. Najbardziej dokuczało mi właśnie rozczarowanie, nie mogłam się z niego otrząsnąć. Tylko z upływem czasu mogło jeśli nie ustąpić, to chociaż zblednąć. Po latach, może dziesięcioleciach — snułam ponurą wizję.

— Nie przesadzaj, nie jest tak źle — pocieszała mnie Lauren. — Przynajmniej masz męża. A to doświadczenie to utrata twojego ego.

— Mojego ego? A co z utratą męża?

— Jesteś pierwszą osobą, której o tym opowiadam — przyznałam przez łzy, których już nie potrafiłam powstrzymać. — To beznadziejny początek małżeństwa. Taka jestem wściekła na Huntera. Wiem, że on musi pracować, zarabiać na życie, ale... O Boże...

— Poczekaj — powiedziała Lauren, sięgając do torby i zawzięcie w niej szperając. Po chwili podała mi białą jedwabną chusteczkę do nosa, ozdobioną wokół koronką i z wyhaftowanym na rogach monogramem.

— Dzięki. — Zbrodnią wydało mi się smarkanie w takie cudo, ale się nie cofnęłam. — Jaka ładna — zauważyłam.

— Są od Lerona. Na zamówienie. On przylatuje do Chicago specjalnie, żeby spotkać się z moją matką. Ale żebyś zobaczyła jego bieliznę. Coś pięknego! Może następnym razem zamówić i dla ciebie? To cię troszkę pocieszy, co?

— Chyba tak — zgodziłam się. To było bardzo miłe ze strony Lauren. Jeśli małżeńskie dni miały mi upływać na płaczu, to znacznie przyjemniej będzie wycierać nos w białe koronki niż w zwykły papier toaletowy.

— Spójrz na to z innej strony: większość par małżeńskich zaczyna od wspaniałego miesiąca miodowego, po czym jest coraz gorzej. W twojej sytuacji nie może być gorzej, może już być tylko lepiej, prawda?

Osuszyłam oczy chusteczką Lauren. Udało mi się uśmiechnąć przez łzy.

— Nie zadręczaj się tym dłużej. Miesiąc miodowy to naprawdę mocno przereklamowana sprawa. Jest w tym tyle przymusu, zupełnie jak przy urodzinach. Wymaga się od człowieka, by budził się codziennie cały w skowronkach, bez przerwy napalony na seks, a tymczasem — wiesz co? Możesz akurat mieć bóle miesiączkowe albo potną cię komary, tak że ostatnia rzecz, na którą miałabyś ochotę, to pieprzyć się bez opamiętania, czego właśnie się od ciebie oczekuje.

— Cześć, Lauren — zapiszczał z tyłu dziewczęcy głosik.

Tinsley Bellangere, była żona zagubionego Jamiego, pojawiła się w łukowatym wejściu do dolnego salonu. Niesamowicie ładna, krew z mlekiem, hoża dziewoja, ale z klasą. Miała dwadzieścia osiem lat, sięgające do pasa proste jasne włosy, kilka starannie rozmieszczonych piegów rozmydlonych laserem i błękitne oczęta. Idealnie równa opalenizna przyjemnie kontrastowała z satynową koktajlową sukienką w żółtym kolorze, z rozciętą spódnicą, która poruszana bryzą malowniczo powiewała wokół łydek. Nie był to strój na plażę, był to strój mający zrobić wrażenie.

Lauren przedstawiła nas sobie, po czym powiedziała:

— Sylvie właśnie wyszła za mąż. — Zapraszającym gestem poklepała miejsce obok siebie i dodała: — Ładnie wyglądasz, jak zawsze, Tinsley.

— Ty jeszcze ładniej — zrewanżowała się Tinsley i opadła na wskazane miejsce, eksponując satynę, nogi i włosy. Po chwili spojrzała na mnie i zapytała — Chcesz poznać mój sekret udanego małżeństwa? Przytakuj mężowi we wszystkim. A potem rób swoje. Sprawdzało się to na moim i Jamiego przykładzie. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. — To powiedziawszy, wstała, by podejść do tacy z napojami ustawionej w rogu salonu. — Wypiję jedną teąuilkę. Ktoś jeszcze?

— Ja z ochotą — zgłosiłam się. Może był to dobry pomysł na polepszenie nastroju mojego niemiodowego miesiąca: upić się.

— Wszyscy myślą, że jestem niespełna rozumu, kiedy w południe zamiast herbaty zamawiam sobie właśnie to u Carlyle'a — powiedziała Tinsley wręczając nam po szklaneczce. Następnie odgarnęła włosy, przechyliła głowę i jednym haustem wypiła całą zawartość.

— Chodźmy popływać — zaproponowała Lauren. — Bo zaraz się ugotuję.

— Nie mogę. Jestem ledwie żywa — wymówiła się Tinsley, puszczając oko. Wyciągnęła się na ogromnym białym materacu rozłożonym na podłodze i pokrytym mnóstwem poduch. — Poleżę tu sobie i popatrzę, jak wy się męczycie, podczas gdy ja będę jadła lody kaktusowe albo coś w tym rodzaju.

— Ja idę — zgodziłam się i poszłam z Lauren do wody.

Może pływanie rozproszy nieco mój smutek, pomyślałam sobie, wchodząc do basenu. Woda miała temperaturę ciała, taką, jaka jest w basenach hotelowych, co dziewczyny bardzo lubią, a czego faceci nie znoszą.

— Dwadzieścia okrążeń wokół domu! — zarządziła Lauren, rozbryzgując wodę.

— Dwadzieścia? — zawołałam za nią zdziwiona.

— Koniecznie. Trzeba stawiać sobie w życiu cele. Dla mnie cele są najważniejsze — odpowiedziała między jednym wyrzutem ramion a drugim.

Wkrótce się z nią zrównałam i zaczęłyśmy spokojnie płynąć obok siebie. Płynęła i paplała na jednym niemal oddechu.

— Wiesz, po tym, jak się rozwiodłam i w ogóle, a mówiąc nawiasem, wszystko to można wyczytać w Google'u z najdrobniejszymi szczegółami, pomyślałam sobie, że jeśli mam zostać sobą i nie tracić sensu życia, to muszę sobie postawić porozwodowe zadanie. Rozumiesz, coś ważnego do osiągnięcia. Coś, do czego się będzie dążyć.

Kiedy tak płynęłyśmy fosą wokół domu, udało mi się zerknąć na pokoje gościnne wychodzące na tę stronę. Miały ściany otynkowane na biało, a nad nieskazitelnie gładko zasłanymi łóżkami zwieszały się wdzięcznie udrapowane moskitiery. Wokół niektórych okien pięły się żółte kwiaty, w innych pokojach widać było starodawne meksykańskie obrazy Matki Boskiej. Zrobiło mi się lżej

na sercu.

— W takim razie, Lauren, jaki jest ten twój ważny cel? — zapytałam, wynurzając z wody głowę.

— Umawiać się z facetami, tak jak w czasach college'u. Żadnych zobowiązań, żadnego zakochiwania się. Chcę się dobrze bawić i o niczym więcej nie myśleć.

Powiedziała to wszystko z wielką stanowczością, nawet przestała płynąć i zatrzymała się, by spojrzeć mi w oczy. Na jej twarzy malowały się determinacja i lekkie rozbawienie, kiedy stojąc w wodzie, mówiła dobitnie:

— Otóż moim szczególnym celem, co do którego mam niezachwianą pewność, bo jest szalenie prosty, między Świętem Pracy a Dniem Pamięci zaliczyć pięciu facetów. Pięć numerków, wszystkie zróżnicowane, najwyższej jakości, do tego bez zobowiązań. Każdy z nich uczczę w odpowiedni sposób. Biżuterią. Albo dziełem sztuki. Futro też wchodzi w rachubę. Prawdę mówiąc, już nawet zamówiłam sobie boskie sobole u Revillona w Paryżu. Jeden pocałunek i futro jest moje.

To mówiąc, dała nurka. Kiedy się wynurzyła, krople wody na jej twarzy połyskiwały odbitym blaskiem słońca.

— Skąd ty weźmiesz pięciu facetów? — zapytałam niedowierzająco.

Sęk w tym, że choć piękna i seksowna, Lauren skończyła już trzydzieści jeden lat, a to, jak na standardy nowojorskie, podeszły wiek. Pary z Manhattanu rozstają się, gdy dziewczyna skończy trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata, wtedy jej partner zaczyna się rozglądać za panienkami znacznie młodszymi, góra do dwudziestu pięciu lat. Są nawet tacy, którzy przerzucają się z nowojorskich ciź na dziewiętnastoletnie modelki z South Beach. W każdym razie żadnej ze znanych mi dziewczyn, które przekroczyły trzydziestkę, nie udało się znaleźć sobie kogokolwiek, kto mógłby ją dopieścić, w okresie krótszym niż pół roku, a co dopiero mówić o pięciu kandydatach.

— Stawiam sobie realistyczne cele — powiedziała Lauren, bezwiednie przebierając palcami w wodzie. — Słyszałam jednak od innych rozwódek, a z niektórymi nawet jestem zaprzyjaźniona, że nie należy spodziewać się, by liczba pięć mogła być w tych zawodach przekroczona. Aha, przypomniało mi się! Mam jeszcze jedno ambitne zamierzenie, muszę nauczyć się samodzielnie ustawiać

kino domowe. Do tej pory zajmował się tym Louis. Ale jestem przekonana, że i ja mogę to opanować, choćby nie wiem ile czasu miało mi to zabrać. A ty masz jakie cele?

Tu nie miałam żadnych wątpliwości.

— Chcę być jak ta para z „Eternity Bride".

W głębi duszy byłam przekonana, że związek małżeński powinien prezentować się jak w reklamie swetrów w „Eternity...": ona wyglądająca fantastycznie, on niesłychanie męski, wokół nich stosy kaszmirowych swetrów w kolorze wanilii. W miarę możliwości nasze życie powinno się toczyć na plaży w East Hampton, najlepiej w palecie barw biało-czarnych.

— Gdybym to ja postawiła sobie tak szlachetne cele, może moje małżeństwo by przetrwało — zastanowiła się Lauren. Wybuchnęła gromkim śmiechem. — Kiedy miałam osiem lat, rozstałam się z marzeniami w stylu „Eternity..." Fajna jesteś. Ale dam ci jedną radę.

— Jaką?

— Powinnaś uważać na łowczynie mężów i trzymać Huntera z dala od nich.

Skrzywiłam się zmieszana.

— Wiesz — wyjaśniła Lauren — są takie wredne baby, które uganiają się wyłącznie za żonatymi. Zauważa się je dopiero, jak się zostaje mężatką.

— Przestań — roześmiałam się.

— Ja tylko ostrzegam.

Zrobiłyśmy już w basenie pełne okrążenie, znalazłyśmy się z powrotem przed wejściem do dolnego salonu. Tinsley machała do nas, abyśmy weszły.

— Mojito czekają — zawołała.

— Wprawdzie przepłynęłyśmy tylko jedno okrążenie, ale chodźmy już, bo inaczej ona gotowa się zapowietrzyć — uznała Lauren, wstępując na płytkie schodki prowadzące do salonu. Wzięła ręczniki ułożone w schludny stosik na wiklinowym stoliku i podała mi jeden z nich.

— O Boże, świetnie mi zrobiło to pływanie — westchnęłam. Wycierając się,

sięgnęłam jednocześnie po mojito. Było bardzo orzeźwiające.

— Prawda, że nasz basen jest genialny? — spytała Lauren.

Owinęła się ręcznikiem i usiadła skulona na kanapie naprzeciwko Tinsley, ja zaś usadowiłam się w bujanym fotelu, pomalowanym na ulubiony przez Latynosów intensywny niebieski kolor. Zauważyłam, że oparcie fotela było wyłożone przepiękną masą perłową.

— Czym się zajmujesz, Tinsley? — zapytałam. Wydała mi się zadziorna, miałam ochotę poznać ją bliżej.

— Niczym — odpowiedziała promiennie.

— Nie chciałabyś gdzieś pracować? — zdziwiłam się.

Tinsley tylko potrząsnęła głową ze śmiechem. Ale zaraz

dodała ze śmiertelną powagą:

— Nie mogę pracować, ponieważ nie noszę przedpołudniowych ubrań. Ubieram się tylko w wieczorowe stroje. Więc rzecz jasna, życie biurowe mi nie pasuje. Mogę ubierać się wyłącznie w stroje do ćwiczeń albo na przyjęcia.

Wstała i wykonała piruet w swojej koktajlowej sukience.

— Zresztą popatrz na mnie. Jest druga po południu, a ta sukienka to najskromniejsza rzecz, jaką mogę na siebie włożyć. Jedyna kariera, jaka by się dla mnie nadawała, to prowadzenie programu w MTV, ale właściwie nie mam takich ambicji. To już przebrzmiałe. No bo powiedz sama, co teraz porabia taka Serena Altschul? A drugą poważną przeszkodą w mojej ewentualnej pracy jest mama. Codziennie muszę być pod ręką, by móc porozmawiać z nią na tematy rodzinne albo na pierwsze skinienie jechać do Palm Beach. Kiedyś nawet spróbowałam popracować dla Charliego Rose'a, ale prawie mnie tam nie było, a w tych rzadkich chwilach, kiedy się pojawiałam w biurze, przez cały czas dzwoniłam w swoich prywatnych sprawach.

Wybuchnęłam śmiechem, ale zaraz targnęły mną wyrzuty sumienia. Jak mogę świetnie się bawić sama podczas swego miodowego miesiąca, zastanawiałam się, sącząc mojito. Chyba powinnam bardziej tęsknić.

— Biedna Tinsley — zakpiła Lauren, po czym zwróciła się do mnie z pytaniem:

— Kiedy dane nam będzie poznać Huntera? Czy on tu w ogóle wróci? A może jest to okrutne porzucenie?

— Poznasz go w Nowym Jorku. Ale i tak będzie stale w rozjazdach, bo musi często bywać w Paryżu w związku z programem telewizyjnym, do którego właśnie zdołał podpisać umowę — wyjaśniłam. Udało mi się nawet wykrzesać z siebie odrobinę humoru, bo dodałam: — Umowę, która zrujnowała nasz miesiąc miodowy.

— Możemy dotrzymywać sobie towarzystwa, podczas jego nieobecności — zaofiarowała się Lauren. — Chyba nikt mnie o to nie podejrzewa, ale czasami czuję się samotna.

Kiedy to mówiła, nagle wydała mi się bezbronna.

Później, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a my, przyznaję, byłyśmy już lekko wstawione, do czego oprócz koktajli przyczynił się też upał, rozmowa zeszła na bardziej osobiste tematy.

— Czy myślisz czasem, żeby powtórnie wyjść za mąż? — zapytałam Lauren.

Leżała wyciągnięta w hamaku, którym łagodnie kołysał wiatr.

— Owszem — odpowiedziała. — Chyba nie.

— Masz rację — poparła ją Tinsley, miksując następne koktajle. — Pary małżeńskie są takie nudne.

— Wiem — zgodziłam się z nią. — I to jest okropne.

Rzeczywiście, przyjaciółka, która wyjdzie za mąż, przestaje być wesołą kumpelką. Jedną z moich skrywanych głęboko obaw przed małżeństwem było to, że mogę stać się równie nudna jak moje zamężne koleżanki.

— To dlaczego w takim razie zerwałaś z Louisem? — zapytałam Lauren.

Westchnęła.

— Zerwaliśmy — zaczęła niepewnie — ponieważ... hmm... — Zająknęła się, jakby nie wiedząc, co powiedzieć. — Wydaje mi się, że wyszłam za mąż ze słusznych powodów. Byłam zakochana, a Louis dał mi śliczny zaręczynowy pierścionek od Van Cleefa, ale przecież nie powinno się wychodzić za mąż z samej tylko miłości.

— To niezbyt romantyczne — zauważyłam.

— Bo i małżeństwo nie jest romantyczną sprawą — oświadczyła Lauren. — To kontrakt. Wybacz, ale taka jest prawda. Spodziewam się że mogę uniknąć małżeństwa, a za to mieć romanse. Ale ty wyglądasz na bardzo zakochaną. Nie słuchaj mnie wcale. Każdy inaczej to widzi. Nie mam pojęcia, jak to jest.

— Na pewno masz.

— OK, w takim razie mogę ci powiedzieć, czego nie powinnaś robić — ustąpiła Lauren. — Po pierwsze, nie urządzaj wesela dla czterystu osób. To ci zupełnie zaćmi cały obraz. Zresztą i tak wiedziałam, że w dniu ślubu będę w dołku. Dasz wiarę?

— Jak to?

— Więc zgromadziliśmy się wszyscy na Maine, to taka wysepka z rodzaju hipisowskich, chyba od zawsze należąca do rodziny mojej mamy. Jest tam parę fajnych wiejskich posiadłości. Pamiętam, jak w przeddzień ślubu stałam nad brzegiem oceanu i zobaczyłam, że na barkach płyną kryształowe żyrandole, które miały być zainstalowane w namiocie. Wyglądały, jakby zostały skradzione z sali balowej w Waldorfie. Chodzi o to, że ja nie znoszę pewnego typu żyrandoli. Musiałam się wynieść z domu rodziców na Park Avenue, kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, ponieważ wszędzie natykałam się właśnie na nie. I oto kiedy wychodzę za mąż, próbując zostawić daleko za sobą te żyrandole, one podążają za mną. — Lauren wzdrygnęła się na to wspomnienie. — Wszystko razem było bez sensu.

Zsunęła się zręcznie z hamaka, by pogrzebać w przepastnej torbie. Po krótkiej chwili wydobyła z niej parę wiktoriańskich kolczyków z kameą. Wprawnie wpięła je w uszy, mówiąc:

— Uwielbiam nosić na plaży swoje błyskotki. Nie sądzisz, Tinsley, że te kolczyki są bardzo typowe dla Talithy Getty? — zapytała.

— Jeszcze jak. Przepadam za jej stylem. Jeśli zamierzasz umierać, to najpierw przedawkuj, a potem wszyscy będą cię czcić na wieki za twoje wyczucie mody[2].

---

[2] Tak się stało z Talithą Getty, piękną aktoreczką duńskiego pochodzenia, która w wieku 30 lat zmarła w wyniku przedawkowania narkotyków. Właściwie dopiero po śmierci została uznana za ikonę lat 60., a jej sposób ubierania się, zachowany na nielicznych zdjęciach, za kanon ówczesnej mody.

— Straszne rzeczy opowiadasz — żachnęła się Lauren. A po chwili znów w nostalgicznym nastroju, wróciła do tematu swojego małżeństwa. — W końcu pewnego dnia wybrałam się na wakacje i... Cóż, muszę się przyznać, że nigdy nie wróciłam z nich do domu. Wszyscy odchodzili od zmysłów. Ale kiedy o tym pomyślę — dodała z filuternym uśmieszkiem — sama jestem zbulwersowana swoim postępkiem. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś równie okropnego: jak ja.

TLR

2

FANTASTYCZNY MĄŻ NA POCIESZENIE

— Chciałabym, żebyś mi wszystko opowiedziała —poprosiła Tinsley kilka dni później. — Jak się poznaliście, jaki on jest, jak całuje...—Znajdowałyśmy się z Lauren na pokładzie łodzi należącej do ojca Tinsley, starej krypie, którą płynęłyśmy na jedną z małych wysepek z dala od plaży. Wszystkie trzy leżałyśmy z tyłu łodzi, gdzie najlepiej było się opalać. Słońce świeciło, wiał lekki wiaterek—pogoda idealna na plażowanie. Lauren i Tinsley miały na sobie białe bikini typu stringi, w których się opalały. Ale wzięły też ze sobą wielką torbę z innymi kostiumami na zmianę, jak komplet od Hermesa przeznaczony specjalnie do nurkowania, inny do nart wodnych i jeszcze inny do skoków do wody tyłem. Opowiedziałam im, jak spotkałam Huntera zaledwie przed sześcioma miesiącami na weselu (to chyba zawsze tak się zaczyna). Jessica, moja przyjaciółka jeszcze ze szkoły średniej, wychodziła za mąż w marcu, a ślub odbywał się na plaży w Anguilli. To było piękne wesele, odlotowe namioty, a w nich długie stoły przybrane różową bugenwillą i dobrane grono eleganckich gości.

Pamiętam, jak do mojego stołu podszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, poszukał wizytówki ze swoim nazwiskiem — Hunter Mortimer — i popatrzył na mnie. Wspaniały, pomyślałam sobie, zauważając jednocześnie, że był lekko opalony i miał na sobie letni jasny garnitur, raczej swobodny, a nie na wielkie okazje, co nawet mi się spodobało. Nie łysieje, zauważyłam też, patrząc z przyjemnością na jego bujną kasztanową czuprynę, jaką niewielu panów w wieku trzydziestu czterech lat mogłoby się pochwalić. Ma olśniewający uśmiech, uznałam, niemal rumieniąc się w duchu, kiedy uścisnął mi rękę. Wzrost: przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć, oszacowałam, patrząc na jego sylwetkę. Musiałam sobie wtedy pomyśleć: niezła pula genów.

— Świetne wesele — zagaił siadając koło mnie. Spojrzał na moją lewą dłoń, uśmiechnął się i dodał: — Choć z drugiej strony nie ma to jak być stanu wolnego na czyimś ślubie, prawda?

— Ale flirciarz — zauważyła Lauren, sącząc wodę różaną, która stała się teraz jej ulubionym napojem. — Zapowiada się idealnie.

— Też miałam takie wrażenie — odpowiedziałam z westchnieniem. — Działał na mnie od samego początku. To były najwspanialsze chwile, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że między nami zaiskrzyło. Wolałabym teraz mówić, że dłużej trwało, zanim go lepiej poznałam i zakochałam się, ale właściwie wszystko stało się w jednym momencie, gdy tylko go ujrzałam.

Okazało się, że mieszka niedaleko mnie, też w Los Angeles, i już kilka tygodni po tym weselu zaczęliśmy się umawiać. Po pięciu miesiącach Hunter poprosił mnie o rękę. Nigdy nie mieszkaliśmy razem, ale tym się nie przejmowałam. Prostolinijny, pozbawiony egoizmu Hunter nie był zapatrzony w siebie, czym kolosalnie sie różnił od moich poprzednich chłopaków. Nie wpadał w histerię. Nie wkurzał się. Nie wyolbrzymiał problemów. Nie dzielił włosa na czworo — cecha obecnie prawie nie występująca u młodych Amerykanów. A to już jest wina Jamesa Spadera. Zawsze uważałam, że społeczna akceptacja samoudręczenia się mężczyzn ma swoje źródło w filmie *Seks, kłamstwa i kasety wideo*.

Hunter działał spokojnie, nawet dyskretnie, dlatego nie był specjalnie zachwycony tym, że powierzono mu zadanie składania oficjalnych gratulacji. Mimo że nie brakowało mu pewności siebie, był raczej skryty, i to mi się w nim bardzo podobało. W pewnych sprawach potrafił być zagadkowy, co uznałam za seksowne. Romantyczny, ale nie naiwny. Kiedy mówił „kocham cię", mówił to szczerze.

— Urocze — zachwyciła się Tinsley. — Mów dalej, proszę cię.

Parę miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu zdarzyło się coś, co sprawiło, że szalona miłość przerodziła się w miłość głęboką. Mojej gospodyni w LA zdarzył się niegroźny wypadek samochodowy. Miała kilka złamań, ale nic poważnego, tyle że nie była ubezpieczona. Nie wyobrażałam sobie, by mogła udźwignąć koszty leczenia, więc zaofiarowałam pomoc, ale ona powiedziała, że ktoś już się tym zajął. Kiedy znów spotkałyśmy się po kilku miesiącach, bo polepszyło jej się na tyle, że mogła wrócić do sprzątania, wyznałam jej, że mam zamiar wyjść za Huntera, na co ona zareagowała płaczem. Powiedziała, że Hunter to najlepszy człowiek w całej Ameryce. To on zapłacił za jej leczenie, prosząc, by nic mi o tym nie mówiła. Sam nigdy nie zająknął się na ten temat. Taki był z niego Pan Darcy.

Cały Hunter. Młody producent odnoszący sukcesy (za przykład niech posłuży jego ostatni program w MTV z gwiazdami rocka), znany i hołubiony przez wszystkie liczące się stacje telewizyjne (dlatego odwołał nasz miesiąc miodowy). I chociaż nie musiał, to jednak był dla każdego miły, ponieważ uważał, że człowiek powinien właśnie tak się zachowywać.

– Po prostu święty — uznała Tinsley. — I do tego przystojny święty. Idę o zakład, że już mu darowałaś tę porażkę z miesiącem miodowym. W końcu to nie ma aż takiego znaczenia, prawda?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Tinsley miała rację. Ostatecznie to nie koniec świata. I mimo moich postanowień, by trwać w gniewie na Huntera z tego powodu, jakoś mi się to nie udawało. Dzwonił do mnie bez przerwy, sprawdzał, czy wszystko w porządku, więc kiedy tylko o nim myślałam, cały żal gdzieś się ulatniał. W głębi duszy wiedziałam, że liczy się małżeństwo, a nie miesiąc miodowy.

– Usiłuję nadal gniewać się na niego, ale nie potrafię, on jest taki kochany — przyznałam. — Chcę już tylko być dla niego idealną żoną.

– Spodziewam się, że masz jeszcze jakieś inne cele niż tylko być wspaniałą żoną, taką jak z „Eternity...". Przypomnij sobie, co się stało z Jessicą Simpson — zaśmiała się Lauren.

Na szczęście miałam jeszcze inne ambicje. Tuż przed naszym ślubem Hunter postanowił przenieść się ze swoją firmą do Nowego Jorku. Bardzo dobrze się tam czuł, a ponieważ ja spędziłam w tym mieście dzieciństwo, ekscytowała mnie perspektywa powrotu. Udało nam się znaleźć wspaniałe mieszkanie w centrum. Miało to tym większe znaczenie zwłaszcza teraz, kiedy on na mocy nowego kontraktu planował nakręcić swój program w Paryżu, czekały go więc liczne podróże do Europy. Tak się złożyło, że w tym samym czasie odezwał się mój stary znajomy Thackeray Johnston, który czmychnął do Parsons, podczas gdy wszyscy wybierali się do college'ów na Wschodnim Wybrzeżu, i zapytał mnie, czybym nie poprowadziła jego domu mody. W LA pracowałam już dla znanego projektanta pochodzącego z Europy, u którego ubierały się aktorki, i teraz dojrzałam do zmiany. Thackeray osiągnął już pewną renomę jako jeden z najbardziej wziętych młodych kreatorów mody w Nowym Jorku, ale w interesach nie był za mocny. Zaproponował mi śmiesznie niskie wynagrodzenie, jednak dorzucił pięć procent wartości firmy, którą zamierzał kiedyś dobrze sprzedać. Teraz, kiedy

poznałam Tinsley i Lauren, jeszcze bardziej ciągnęło mnie do Nowego Jorku.

— O rany, ale heca Widziałam już rzeczyThackeraya. Są fantastyczne. To chyba rzeczywiście zdolny facet. Nie powinnaś narzekać, Sylvie — odezwała się Tinsley. — Wprawdzie przepadł ci miesiąc miodowy, ale za to możesz się pocieszyć tym, że masz świetnego męża.

— Racja — przytaknęła Lauren. — Chociaż ja, gdybym mogła wybierać, zdecydowanie wolałabym miesiąc miodowy niż męża.

TLR

3

LEGENDARNI KOCHANKOWIE

— Wyobraźcie sobie, że John Currin i Rachel Feinstein przebrali się za... samych siebie! — oznajmiła Lauren na wieczornym przyjęciu, jakie urządziła z okazji swoich urodzin. — Są tacy egzystencjalni, że przy nich czuję się jak idiotka.

Było to nasze pierwsze spotkanie od czasu powrotu z Careyes. Lauren Blount obchodziła trzydzieste drugie urodziny w swym nowojorskim domu na West Eleventh Street (solidny budynek z białej cegły, w klasycystycznym stylu, usytuowany pomiędzy West Fourth Street a Waverly Place). Tak jak wszystkie przyjęcia urodzinowe Lauren, i to miało być balem kostiumowym, a motyw przewodni stanowili legendami kochankowie, przy czym nieistotne było, czy owi kochankowie połączyli się, czy rozstali, żyli dawno temu bądź są bohaterami współczesnymi, ponieważ, jak twierdziła Lauren, i tak nikt nie jest w stanie zapamiętać szczegółów dotyczących tego rodzaju postaci. Sam jednak temat podobał jej się, bo stwarzał gościom możliwości wcielenia się na przykład w Sylwię Plath i Teda Hughesa, jeśli nie chciało im się przykładać do kostiumów, albo też udawać Marilyn Mansona i Ditę Von Teese, jeśli chcieli czymś błysnąć.

Podczas gdy Hunter został, by złożyć gdzieś nasze wierzchnie okrycia, ja poszłam na górę, gdzie w drzwiach salonu na pierwszym piętrze Lauren witała gości. Miała na sobie skąpe szorty z bladożółtego frotté, do tego koszulkę w cukierkowym różowym kolorze. Na głowie blond perukę z zawadiackimi kucykami, a nogi obute w nowiutkie białe wrotki, nad którymi połyskiwały skarpetki do kostek. Najwyraźniej zamierzała wystąpić jako Wrotkarka, chociaż jedna rzecz nie pasowała do całości — bransoletka z brylantami od Cartiera na jej lewym nadgarstku. Rzucała kuszące refleksy, gdy padało na nią światło odbijane przez wirującą sufitem dyskotekową kulę.

— Należała do księżnej Windsoru — pochwaliła się Lauren, bawiąc się bransoletką. — Czy nie jest cudowna? Mam ją od wuja Freddiego. — Tak Lauren nazywała Freda Leightona, sławnego jubilera z Madison Avenue, który bynajmniej nie był z nią spokrewniony.

— Jest naprawdę piękna — przyznałam.

— Zastanawiałam się, czy nie przebrać się za Biankę Jagger, a z Miltona zrobić samego Micka — skomentowała swój strój — ale uzmysłowiłam sobie, że przecież co wieczór ubieram się jak Bianka, więc ostatecznie postanowiłam wystąpić jako Wrotkarka, co nie ma żadnego dodatkowego podtekstu, tyle że zwraca uwagę. Czy to pomieszczenie nie przypomina toru do jazdy na wrotkach?

— Nie bardzo — powiedziałam.

Różowa satyna pokrywająca ściany, meble projektu Cednca Gibbonsa odziedziczone po jakiejś babce aktoreczce, Rothko i Rauschenbergi sprawiały, że salon Laren wyglądał bardziej na awangardowy buduar niż na tor wrot- karski. Zwykle nieskażony niczyją obecnością, tego wieczoru jednak wypełniony był malowniczymi parami w wymyślnych strojach narzuconych przez temat przewodni spotkania. Dwóch nastoletnich chłopców, opartych nonszalancko o barierkę frontowego balkonu wychodzącego na ulicę, przebranych było za Marilyn Monroe i Jean Harlow, w blond perukach i sukniach nabijanych kryształkami. Przy kominku tuż pod ogromnym kolażem Gilberta i George'a ulokowały się dwie wystrzałowe dziewczyny w szarych garniturach i okularach, udające tych artystów. Na lakierowanych i pozłacanych krzesełkach spoczywały wcielenia Bogiego i Bacall, przy barze zaś chichotała bardzo przekonująca para: Jean Shrimpton i David Bailey. Penelopa Tree i Truman Capote, siedząc po turecku na podłodze, wiedli ożywioną dyskusję, stanowiąc dla innego duetu, Halstona i Warhola, niezbyt trudną do przebycia przeszkodę. Na kanapach Lauren, pokrytych na tę okazję japońskim materiałem w stylu lat trzydziestych używanym na kimona, siedziały trzy wersje wcieleń Johna i Yoko, plotkując zawzięcie, jakby rzeczywiście były postaciami, za które się poprzebierały. Wyglądało na to, że goście dobrze się bawili, co było dla mnie pewnym zaskoczeniem, na ogół bowiem modne przyjęcia gromadzące śmietankę towarzyską są śmiertelnie nudne.

— Może gingertini? — zaproponował nam kelner z tacą pełną wściekle pomarańczowych drinków. Tak jak cały męski personel i on przebrany był za Donalda Trumpa, odziany w smoking, z treską na głowie, prezentował wspaniałą opaleniznę. Służące zaś stanowiły zastępy Melanii, z piętrowymi fryzurami, wciśnięte w ślubne suknie tak ciasne, że groziło to uduszeniem. Aż dziw, jak Melania zdołała ujść śmierci ubrana w ciasny gorset od Dolcego i Gabbany.

— Podziwiasz moich Donaldów? — zapytała Lauren, sięgając po gingertini. — On i Melania to idealni bohaterowie tabloidów.

W tym momencie pojawił się Hunter. Cmoknął mnie w policzek i wyciągnął rękę, by przywitać się z Lauren. Ona ujęła jego dłoń i zawołała, wzdychając teatralnie:

— Otóż i Hunter! Ten cudowny, znikający mąż! Wreszcie mogę cię poznać, to dla mnie prawdziwa przyjemność! — Objęła go i uściskała. — Boże! Ależ jesteś przystojny! Nie wytrzymam!

Hunter wyzwolił się z jej uścisku. Spostrzegłam, że jest lekko rozbawiony.

— Domyślam się, że jesteś tą nową cudowną przyjaciółką — powiedział i pocałował ją w policzek.

– Jezu, ale jesteś szarmancki, zaraz padnę z wrażenia! Sylvie, musisz być zachwycona, że ci się coś takiego trafiło!

Uśmiechnęłam się. Lauren wydawała się szczerze ucieszona naszym szczęściem. Cofnęła się o krok, jakby chcąc nam się lepiej przyjrzeć.

– O, Frida i Diego. Jakież to romantyczne! — szczebiotała. Po niedawnym pobycie w Meksyku nietrudno mi było uszyć naprędce amarantowy strój do flamenco, jaki nosiła Frida Kahlo. Hunter natomiast sam sobie przygotował ubabrany farbą kombinezon.

– A ja przez jeden wieczór mogę być nałogową kokainistką — mówiła dalej Lauren. — Ale zejdźmy na dół, musicie poznać Miltona, wspominałam o nim w Careyes. To mój dekorator wnętrz. Padnie, jak was zobaczy.

Przeciskała się przez tłum gości, machając i przesyłając całusy. Przy schodach zdjęła wrotki i zbiegła w dół przed nami. Na dole nałożyła znów wrotki, by przeprowadzić nas na tyły domu, do pokoju dziennego czy raczej porannego, jak nazywał go Milton.

– Dla mnie to jest po prostu biały pokój — wyjaśniła Lauren. — Chociaż nie jestem Marią Antoniną, w każdym razie jeszcze nie teraz... Och, Milton jest czasem taki pretensjonalny — poskarżyła się. — Mimo to uwielbiam go. Nakłonił mnie, żebym zrobiła tę podłogę — wskazała na zapastowaną drewnianą podłogę korytarza. — To parkiet z Wersalu. Możecie sobie wyobrazić? Toż to rozbój w biały dzień!

Stanęliśmy przed parą dwuskrzydłowych lustrzanych drzwi. Lauren pchnęła je i weszliśmy do białego pokoju, w którym chodziło się boso. Białe pokoje są teraz

tak modne w Nowym Jorku, że już rzadko kiedy udaje się nie zdejmować butów na wieczornych przyjęciach. Tym razem na szczęście pozwolono nam pozostać w obuwiu. Mimo że pokój był zatłoczony zdołałam dostrzec sześć pomalowanych na biało stiukowych palm, oddzielonych od siebie sześcioma parami drzwi balkonowych wychodzących na rzęsiście oświetlony ogród. Bardziej przypominało to Wenecję niż West Village, W jednym kącie pokoju stał niewielki biały fortepian, bardzo odpowiedni do grania na nim rock'n'rolla, nad którym czuwał kolaż zatytułowany *Biały* Toma Sachsa. Podłoga wyłożona była białym marmurem, a na wypadek, gdybyście nie orientowali się specjalnie w marmurowym snobizmie, powiem wam, że marmur bez żyłek jest znacznie droższy od gatunku żyłkowanego. To najnowszy trend — płacić więcej, a dostawać mniej, albo raczej — płacić znacznie więcej, a dostawać znacznie mniej.

— O, tam go widzę — powiedziała Lauren, wskazując na kobietę wspartą na jednym z pikowanych szezlongów obitych białych jedwabiem.

Milton Whitney Holmes, który naprawdę nazywał się Joe Straaba, przebrany był za Iman, poprzednią właścicielkę tego domu. Ze swoją drobną figurą i jasną karnacją wyglądał śmiesznie w oryginalnym stroju zaprojektowanym przez Alaia i murzyńskiej peruce, a w słusznej obawie że nie będzie rozpoznany, do swego kostiumu przyczepił karteczkę z napisem: PANI DAVIDOWA BOWIE. Milton gawędził z wątłą dziewczyną ubraną w skromnie wyglądający zestaw: tweedowa spódniczka i sweterek Fair Isle. Głównym dodatkiem do jej stroju zdawała się być tubka z jasnoróżowym błyszczykiem, który niemal bez przerwy nakładała na wargi. Cerę miała przezroczystą, co nadawało jej nawet niezdrowy wygląd, włosy w tej samej tonacji.

O kurczę, Marci Klimerston już się do niego dobrała — westchnęła Lauren, kiedy podeszłyśmy bliżej. Zatrzymała się na moment i zwróciła się do nas konfidencjonalnym szeptem: — Bądźcie mili dla Marci. Wygląda niewinnie, ale to straszna plotkara, zawsze wszystko usłyszy, ale przekazuje dalej już w zmienionej formie. Można odnieść wrażenie, że to sztywniaczka, a to dlatego, że ma obsesję na punkcie swojej skoliozy, którą zresztą sama wymyśliła. Wszyscy są przekonani, że znajduje się na najlepszej drodze, by wkrótce dołączyć do grona debiutujących rozwódek, tylko ona sama jeszcze o tym nie wie. W ogóle nie pamięta, że jest zamężna. Nazywam ją niedbałą żoną.

— Wydaje mi się, że chodziłam z nią do college'u — powiedziałam. Jej imię

brzmiało znajomo. — Chodziła do Browna?

— Chyba tak — przyznała Lauren.

Milton pomachał nam na powitanie. Po chwili Lauren nas sobie przedstawiła.

— Gdzie się podziewałaś? — zwróciła się Marci do Lauren. Zawsze zadaje to pytanie, kiedy tylko ją zobaczy.

— O Boże, nie wiem — odpowiedziała Lauren lekceważąco. — A ty gdzie byłaś? — Zawsze tak odpowiada na to pytanie, każdemu.

— Przecież musiałaś gdzieś być — nie ustępowała Marci, lekko poirytowana.

— Tego się nigdy nie dowiesz — słusznie zauważył Milton.

— Och, chyba przez jakiś czas byłam na rancho swojego ojca. A potem trochę żeglowaliśmy. No wiesz — zbyła ją Lauren.

— Żeglowaliśmy? Z kim? — Marci nie dawała za wygraną.

— Z nikim — ucięła Lauren.

To powiedziawszy, zakręciła się na wrotkach i odjechała. Marci wyglądała na zawiedzioną.

Lauren nigdy nie opowiadała, dokąd się wybiera, po prostu w tajemniczy sposób znikała, i to dość często. A potem można było się natknąć gdzieś w prasie na wzmiankę, że pojechała z wizytą do pana Revlona albo do kogoś innego w Barbudzie, kto radził się jej, jaką kupić firmę, lub pytał, co ona sądzi o funduszach ubezpieczeniowych czy jakiejś upadającej rosyjskiej spółce. Potem przypadkiem wychodziło na jaw, że podczas gdy ona była z wizytą u pana Revlona, gościł tam też jakiś gwiazdor rocka, który został tylko dla towarzystwa Lauren, bo gospodarz śmiertelnie go nudził. Ona zaś ledwo się do niego odzywała, twierdziła też, że nigdy nie słyszała jego muzyki, co sprawiało, że gwiazdor jeszcze bardziej szalał na jej punkcie.

— Marci, czy myśmy nie studiowały razem w Brown? — zapytałam.

Marci spojrzała na mnie zaintrygowana, po czym rzuciła:

— Sylvie Wenthworth?

—Tak — odpowiedziałam. — Ale teraz nazywam się Sylvie Mortimer, wyszłam za Huntera.

— Moje gratulacje — włączył się Milton. — Stanowicie uroczą parę.

—Słyszałam, że jesteś najlepszą przyjaciółką Lauren — wyznała Marci, ale po chwili dodała zatroskana: — Właściwie to mówiła, że jesteś jej drugą z kolei najlepszą przyjaciółką, bo ja jestem tą pierwszą. Oficjalnie uchodzę za jej najlepszą przyjaciółkę.

— Kochanie — wtrącił się Milton. — To ja jestem jej najlepszym przyjacielem — wyznał teatralnym tonem.

— Lauren poznałam w Careyes — starałam się załagodzić sytuację. — Właściwie to ledwo sie znamv.

— Wiem o tym. Lauren mi wszystko o tobie opowiedziała. Przyznała, że masz na nią dobroczynny wpływ — dodała z lekkim sarkazmem.

Nagle zaczęła zdradzać niepokój. Nerwowo obciągała tweedową spódniczkę, lustrując jednocześnie całe pomieszczenie.

—Niezbyt jestem oryginalna, prawda? — upewniała się. — Mogłam przebrać się jeszcze za Bridget Jones Numer Dwa, ponieważ jestem taka wielka. I nie mówcie mi, że jestem szczupła, bo i tak wiem, że wyglądam jak szafa. Przynajmniej mój mąż wygląda jak Mark Darcy, ale rudy Mark Darcy. Ha, ha, ha!

— Najmilsza, właśnie widzę swoją starą znajomą — powiedział Hunter. — Skoczę tam i tylko się przywitam, dobrze?

— Pewnie, kochany — odrzekłam, gdy Hunter już maszerował w stronę odległego kąta.

Milton klepnięciem w poduchy sofy zaprosił nas, byśmy przy nim usiadły.

— Jak tam życie w małżeńskim stanie? — zapytał.

— Świetne... — zaczęłam, ale Marci zaraz mi przerwała.

—Bycie mężatką to coś najnudniejszego na świecie — jęknęła. — Moje „ja”

nigdy się do tego nie przyzwyczai. Kocham Christophera, podziwiam go i w ogóle, ale małżeństwo to straszna sprawa. Wygląda na to, że seks stał się domeną wyłącznie rozwódek.

Musiałam mieć zdziwioną minę, ponieważ Milton, jakby w odpowiedzi na moje wątpliwości, skinął głową i potwierdził:

— To najprawdziwsza prawda.

—Milton, powiedz nam, czy to prawda, że Axel Vervoordt osobiście nadzorował transport parkietu na korytarz z Holandii? — chciała wiedzieć Marci.—Bo słyszałam też, że Lauren zrobiła z piwnicy na wino skład swoich futer. Domyślam się, że jest tam zimniej niż na Alasce. Ale może to tylko plotki?

—Pod żadnym pozorem nie mogę zdradzać sekretów swoich klientów — zarzekł się Milton, przybierając nieoczekiwanie pozę sfinksa.

Zapadło niezręczne milczenie. Marci zaczerwieniła się jak burak.

— Nie zamierzałam być wścibska... — zaczęła.

—Ale, ale, gdzie się podział ten twój bajeczny mąż? — przerwał Milton, zmieniając temat.

Rozejrzałam się wokół, ale nigdzie nie zobaczyłam Huntera. Wkrótce dostrzegłam go niedaleko fortepianu. Odwrócony tyłem do mnie, rozmawiał z dwiema dziewczętami przebranymi za bliźniaczki z Harajuku3 z bielutkimi twarzyczkami. Jedna z dziewcząt wyglądała dość pospolicie, druga była niewątpliwą pięknością z niewiarygodnie wystającymi kośćmi policzkowymi. Ta przeciętna wkrótce się oddaliła, Hunter kontynuował rozmowę z tą drugą, japońska połyskliwa fryzura z prostych włosów okalała jej twarz. Dziewczyna miała na sobie białą bluzkę z czarnym krawatem i szkocką minispódniczkę. Jej nogi zaś były niesamowicie długie, takie widuje się tylko na Sardynii latem. Całość dopełniały buty na grubej podeszwie i białe podkolanówki. Właściwie jej elegancja była wyzywająca, zwłaszcza na tle wszechobecnej bieli pomieszczenia.

— O, tam jest — odpowiedziałam, wskazując na Huntera. — Chodźmy do niego.

---

3 Kultowe miejsce w Tokio, ulubiona dzielnica modnych i wyzwolonych nastolatek, gdzie panuje osobna moda — na stroje, muzykę, tańce.

Podnieśliśmy się wszyscy z szezlonga. Ale gdy tylko Marci spostrzegła dziewczynę z Haraiuku. stanęła jak wryta.

— Coś takiego! —wyrwałojej się. — To Sophie D'Arlan. Popatrzcie na nią, jak bierze Huntera za rękę — dodała szeptem. — To straszna flirciara. Wiecie, że nie lubię plotkować, bo to obrzydliwe, ale najwidoczniej Sophie miewa romanse z tymi, z którymi nie powinna. Lepiej się jej strzec.

— Marci, pobraliśmy się zaledwie przed czterema tygodniami. Nie sądzę, by uganiała się za młodym żonkosiem — odpowiedziałam bagatelizująco.

— Nie myśl sobie, że obrączka na jego palcu będzie stanowiła dla Sophie jakąś barierę. Ona umawia się wyłącznie z żonatymi.

— Przestań straszyć Sylvie — upomniał ją Milton, kuśtykając za nami na swoich wysokich obcasach. — Spotkamy się później. Właśnie wypatrzyłem prawdziwego Davida Bowie.

Mówiąc to, oddalił się chwiejnym krokiem w stronę ogrodu. Tymczasem razem z Marci dołączyłyśmy do Huntera i Sophie. Mimo dopiero co wypowiedzianych cierpkich uwag na temat koleżanki, Marci uścisnęła i ucałowała Sophie serdecznie.

— Sophie, czy znasz już Sylvie? — zapytała, wskazując na mnie.

— Chyba nie. Cześć. Jestem Sophia D'Arlan — przedstawiła się z egzotycznie brzmiącym akcentem w jej francuszczyźnie. — Marci, przestań nazywać mnie „Sophie".

— Sylvie jest żoną Huntera — dodała Marci, niepotrzebnie, moim zdaniem, podkreślając słowo „żona".

Słysząc tę nowinę, Sophia wyraźnie pobladła, mimo osiągniętej już dzięki pudrowi sztucznej białości twarzy. Oparła się o fortepian, jakby chciała złapać równowagę.

— Hunter, to ty się ożeniłeś? — zapytała go oskarżycielskim tonem.

— Noszą takie same obrączki — Marci zwróciła jej uwagę i na ten szczegół. — Ale domyślam się, Sophie, że w mroku nie mogłaś tego zauważyć.

— Sophia — poprawiła ją. I zaraz, wybuchając nieszczerym śmiechem, zwró-

ciła się do mnie: — W każdym razie moje gratulacje, Sylvie. Znam twojego uroczego męża chyba od zawsze, a na pewno od czasów szkoły średniej. Byliśmy nierozłączni... — Skrzyżowała palec wskazujący i środkowy, by wzmocnić efekt swoich słów. A potem, przenosząc wzrok na Huntera, dodała: — Nie mogę uwierzyć, Hunter! Nic mi nie mówiłeś, że wycofujesz się z rynku. Kto by pomyślał?! Hunter żonaty!

Wpatrywała się w niego odrobinę za długo. W końcu przeniosła wzrok na mnie i powiedziała:

— Hunter jest taki miły, że służy mi pomocą w tym, nad czym obecnie pracuję. To naprawdę słodkie.

— Bo Hunter jest słodki, prawda? — uśmiechnęłam się do niego. Poczułam, jak obejmuje mnie w pasie i delikatnie przytula.

— Tak, to bardzo czuły mąż — potwierdziła Marci, kierując swoją uwagę w stronę Sophii.

— Ej, dziewczęta, dosyć tego dobrego — upomniał je Hunter z miną lekko zakłopotaną.

— Będziesz tak dobra, Sylvie, i wypożyczysz mi Huntera jeszcze na pięć minut? — zapytała Sophia. — Chcę z nim omówić pewne szczegóły dotyczące mojego projektu. — I nie czekając na moją odpowiedź, wymanewrowała go w stronę kominka. Marci popatrzyła za nimi ponuro.

— Pewnie jestem paranoiczką — prychnęła.

— A skoro już rozmawiamy o mężach, Marci, to gdzie się podziewa twój? — zapytałam, próbując zmienić temat.

— Nie wiem — odpowiedziała beztrosko. Nie wydawała się ani trochę zmieszana tym wyznaniem.

— Jak to, Marci, nie wiesz? — roześmiałam się.

— Zapomniałam.

— No wiesz, Marci...

— Zresztą kto to wie. Christopher pewnie pojechał w jakieś zakazane miejsce jak Cleveland, by coś tam sprzedać. Nie sposób tego wszystkiego zapamiętać.

Poza tym jakież to ma znaczenie?

W tym momencie pojawiła się znów Lauren, przemierzając bezbłędnie na wrotkach marmurową przestrzeń i dzierżąc w dłoni srebrną tacę.

—Komu tequilę? — zapytała, odstawiając tackę na podręczny stoliczek. Marci wzięła kieliszek i opróżniła go jednym haustem.

—A gdzie jest Hunter? — zapytała Lauren, szukając go wzrokiem. — Chciałabym go bliżej poznać.

— O tam, z Sophią D'Arian — rzekłam, wskazując na kominek, gdzie nadal stali oboje i rozmawiali z ożywieniem. Sophia miała poważną minę. — To chyba starzy znajomi.

Lauren wykonała wprawnie piruet, zrobiła skłon i dotknęła palcami czubków butów. Pozostając w tej pozycji, odpowiedziała:

— Sophia tak mówi o wszystkich żonatych panach.

— Hunter pomaga jej w jakimś projekcie, który ona opracowuje — wyjaśniłam.

—Sophia D'Arlan nie potrzebuje niczyjej pomocy, możesz mi wierzyć. Jest bardziej ustosunkowana niż sam Verizon. Jej mama to Rothschildówna z domu, a jej tata dostał Pokojową Nagrodę Nobla za jakieś nudne francuskie sztuczydło, które napisał.

— No cóż, Hunter po prostu jest uczynny. Chce być dla każdego dobry.

Lauren wyprostowała się, by zlustrować tłum gości.

— Nawet gdyby mój mąż był święty, nie pozwoliłabym Sophii zbliżać się do niego. Pamiętasz, co ci mówiłam o łowczyniach mężów? — powiedziała Lauren ze zmarszczonymi brwiami. — O Boże, zaczyna się.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, DJ puścił *Good Times* I wszyscy zaczęli tańczyć. Tańczyliśmy chyba co najmniej godzinę, kiedy kątem oka spostrzegłam, jak Sophia całuje Huntera w oba policzki, co uznałam za obyczaj francuski. Potem zarzuciła mu obie ręce na szyję, uściskała na pożegnanie i odeszła. Hunter natychmiast zaczął się do nas przeciskać, mijając po drodze elegancką parę udającą Liz Taylor i Richarda Burtona, tańczącą z dwiema panienkami ubranymi w białe suknie ślubne Caroliny Herrery. Obie jasnowłose, bose, trzymały w dło-

niach bukieciki białych różyczek.

– Oto i Hunter. Uważaj na Renée Zellweger! — zawołała Lauren. Kiedy dołączył do nas, odezwała się, nie przerywając tańca: — Ominęła cię najlepsza zabawa. A jak było tam?

Hunter objął mnie czule, drugim ramieniem otoczył ciągle podrygującą w tańcu Lauren i oświadczył:

— Bez was obu nic nie jest wystarczająco atrakcyjne. Ale może się napijemy? Suszy mnie.

Po kilku minutach sączyliśmy już saccotini przy barze. Wtedy Hunter wystąpił z propozycją:

– Wiecie co, mam świetny pomysł. Co wy na to, żebym skojarzył Lauren ze swoim najlepszym kumplem? Znam go od czasów college'u.

– Kto to? — zapytałam.

– Nie znasz go jeszcze, kochanie. Często wyjeżdża w interesach. Dla Lauren byłby wprost idealny. Niesłychanie inteligentny, elegancki, w sam raz dla ciebie...

– To naprawdę ładnie z twojej strony, Hunter — przewala mu Lauren — ale ja nie gustuję w randkach w ciemno. Dla mnie to tandeta.

– Następnym razem, kiedy tu przyjedzie — Hunter nie dawał za wygraną—moglibyśmy się razem wybrać na obiad.

– Przestań mnie swatać. Ja lubię tylko gorący seks z nieznajomymi — wypaliła. — Tak czy owak dziękuję. Jesteś naprawdę słodki, jak twierdzi twoja żona.

– Może wezmę sprawy w swoje ręce — upierał się Hunter, uśmiechając się tajemniczo. — Stanowilibyście świetną parę.

– A teraz mówisz jak ten facet w programie *The Bachelorette* — jęknęła Lauren. — Rany!

– Nie interesuje cię cudowne małżeństwo? — Hunter nie dawał gasić swojego entuzjazmu.

– Mówisz jak moja babcia. Nie ma dla mnie nic gorszego niż cudowne mał-

żeństwo. — Gdy tylko to powiedziała, zaraz się zmieszała. — Oczywiście z wyjątkiem was. Oj, przepraszam.

Z kolei Marci zrobiła zirytowaną minę.

– Gdzie się podziewałaś przez cały wieczór? — zaczęła.

W tym momencie zadzwoniła komórka Lauren. Spojrzała na ekranik, uśmiechnęła się, po czym złożyła telefon na marmurowej płycie i zostawiła tak, by dalej dzwonił.

– Może to Jay-Z albo ktoś inny, kto dzwoni, by zapytać, czy mógłby przyjść na przyjęcie — domyślała się Marci, wpatrując się jak zahipnotyzowana w terkoczący telefon. — Dlaczego nie odbierasz?

Za całą odpowiedź Lauren tylko wzruszyła ramionami i odpłynęła na wrotkach.

*

Trochę później, kiedy tłum począł rzednąć i wszyscy już czuli się całkiem swobodnie, wyciągnęliśmy się z Hunterem na sofie, a zaraz dołączyła do nas Marci. Nieco rozwlekle i okrężnie, jak to zwykle bywa, gdy jest się lekko napitym, zaczęła nas przekonywać, że głównym powodem, dla którego Lauren cieszy się tak niezwykłą popularnością w Nowym Jorku, jest to, że nie odbiera telefonów. Sama później może oddzwonić, ale nigdy nie odpowiada od razu. Nikt chyba nie widział, żeby Lauren kiedykolwiek wybierała jakiś numer. Krążą pogłoski, że nie daje swojego stacjonarnego numeru nikomu, z wyjątkiem służącej. Nie obchodzi jej, czy facet zadzwoni po raz drugi (zawsze dzwonią), każe im czekać na swój telefon przez dalsze trzy tygodnie. Niektóre dziewczyny z Nowego Jorku powiadają— głównie przez zazdrość — że to niegrzeczne z jej strony. Tylko Marci utrzymuje, że Lauren boi się tak jak Greta Garbo, dlatego nie odbiera telefonów.

– Słyszałam, jak ludzie mówią o niej okropne rzeczy. Na przykład, że wraca z przyjęć do domu, gapi się w ogień na kominku, a w łóżku tuli do psa, taka samotna się czuje. Ale to są złośliwości. W rzeczywistości ona jest milutka, ludzie

nie wiedzą, jakie to było straszne, kiedy jej młodsza siostra zginęła w wypadku- Lauren na wszystko reaguje uśmiechem, nawet na tragedie rodzinne. Ona ma złote serce, mimo że jest lekkomyślna — ciągnęła Marci. — Większość tu zebranych zbyt łatwo przyjmuje zaproszenia różnego rodzaju: na kolacje, na zdjęcia do kolorowych magazynów, udział w programie telewizyjnym czy na seks. A Lauren pod żadnym względem nie jest łatwa.

Faktem jest, że jeśli chodzi o Lauren, to należy liczyć się z możliwością odwołania przez nią kolacji zamówionej na ósmą dokładnie o ósmej — i to kolacji, dla której inne dziewczyny dałyby się zabić. A ona nie, odwołuje i zapomina o sprawie. Nowojorskie gospodynie muszą patrzeć długodystansowo: jeśli Lauren nie przyjdzie tym razem, to może pojawi się następnym, natomiast nie można się na nią gniewać. Poza tym — czy można się gniewać, kiedy jej wymówki brzmią tak: „Muszę obejrzeć drużynę taty w LA", „Utknęłam na lotnisku w Aspen", „Boo Boo (wyżeł węgierski) dostał uczulenia". Jeśli zaczniesz narzekać, może to być zrozumiane jako zazdrość — o jej tatę, Aspen czy psa. Lauren jest nieobliczalna do tego stopnia, że nawet jeśli przychodzisz na umówioną wizytę, drzwi zawsze otwiera ktoś inny. Często jest to Agata, jej polska pokojówka, zawsze ubrana na biało, w białych butach, szortach, bluzce. I ona powie wam: „Panna Lauren wkrótce tu zejdzie. A kogo mam zaanonsować?", jak gdyby akurat o tej porze nikogo się nie spodziewano. Kiedy czekasz, Agata częstuje cię naparem z szałwii. Zioła zawsze są naparzone i stoją na kuchni, na wypadek gdyby Lauren miała ochotę napić się o trzeciej nad ranem. Agata uwielbia Lauren, ponieważ ta pozwala jej nosić biżuterię podczas sprzątania.

— Może powinniśmy pójść na dół i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś odpowiedniego na kaca — dodała Marci. — Napar z szałwii dobrze by nam zrobił.

I wtedy na wrotkach podjechała do nas Lauren.

— Ktoś wspominał szałwię Agaty? Już jest w drodze.

— Bosko! — zachwyciła się Marci z błyskiem w oku. Niewątpliwie bardziej niż Agata wielbiła Lauren.

— Zatem, Hunterze — odezwała się Lauren — Sylvie mówiła nam, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżasz do Paryża.

— Tak, nie będzie mnie przez parę tygodni — potwierdził Hunter. — Czy możesz zaopiekować się przez ten czas moją kochaną żonusią?

— Ktoś mówił coś o wyjeździe do Paryża?

To była Sophia. Nagle wyrosła przy nas i patrzyła wprost na Huntera.

— Ja też tam jadę. Może byśmy się tam spotkali na *verveine*? Na przykład w Costes? Taka się tam czuję samotna... W każdym razie przyszłam się z wami pożegnać. Tworzycie uroczą parę. Oczywiście jestem tym zdruzgotana.

— Dlaczego już wychodzisz? — zapytała Marci. — Zabawa jeszcze trwa.

— Mam przed sobą upojną noc — odpowiedziała Sophia ze znaczącym mrugnięciem.

Odwróciła się do wyjścia, ale jeszcze stanęła na moment I spoglądając przez ramię rzuciła:

— Hunter, zadzwonię do ciebie w Paryżu.

Lauren spojrzała na mnie ostrzegawczo. Z kolei ja popatrzyłam badawczo na Huntera, ale wyglądał na niewzruszonego. Sophia najwyraźniej zasługiwała na opinię, jaka o niej krążyła, za to mój kochany małżonek wydawał się niezłomny. Nie nadawaliśmy się na bohaterów prasy brukowej.

TLR

4

ZAWÓD: PRZYJACIEL

Zdaniem dosłownie wszystkich, którzy choć trochę znają się na tych sprawach, najbardziej intrygującym zaproszeniem sezonu w Nowym Jorku było to, które wysłała Alixe Carter. Nadeszło w ostatniej chwili, wkrótce po przyjęciu urodzinowym Lauren, przy czym zostało doręczone przez posłańca. Obecnie nikt w Nowym Jorku niczego nie wysyła pocztą. Tak wysłane zaproszenie oznaczałoby, że gospodyni jest właściwie wszystko jedno, czy adresat pojawi się na jej imprezie; jeżeli zaś chciałaby mieć pewność, że dotarło pod wskazany adres, o czym świadczyć ma krótka odpowiedź, powinno być dostarczone do rąk własnych przez posłańca.

Koperta była jasnoszara, taka, jakich używa się w salonach Diora, tekst zaś wykaligrafowany na kartoniku wypukłymi białymi literami — w starym, dobrym stylu. Ten skromny z pozoru styl ostatnio upowszechnił się w Nowym Jorku, mimo, albo właśnie dlatego, że białe litery kosztują u Smyth- sonów dwa razy więcej niż na przykład te w kolorze pasteloworóżowym, który i tak jest dwukrotnie droższy pozostałych „standardowych" kolorów.

Przebiegłam wzrokiem treść kartonika.

Alixe Carter serdecznie zaprasza na

PRZYJĘCIE ROZWODOWE Lauren Blount

w sobotę 2 października o północy

Penthouse, hotel Rwington

Prezenty: dla jednej osoby

Ubiór: jak na randkę

Osoba towarzysząca: pan na wydaniu

Osoby niepożądane: mężowie

To bardzo w stylu Lauren, pomyślałam od razu. Wydawać z okazji rozwodu przyjęcie wymagające prezentów, po tym jak każda nowojorska trzydziestodwulatka odżegnała się od udziału w wieczorach panieńskich lub ku czci noworodka, a to z powodu reakcji, odrzucającej na określenie „dziesięcio- centymetrowe rozwarcie". „Rozwarcie" —jakież to złowieszcze słowo. Powinno się je zmienić. Zauważyłam, że koperta zawierała coś więcej —jeszcze jeden kartonik, tym razem z szarym wypukłym drukiem na białym tle:

Lauren zatrzymała się pod adresem:

Condomania, 351 Bleeker Street,

tel.: 212 555 9442

Agent Provocateur: 133 Mercer Street, tel.: 212 222 0229

Jak zwykle nikt od dawna nie widział Lauren ani z nią nie rozmawiał. Sama próbowałam kilkakrotnie zadzwonić do niej z podziękowaniem za przyjęcie urodzinowe, ale zawsze słyszałam komunikat:„ skrzynka głosowa jest pełna". Nawet nie mogłam zostawić wiadomości. I oto nagle Lauren wyskakuje z pomysłem przyjęcia rozwodowego, co każdy uznałby za przejaw histerii.

I chociaż nikt tak naprawdę nie orientował się, co miałoby to oznaczać, nikt też tym się nie przejmował. Bo jeśli chodzi o Lauren Blount, to z nią i tak nigdy nic nie wiadomo. Może z wyjątkiem kilku pewników: że była bardzo młoda, bardzo bogata, bardzo szczupła, bardzo ładna i bardzo, ale to bardzo rozwiedziona. i,

Zawodowy przyjaciel to nowy gatunek znajomości, który trzeba zaliczać w Nowym Jorku, choćby tylko podświadomie. To znaczy, jeśli masz kogoś takiego, to w ogóle nie zdajesz sobie z tego sprawy, ponieważ Zawodowy Przyjaciel działa tak jak Prawdziwy Przyjaciel —jest ciepły, serdeczny, troskliwy. Dekoratorzy wnętrz, konsultanci w dziedzinie sztuk pięknych, doradcy finansowi, dekoratorzy sal recepcyjnych potrafią w niewidoczny sposób przeniknąć na listy płac dziedziczek fortun na Manhattanie, zgarnąć swoje 15 procent i pozostać najlepszymi kumplami. Kto inny potrafiłby tak świetnie jak oni rozumieć Jakie wszystko jest stresujące", przy czym to świetne rozumienie objawia się zazwyczaj wpół do szóstej rano, czyli w porze, kiedy nowojorskie księżniczki zaczynają się wkurzać „jakie wszystko jest stresujące".

Pełne obaw, by nie upodobnić się do swoich zamężnych koleżanek, niezdolne do obdarzenia zaufaniem normalnych mężczyzn, ale potrzebujące partnera, z którym można by się pokazać, świeże rozwódki są łatwą zdobyczą. Dość szybko zdałam sobie sprawę, że uroczy Milton jest największym zawodowcem wśród Zawodowych Przyjaciół. Nie miało się najmniejszych powodów sądzić, że mógłby być fałszywym przyjacielem. Zdarzało mu się na przykład nieraz wysyłać wszystkim swoim dziewczynom koszyczek witamin z liścikiem, że się o nie „martwi". Albo dzwonił do Lauren czy innej swojej chlebodawczyni z wiadomością, że na dworze trochę się ochłodziło, więc lepiej, żeby nie wychodziła z domu, bo może się przeziębić. Jasne, że po takich dowodach troskliwości każdej z nich wydaje się, że bez niego zamarznie gdzieś po drodze albo wpadnie w anemię.

Nie przypadkiem więc w tym samym dniu, w którym Hunter wyjechał do Paryża, do naszego domu dotarła z samego rana elegancka przesyłka, zapakowana w błyszczący czarny papier, przewiązana rypsową wstążką według precyzyjnego, niemal geometrycznego wzoru. Niecierpliwie rozdarłam kopertę. Wewnątrz znajdowała się wizytówka ze złoconego na brzegach białego kartonu, przez której środek biegł pomarańczowy napis: Milton Holmes. Treść wypisana była atramentem w kolorze sepii.

Kochana Sylvie,

powiew Paryża na One Fifth Avenue.

Z rozkoszą znów Cię zobaczę.

Wpadnę koło szóstej.

Ściskam, Milton

Wpadnie około szóstej? Skąd Milton dowiedział się, gdzie mieszkam? Może Lauren mu powiedziała. Ale czego on chce?

Między jednym łykiem espresso a drugim otworzyłam paczkę. Wewnątrz znajdował się album Assouline'a *Paryskie salony.* W kilku miejscach przyczepione były jasnoniebieskie samoprzylepne karteczki. Otworzyłam książkę na jednej z nich. Zobaczyłam ogromny salon z b iałą boazerią z mnóstwem antyków, białych krzeseł i stołów, do tego secesyjne lampy, wazony z bzem. Pod zdjęciem widniał napis: „Inès de la Fressange, projektantka mody, dzielnica

Elysée”. Na samoprzylepnej karteczce Milton dopisał: „Podoba mi się ta szeroka klepka układana w jodełkę”.

Uświadomiłam sobie, że oto wpadłam w pułapkę zastawioną na mnie fachowo przez dekoratora wnętrz. Zanim przenieśliśmy się do Nowego Jorku, udało nam się znaleźć to przestronne, trochę staroświeckie mieszkanie na piątym piętrze domu z lat dwudziestych przy One Fifth Avenue. Wychodziło na Washington Square Park i bardzo mi się podobało, mimo że nie zostało jeszcze do końca urządzone.

Milton zapewne liczył na to, że nie potrafię oprzeć się jego wdziękowi teraz, kiedy Hunter wyjechał. Ale przecież nie należę do dziewczyn, które niewiele myśląc, wynajmują sobie dekoratora. Jak dotąd nie było nas po prostu stać, a choćbyśmy nawet obecnie mogli sobie na to pozwolić, nic się nie zmieniało w moim podejściu do sprawy. Byłam na to zbyt samodzielna. Często miałam wrażenie, że nowojorskie dziewczyny są za mało samodzielne, a ja nie chciałam się taka stać. Przecież żyjemy w Nowym Jorku, w dwudziestym pierwszym wieku, a nie w osiemnastowiecznej Florencji, choć wiele kobiet zdaje się tego w ogóle nie zauważać. Wygląda na to, że na Upper East Side mieszkają dziewczyny, które same nie potrafią się nawet uczesać.

Nie wiedziałam, czy znajdę dość czasu na to, by urządzić mieszkanie do końca, ale jakoś bym sobie chyba poradziła. Pozostawały mi weekendy, w dodatku teraz, gdy Hunter wyjechał, rozrywki zabierały mniej czasu. W dalszym ciągu jednak miałam ogromną przestrzeń do urządzenia. I chcąc nie chcąc, musiałam przyznać, że było to trochę deprymujące.

Akurat w tym momencie zadzwonił telefon. Odezwał się oczywiście Milton.

—Czy już cię zafascynowała ta książka? — zapytał radośnie.

— Jest wspaniała, ale...

—Czy możecie przesunąć krzesło troszeczkę w prawo... Jakieś piętnaście, szesnaście centymetrów, odrobinę dalej? Bardziej w stronę tarasu, o tak. Dość. Dosyć! — krzyknął. — Przepraszam, ale jestem właśnie w terenie.

—Może zadzwonić do ciebie za chwilę? — zaproponowałam.

—Zawsze jestem w terenie. Ale powiedz, dajesz mi tę pracę. — zapytał.

—Na pewno nie będziesz miał tyle czasu — próbowałam grzecznie odmówić.

—Jak sobie dasz radę sama z taką powierzchnią? — zapytał Milton. — Poza tym nie dostaniesz ani metra porządnej tkaniny, dopóki ja nie zabiorę cię do D&D. Bardzo tęsknisz za Hunterem?

— Dzwoni do mnie bez przerwy — odrzekłam.

I tak było. Upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od jego wyjazdu, a on zdążył już do mnie zadzwonić z lotniska JFK i Charles'a de Gaulle'a oraz zostawić mi z samego rana wiadomość na komórce, że kocha i tęskni za mną. Czy można było życzyć sobie bardziej czułego męża?

—W każdym razie wpadnę później na kawkę. Nic na to nie poradzisz. Do zobaczenia o szóstej.

To mówiąc, odłożył słuchawkę.

Zaraz, a co ja robię o szóstej?Pospiesznie przebiegłam w pamięci swój rozkład dnia. Po południu miałam spotkanie z Thackiem i szefem od zakupów u Neimana

Marcusa. Cieżko będzie, nie spodziewałam się, by Neiman zamówił cokolwiek z nowej kolekcji. Może to i dobrze, pomyślałam sobie, że później miał przyjść Milton. Przynajmniej rozweseli mnie trochę po tym spotkaniu. Co nie znaczyło, że zamierzam go zatrudnić**.**

*

— Bardzo nam się podobają te sukienki — oświadczył Bob Bulton, główny zaopatrzeniowiec Neimana Marcusa, kończąc zamówienie i wciągając elastyczną opaskę na plik papierów.

Bob Bulton należał do najbardziej wpływowych zaopatrzeniowców u Neimana Marcusa, chociaż jego aparycja bynajmniej na to nie wskazywała. Zwalistej postury, zbliżający się do wieku emerytalnego, ubrany był w garnitur Thoma Browne'a, charakteryzujący się głównie tym, że mankiety nogawek kończyły się wysoko nad kostką, by odsłonić kaszmirowe skarpetki w kolorze lila. Mimo że w ciasnej pracowni Thacka przy Chrystie Street wszędzie kłębił się towar, a chińskie szwaczki i stażyści obijali się o siebie i maszyny do szycia, Bobowi najwy-

raźniej nie przeszkadzał ten bałagan. Ostrożnie uniósł swój potężny kuper z antycznego krzesełka, na którym siedział.

— Ale przed spotkaniami z prasą możemy się zobowiązać do zakupu najwyżej piętnastu kreacji — dodał. Następnie spojrzał głęboko w oczy Thackerayowi i powiedział z naciskiem: — A ty załatwisz dziennikarzy.

— Nie ma sprawy — odrzekł lekko Thackeray.

Uśmiechał się beztrosko, wciśnięty w kąt francuskiej sofy w przeciwległym rogu pracowni. Wyglądał na całkowicie odprężonego, ubrany w garnitur według mody lat sześćdziesiątych, z Saville Row oraz szytą na miarę szykowną koszulę. W klapę marynarki miał wpiętą broszkę z brylantem z różową perłą, niegdyś należącą do jego matki. Teraz spojrzał na mnie i rzucił nieoczekiwanie:

— Sylvie jest bardzo ustosunkowana w Nowym Jorku. Pozyskała już przynajmniej trzy młode piękności, które zgodziły się wystąpić w naszych sukniach na balu noworocznym u Alixe Carter.

Thackeray, tak jak wielu innych projektantów mody, bardziej zasługiwał na Oscara niż większość aktorów. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, skinęłam potakująco głową i powiedziałam:

— Czyż to nie wspaniała nowina? —jednocześnie myśląc I w duchu, że to wierutne kłamstwo

Za składanie takich fałszywych zeznań z pewnością kiedyś spotka mnie kara.

—W takim razie moje gratulacje — powiedział Bob, na którym nowina ta zrobiła duże wrażenie. — W porę przyszpiliłaś te dziewczynki. Wobec tego dodamy do naszego I przedwiosennego zamówienia po dwie suknie z tych, które będą zaprezentowane na balu. — Sięgnął do formularzy zamówień. — Jeśli ukażą się na zdjęciach w prasie, natychmiast wyfruną nam ze sklepu. Jak ci się wydaje, czy sama Alixe też pokaże się w jednej z kreacji?

—Jej miara wypada za dwa tygodnie — ożywił się Thackeray, brnąc dalej w plecenie andronów.

—Muszę pogratulować Alixe dobrego gustu — obiecał Bob. — To serdeczna przyjaciółka mojej żony.

— Jak miło — szepnęłam, czując ucisk w sercu. — W takim razie będziesz na

balu?

–Za żadne skarby bym go nie opuścił — zarzekł się Bob. — Wyrazy uznania, Thackeray — dodał ciepło.

To straszne, pomyślałam z rosnącą paniką.

Gdy tylko Bob wyszedł, zaciągnęłam Thackeraya do bardzo skromnej toalety. Jedynie tam mogliśmy swobodnie porozmawiać. To mroczne pomieszczenie oświetlało się świeczką, by klienci nie mogli dostrzec, co to za nora.

– Boże święty, Thackeray, co to wszystko ma znaczyć? — wybuchłam.

— Przecież możesz pozyskać dla mnie te dziewczęta, prawda? — zapytał. — Już podwoiliśmy zamówienie, zakładając, że wystąpią one w naszych strojach na balu u Alixe.

– Muszę ci coś przypomnieć, Thackeray. Nikt nie zamierza się ubrać w twoje kreacje na przyjęcie u Alixe. Wszystko sobie zmyśliłeś.

— Sylvie, teraz to poważna sprawa. Dasz sobie radę.

Cały Thackeray. Najpierw obiecuje klientowi złote góry, a potem zrzuca wszystko na mnie. Wprawdzie nie miałam ochoty marnować czasu na wciskanie szczupłych panienek w suknie dla modelek, co sprawiało, że nawet rozmiar 34 wydawał się być przeznaczony dla grubasek, jednak musiałam się zgodzić z Thackerayem w jednej sprawie: miał rację co do handlowej strony przedsięwzięcia. Właśnie sprzedał sześć następnych modeli. Musimy ubrać tyle dziewcząt na bal noworoczny u Alixe, ile zdołamy. Nagle coś mnie natchnęło.

– Lauren! — wykrzyknęłam. — Przecież to dla niej Alixe urządza rozwodowe party z prezentami na nową drogę życia. Właśnie dostałam zaproszenie. Alixe musi być blisko z Lauren.

— Mówisz o Lauren Hamill Blount? — spytał niedowierzająco Thackeray. — Boże, ona jest zjawiskowa!

– Zgadza się.

– I jaka szykowna! Czy możesz tak zaaranżować sytuację, bym i ją mógł ubrać na to przyjęcie?

– Spróbuję — odpowiedziałam, ciężko wzdychając.

Gdybym tylko złapała z nią kontakt, w tym sęk.

*

Po otrzymaniu zaproszenia na przyjęcie rozwodowe znów usiłowałam dodzwonić się do Lauren. Mimo że tym razem udało mi się zostawić wiadomość w jej poczcie głosowej, nie odpowiedziała. Normalnie już bym sobie odpuściła, ale ponieważ w grę wchodził kontakt handlowy na linii Thackeray — Alixe, podjęłam jeszcze jedną próbę. Tego samego dnia po południu nagrałam się powtórnie w jej skrzynce, nie wierząc, że doczekam się jakiegokolwiek odzewu, po czym wróciłam do domu. Miałam nadzieję, że Milton, jako jej „najlepszy przyjaciel", zdoła się z nią skontaktować. Popędziłam do domu, gdzie zastałam już Miltona w moim saloniku wygodnie rozpartego na sofie o pożałowania godnym wyglądzie. Miał na sobie wściekle pomarańczowy kaftan kontrastujący z białymi lnianymi spodniami w stylu lat siedemdziesiątych, jakiemu hołdowały zwłaszcza hostessy z Palm Beach. Na mój widok uniósł brwi w geście politowania, wskazując wzrokiem fatalny rozkład siedzisk.

— Trudno mi uwierzyć, że udało ci się przekonać portiera, by cię tu wpuścił — powiedziałam na powitanie. Rzuciłam torebkę na podłogę i opadłam na poduszki sofy obok niego.

— Twoje meble określiłbym jako przechodzone, ale to miejsce jest... — Milton zamilkł na chwilę, potoczył wzrokiem po pustawym pomieszczeniu, taksując wysoki sufit I oryginalny kominek — ...*chicenstein,* totalnie *chicenstein.*

Mieszkanie było w istocie *chicenstein,* by użyć określenia Miltona. Poza ogromnym salonem znajdowały się w nim trzy sypialnie, pokój dla służącej, kilka łazienek, jadalnia, biblioteka i kuchnia przyzwoitej wielkości.

— Co za przestrzeń — podziwiał Milton. — Wielki Boże! Wychodzi na trzy strony świata! Po co ci klepka w jodełkę, skoro masz tu oryginalne terrazzo?

— Właściwie nie wiem, od czego zacząć — przyznałam, czując nagle, że przytłacza mnie ogrom pracy.

— To piękny pokój z duszą. Co byś powiedziała na tapety oparte na osiemnastowiecznych włoskich wzorach, w odcieniu lekko seledynowym, a na nich ręcznie odbijane z szablonu bukieciki srebrnych różyczek?

— Perspektywa zachęcająca... ale to chyba trochę nas przerasta — odpowie-

działam uprzejmie. Zaczynałam wpadać w panikę. Ręczna robota czegokolwiek musiała kosztować niemożliwie dużo. — Co innego można by tu zrobić?

— Sylvie, wpadłem na lepszy pomysł. Farrow and Bali Pink Ground, mam fioła na tym punkcie. Nie znajdziesz nigdzie bardziej miękkiego różu niż ta angielska farba, osiągnie się wrażenie... *Chatsworth.* Nie będziemy tapetować tych ścian. Tu sam widok za oknem stanowi wystarczającą dekorację. Popatrz tylko!

Oczywiście Milton miał całkowitą rację. Przeszłam przez cały pokój, by otworzyć drzwi balkonowe, skąd wychodziło się na trzy ozdobne balkoniki. Rozciągał się z nich widok na skąpane w słońcu, poruszane lekkimi podmuchami wiatru czubki drzew rosnących w Washington Square Park, nad którymi rozpościerał się bezkres błękitnego nieba. Jednak ta propozycja przekraczała nasze możliwości. Nie potrzebujemy architekta wnętrz, przypomniałam sobie.

— Milton — wyznałam wreszcie. — Nie sądzę, byśmy mogli sobie na ciebie pozwolić. — To powinno go zniechęcić.

Nic nie odpowiedział. Odwróciłam się i spostrzegłam, że wyszedł z pokoju. Chwilę potem znalazłam go w sypialni pana domu, po której krążył jak pomarańczowy obłok.

— Myślę, że właśnie taki efekt choć nie do końca dopracowany, chciałaś osiągnąć. Widać, że sama się tym zajęłaś. Wykazałaś daleko idącą znajomość tematu. Ale dodałbym tu jeszcze antyczne wezgłowie, ręcznie malowaną chińską tapetę, podręczne stoliczki typu Jan Sen...

— Milton, mnie nie stać na wynajęcie architekta wnętrz — wyznałam. — Twoje pomysły są świetne, ale ja nie należę do tego typu dziewcząt...

— Otrzymałaś mnie w podarunku od Lauren, więc i tak nie masz wyboru — odpowiedział, kierując się w stronę kuchni.

— Co takiego? — zdumiałam się, próbując go jednocześnie dogonić.

— Mam urządzić twoje mieszkanie. Lauren wiedziała, że sama nigdy byś mnie nie najęła. Czy to nie piękne z jej strony? Nie chcę się chwalić, ale naprawdę jestem znakomity w tej dziedzinie, więc wszyscy będziemy zadowoleni. Kieliszek szampana? — zapytał, otwierając lodówkę.

I nie czekając na moją odpowiedź, otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki.

Wznieśliśmy toast.

Poddałam się. Skuteczność zabiegów Miltona była imponująca. Nie do wiary, jak niewiele wystarczyło, by coś, przed czym długo się broniłam, nagle okazało się najlepszym rozwiązaniem. W ciągu kilku chwil Milton zdołał mnie przeciągnąć na swoją stronę, przede wszystkim przekonując, jak wspaniale będzie zaskoczyć Huntera po jego powrocie z Paryża widokiem urządzonych co najmniej trzech pokojów —- salonu, gabinetu pana domu i kuchni, czego nie byłabym w stanie osiągnąć w ciągu zaledwie miesiąca. Milton miał rację. Wiedziałam, że grał na moich uczuciach do Huntera, któremu chciałam się wydać tradycyjną młodą żonką, dbającą o ognisko domowe, a nie nowoczesną businesswoman. Wiedziałam, że Hunter poczuje się szczęśliwy w wygodnym domu, zwłaszcza że tego nie oczekiwał. A drugiej strony zdawałam sobie sprawę z tego, że sama nie wykroję na to dość niezbędnego czasu. Musiałam przyznać, że perspektywa chińskiej tapety była nader kusząca, ponadto Milton zdradził mi, że zna pewne miejsca dostępne tylko dla wybranych, gdzie można dostać wspaniałe meble. W wyobraźni zobaczyłam w nowo urządzonym mieszkaniu wygodną przestrzeń dla gości, których zaproszę na przyjęcie urodzinowe dla Huntera.

— W gruncie rzeczy — powiedział Milton, osuszając kieliszek — to pestka dla mnie. Parę kosmetycznych pociągnięć. Myślę, że główne pomieszczenia dokończymy, zanim wróci twój mąż. A propos, gdzie właściwie jest Hunter?

— W Paryżu. Szuka odpowiedniej lokalizacji dla swojego nowego show — odpowiedziałam.

— To świetnie — uznał Milton. — Muszę się z nim spiknąć, kiedy będę tam w przyszłym tygodniu. Jadę do Paryża na zakupy, a potem odwiedzę Sophię. Ma bajeczną rodzinną posiadłość na Ile St. Louis.

— Nie wątpię.

— Obiecała pokazać mi wiejski pałac Burbonów. Od czterdziestu lat nikt go nie zwiedzał, ale ona jest z Burbonów, z czym się zresztą nie obnosi, i może to zaaranżować. Wiesz, gdyby nie ta zawierucha w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, mogłaby dziś być królową Francji.

— Milton, czy widujesz od czasu do czasu Lauren? — zapytałam, zmieniając temat. Wzmianka o Sophii nie była dla mnie przyjemna, zresztą co innego zaprzątało moją uwagę.

— Dziś wieczorem będę się z nią widział, przed swoim wyjazdem do Paryża.

— Czy mógłbyś poprosić ją, by do mnie zadzwoniła? — zapytałam. — Naprawdę potrzebuję jej pomocy, to ma związek z moją pracą, ale Lauren jest nieuchwytna.

— Gdy tylko ją zobaczę, zaraz jej to powiem — obiecał Milton. — Pewnie siedzi teraz u siebie sama jak palec i nie odbiera telefonów.

TLR

5

PRZYJACIELE, NA KTÓRYCH NIE MOŻNA LICZYĆ

Tej nocy moja komórka zaczęła dzwonić o Bóg wie której godzinie, może o trzeciej nad ranem. Jeszcze zaspana sięgnęłam po telefon, spodziewając się, że to Hunter dzwoni do mnie z Paryża.

To była Lauren. Wydawało się, że jest na haju.

— O Boże, dopiero co poszedł — westchnęła do słuchawki. Była całkowicie rozbudzona.

— Kto taki? — zapytałam sennie.

— Sanford, oczywiście.

— Nie żartuj.

— Mówię ci. A przecież jest za późno, by żonaty mężczyzna przebywał w domu rozwiedzionej panienki. I to szykownej rozwiedzionej panienki. Aż musiałam dzwonić po jego ochroniarzy, żeby się go pozbyć. Jak ci się podobają nowe perfumy z gardenii, których raptem wszyscy zaczęli używać? Pachniesz wtedy jak całe Hawaje.

— Co? — zapytałam.

— Zauważyłaś, jak często zmieniam temat?

—A czego chciał Sanfora? — Zapaliłam światło i usiadłam na łóżku.

—No**...** wiesz, czego**....** Oczywiście do niczego nie doszło, co go doprowadza do szaleństwa. Nie używam z żonatymi, moim zdaniem to nie jest w dobrym stylu. Przepraszam, że aż tyle czasu zajęło mi oddzwonienie do ciebie. To moja wina. Prawdę mówiąc, źle się czułam, byłam niezdolna do niczego. A co myślisz o tym olejku z gardenii?

—Bardzo mi się podoba, ale nie wiem, gdzie go dostać — odpowiedziałam.

—To Bond No**.** 9**.** Dam ci swój. Nie do pojęcia, jak wszyscy w mieście oszaleli na punkcie tego zapachu. Milton powiada, że na swojej następnej imprezie powinnam wpiąć we włosy gardenię i wystąpić boso. Musisz przyjść na moje

przyjęcie.

— Z wielką przyjemnością...

—Przepraszam cię na chwilkę — przerwała. — Nie wyłączaj się.

Usłyszałam, jak w tle dzwoni u niej drugi telefon. Lauren odebrała połączenie.

—Tak, kochanie... Ja też tęskniłam... No, nie... Mogę zadzwonić później? Która jest u ciebie godzina? Dobrze? To tymczasem, pa!

Wróciła do naszej rozmowy.

— Och, trele-morele — westchnęła.

— Kto to był?

—Może byśmy zjadły jutro razem lunch? — zapytała Lauren, ignorując moje pytanie.

—Koniecznie — ucieszyłam się. Będę miała okazję wspomnieć jej o Alixe Carter. — Gdzie się spotkamy?

— Zastanowimy się nad tym jutro rano. Mogę zadzwonić do ciebie o jedenastej?

*

Lauren zatelefonowała do mnie do biura z wybiciem godziny. Szczerze mówiąc, mile mnie zaskoczyła swoją punktualnością. Może nie była taka okropna, jak o sobie mówiła.

— O rany, chyba się nie spóźniłam, co? — zapytała, gdy tylko odebrałam telefon.

— Skąd, jest za minutę jedenasta — odpowiedziałam.

— Pomyślisz sobie, że mi odbiło, ale muszę odwołać nasz lunch. Jestem okropnie zdegustowana.

Teraz i ja byłam zdegustowana. Co będzie z sukniową akcją Thackereya?

— Wszystko u ciebie w porządku? — zapytałam.

— O Boże, tak, w najlepszym porządku, och, to takie skomplikowane. Nasz lunch jest absolutnie niewykonalny.

— Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc w jednej sprawie związanej z moją pracą. Może w takim razie wybierzemy się na podwieczorek? — zaproponowałam z nadzieją w głosie.

— Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Utknęłam w Hiszpanii.

Więc Lauren pojechała do Madrytu. No tak. Lauren, jak wkrótce miałam się przekonać, fizycznie ani psychicznie nie była zdolna do przebywania w jednym miejscu dłużej niż mgnienie oka. Z drugiej strony — jak to możliwe, by w środku nocy była jeszcze w Nowym Jorku, a następnego ranka już w Madrycie? W jaki sposób tam dotarła?

— Privé — odpowiedziała, zniżając głos. — To nie był samolot Sanforda ani nic w tym rodzaju. To mój nowy przyjaciel. Zamówił dla mnie bilet na lot do Madrytu i tak długo mnie zamęczał, żebym jechała, aż w końcu, gdzieś chyba koło trzeciej nad ranem, pomyślałam sobie, że nieźle byłoby spędzić weekend w górach. Są tu świetne konie, a ja miałam wielką ochotę pojeździć sobie konno. Ale teraz, kiedy tu jestem, wolałabym być z tobą na lunchu. Przepraszam cię, bardzo jesteś zła na mnie?

— Ależ skąd. Co ty tam właściwie robisz?

— Powiem tak: pierwszy etap Planu Zaliczeniowego mam za sobą. Miziałam się z matadorem. Zabujałam się w nim.

Lauren stała się trzpiotowata jak licealistka. Szybka zmiana, nie ma co. Ale zaraz westchnęła ciężko i poskarżyła się:

— Sęk w tym, że pan Hiszpan, który w wolnych chwilach jest matadorem i wczoraj wieczorem w samolocie wyglądał bosko nad rybną potrawką, dziś stracił swój urok. Siedzę teraz w jego pokręconym domu w górach, a rośliny przyprawiają mnie o klaustrofobię. Tyle tu palm, nawet na dziedzińcu, że kojarzy mi się to z *Dniem Tryfidów.* Ale dla osiągnięcia celu muszę to wszystko ścierpieć. — Brzmiało to uroczyście niczym śluby czystości złożone przez świeżo wyświęconą zakonnicę. — To pierwszy kochaś z mojej listy.

— Jaki on jest? — zapytałam.

— Powiem tak: Matador Kochaś naprawdę mnie wykończył. Całowanie się z Hiszpanami to obrzydlistwo. Wsysają twój język, jakby go chcieli połknąć. Fuj! Amerykanin za coś podobnego zostałby aresztowany. Nie muszę cię chyba zapewniać, że sobolowa dwurzędowa kurteczka od Revillona z antycznymi guzikami już jest w drodze do Nowego Jorku. Mam nadzieję, że będzie tam przede mną. Wyznaczam sobie nagrodę-niespodziankę za każde zaliczenie, *n 'est ce pas?* —W końcu należy mi się, całowanie cudzoziemca to koszmar. Obca ślina i w ogóle... To jak letnia owsianka.

Roześmiałam się.

—Widzę, że naprawdę zasługujesz na porządne futro.

—O Boże, muszę się stąd ewakuować — zdecydowała Lauren. — Zadzwonię do ciebie zaraz po przyjeździe. Całuski.

*

Zazwyczaj nie mam nic przeciwko ekscentryczkom ani odwoływaniu umówionych lunchów, ale Lauren sprawiła, że Ekscentryczne Nowojorskie Dziewczyny stały się dla mnie kategorią prawie nieakceptowalną. Zaraz wyjaśnię, o co mi chodzi. Pewien stopień ekscentryzmu, odwoływanie spotkań w ostatniej chwili, sprawianie zawodu i ogólna nieprzydatność w dziedzinie przyjaźni — to w niektórych nowojorskich kręgach norma. Można uznać za regułę, że im ładniejsza i zamożniejsza dziewczyna, tym bardziej może pozwolić sobie na sprawianie ludziom zawodu, zwłaszcza w porównaniu do swoich mniej atrakcyjnych i nie tak bogatych odpowiedniczek. Sposób sprawiania ludziom zawodu Lauren podniosła na wyżyny sztuki. Stale wszystkich zawodziła, ale z takim wdziękiem, że nie tylko jej to wybaczano, ale poczytywano za jej dodatkowy urok. Tymczasem następne dwa dni, jakie spędziłam w biurze, bynajmniej do uroczych nie należały, ponieważ Thackeray bez przerwy mnie wypytywał, czy umówiłam się z Alixe Carter.

Mój następny kontakt z Lauren nastąpił kilka dni po wizycie Miltona — za pośrednictwem posłańca. Tego dnia, a był to czwartek, sprawami biurowymi

kierowałam z domu, żeby mieć oko na zastęp ludzi Miltona, którzy, muszę to przyznać, w krótkim czasie dokonali cudów. Wtedy nadeszła przesyłka z lilipucią bladoróżową kopertką na wierzchu. Wewnątrz znajdował się kartonik wielkości znaczka pocztowego, na którym widniała notka wypisana jaskrawo- różowym atramentem.

- *Wybacz! Lunch o pierwszej w Blue Ribbon? Całusy. L*

Nic tak bardzo nie zbija nowojorskich laleczek z pantałyku jak konieczność wyrażenia, przeprosin. To wyjaśnia najnowszą modę na maciupeńkie listowniki z monogramem (najmniejsze, jakie obecnie można dostać, mają wymiary pięć na siedem i pół centymetra), na których da się zmieścić nie więcej niż cztery słowa. *Kochanie, obiad wspaniały. Cecile X.* — to najdłuższy list, jaki można pomieścić na takiej karteczce, pod warunkiem że pisać się będzie po obu stronach. Złośliwi twierdzą, że panienki z Manhattanu dlatego upodobały sobie listowniki, na których nie ma miejsca na powiedzenie czegokolwiek, ponieważ nie mają właściwie niczego do powiedzenia.

Nieobliczalność Lauren nie zna granic. To nie tylko odwoływanie spotkań. To także robienie całkiem nowych planów w ostatniej chwili, co może się tylko równać z nagłością odwoływania w ostatniej chwili. Plany ekscentryczek nie kwalifikują się do odrzucenia, ponieważ dotyczą akurat spraw, o których się od dawna marzyło.

Przez chwilę, kiedy czytałam wytworny liścik Lauren, kusiło mnie, by odpowiedzieć jej, że już coś zaplanowałam. Niecierpliwie otworzyłam przesyłkę. W środku znalazłam flakonik olejku gardeniowego Bond No. 9, noszący nazwę *Nowojorskie Szaleństwo.* Do niego dołączony był staroświecki rozpylacz w etui z cielęcej skórki w pomarańczowym kolorze z jaskrawozieloną głowicą. Nie mogłam nie zachwycić się takim dekadenckim cacuszkiem. Przelałam troszkę perfum do rozpylacza i psiknęłam odrobinę na przegub. Zapach był wspaniały. A może nie miałam żadnych planów?

Zadzwoniłam do Thackeraya i uprzedziłam go, że może mnie nie być przez całe popołudnie. Uznał, że to się opłaci, jeżeli uda nam się sprowadzić Alixe do przymiarki w pracowni. Matko święta, prawie nie znam Lauren — tak sobie myślałam, przebierając się na lunch — a już mam prosić ją o wybawienie mnie z kłopotliwej sytuacji, w jaką wplątałam siebie i jej najbliższą przyjaciółkę.

Wciągnęłam parę nowych aksamitnych spodni Hudson w kolorze czekolady, do nich włożyłam białą kurteczkę. Jeśli byłam w stanie emocjonalnego napięcia, ten strój powinien to zamaskować, taką przynajmniej miałam nadzieie.

Kiedy przyszłam do Blue Ribbon, sympatycznej restauracyjki na rogu Downing i Bedford, Lauren już tam była, co mocno mnie zaskoczyło. Siedziała przy okrągłym stoliku pod oknem. Jej sylwetkę spowijała suknia z marszczonego szyfonu w kolorze mokki. Mimo jesiennego chłodu, Lauren miała na gołych nogach tylko różowe klapki z krokodylej skórki od Jimmy'ego Choo. Etolę z niebieskiego lisa przerzuciła niedbale przez oparcie krzesła. Wyglądała na wypoczętą—jak na kogoś, kto w tak krótkim czasie przemierzył Atlantyk w obie strony. Kiedy szłam do jej stolika, zlustrowałam wzrokiem restaurację. Ku swemu niezadowoleniu spostrzegłam co najmniej cztery dziewczęta ubrane w białe kurteczki. W Nowym Jorku moda przemija w zawrotnym tempie. W każdym innym mieście w Ameryce rzeczy wychodzą z mody po sezonie ich noszenia, natomiast tu wystarczy jedna pora obiadowa.

— Wyglądasz jak Jackie O. — powiedziała Lauren, kiedy już do niej dotarłam. Wstała, uściskała mnie i ucałowała w oba policzki. — Masz świetną kurteczkę.

—Jest okropna. Za to ty wyglądasz wspaniale — odpowiedziałam, też ją całując.

—Skądże. Ja wyglądam strasznie — odrzekła, obciągając sukienkę. — Czuję się jak prosię.

Chociaż obie wyglądałyśmy dobrze, jest obowiązującym zwyczajem, że dwie dziewczyny, które spotykają się na lunchu w dowolnym miejscu Ameryki, komplementują wzajemnie swój niezwykły gust i wyczucie mody. Przy czym obowiązkowo muszą dorzucić coś niepochlebnego na własny temat. Tę zasadę poznaje się jeszcze w szkole średniej, i to tuż po ślubowaniu. Chodzi o to, by wcześniej nie wtrącić jakiegoś błyskotliwego powiedzonka oraz by nie wziąć na serio posłyszanych komplementów.

Kiedy miałyśmy to już za sobą, obie jednocześnie ciężko westchnęłyśmy i opadłyśmy na krzesła. Podszedł do nas kelner i przyjął zamówienie. Dwie coca-cole, stek z frytkami, żadnych sałatek.

—Umieram z głodu — powiedziała Lauren. — Przejdźmy od razu do rzeczy. W czym mogę ci pomóc?

—To dotyczy twojej przyjaciółki, Alixe, tej, która zaprosiła mnie na twoje przyjęcie rozwodowe.

—To ciekawe, bo ja też chciałam cię o coś poprosić w związku z Alixe — zauważyła Lauren ze zdziwioną miną.

— Tak? O co? — Byłam tym zaintrygowana.

— Ty powiedz pierwsza — uśmiechnęła się Lauren.
Opowiedziałam więc wszystko, całą tę rzewną historię, od początku do końca.

Wtedy Lauren wzięła do ręki komórkę, wybrała numer Alixe Carter i kazała jej wystąpić na styczniowym balu w sukni od Thackeraya Johnstona. O ile mogłam wywnioskować z tej rozmowy, Alixe zawsze robiła to, co poleciła jej

— Załatwione. Alixe przyjdzie do miary w ten poniedziałek, dwudziestego września, o drugiej po południu. Ja też mogę ubrać się na bal w coś od Thacka, jeśli to ci ma pomóc — obiecała, zamykając z trzaskiem telefon. — Och, Boże, cudownie — entuzjazmowała się na widok przyniesionej przez kelnera coli. Wypiła duszkiem, jakby od miesięcy umierała z pragnienia. — Czy cola nie jest najdoskonalszym napojem pod słońcem? Tysiące razy próbowałam odzwyczaić się od niej, ale naprawdę nie mogę. Już łatwiej jest rzucić palenie, chociaż tego też nie potrafię.

Po kilku minutach kelner przyniósł nasze porcje i postawił je na stole. Lauren popatrzyła na swój talerz i zapytała:

— Czy mogę dostać samą tylko surówkę z rzodkiewki? — i oddała całą porcję kelnerowi. Po czym zwróciła się do mnie: — Chciałam cię prosić o wielką przysługę, żebyś mnie wsparła w jednej sprawie...

— Jasne — odpowiedziałam. — Przecież ty dopiero co oddałaś mi wielką przysługę.

— Chciałabym, żebyś była moją druhną — wyznała Lauren, uśmiechając się słodko.

— Zamierzasz poślubić Matadora Kochasia?

— Nie. Chodzi o moje przyjęcie rozwodowe.

— Z rozkoszą. — Brzmiało to humorystycznie.

Wkrótce stało się jasne, że pomysł z druhną miał zapobiec obecności czyichkolwiek mężów na owym przyjęciu. Każda zaproszona osoba miała przyprowadzić jakiegoś pana stanu wolnego, i to na odpowiednim poziomie, nie żadnych przybocznych, którzy regularnie pojawiali się w charakterze chłopców do towarzystwa na kolejnych przyjęciach, bo ci nie mogli być brani pod uwagę jako ewentualni kandydaci na mężów. Odpowiedni poziom pana do wzięcia oznaczał

dobrą sytuację materialną, ciekawą dobrze płatną pracę, z tym, że im wyższe zarobki, tym mniej ciekawa mogła być ta praca. Na przykład praca przy komputerach była w porządku, jeżeli się było panem Skype. Inne wymogi dotyczyły pełnego owłosienia na głowie, nieruchomości (żadnych wynajmowanych, zadekretowała Lauren) oraz, w miarę możliwości, dziedziczonych fortun.

— Nie myśl, że szukam męża — szczebiotała Lauren. — Rozglądam się jedynie za Macankiem Numer Dwa. Chodzi o to, że rozwodowe party jest imprezą, na której świeża rozwódka znajduje się w towarzystwie zamężnych kobiet i nieżonatych panów. Zero rywalizacji. Z małymi wyjątkami, może wybiorę kilka świeżo rozwiedzionych dziewczyn... Salome... Tinsley... one są takie fajne. Boże spodziewam się, że nie masz mi za złe organizowania tego wszystkiego w ostatniej chwili. Dam ci listę facetów... Mam nadzieję, że nie jestem zanadto szurnięta... — powiedziała.

— Wcale nie jesteś szurnięta — zapewniłam ją, myśląc jednocześnie w duchu, że nie znam chyba nikogo, kto byłby bardziej szurnięty.

6

POLOWANIE NA MĘŻA

Tamtego piątku wieczorem po pamiętnym lunchu a Lauren, zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma czegoś niepokojącego w tym, że młoda żona, taka jak ja, bierze udział w organizowaniu imprezy celebrującej rozwód, w której nie uczestniczą mężowie. Wątpliwości nie dawały mi spokoju. Wprawdzie nie miałam wyraźnego poczucia winy, ale odniosłam wrażenie, że zarówno uczestnictwo w tego typu przedsięwzięciu przez świeżo poślubioną małżonkę, jak i fakt, że ją to rajcuje nie są całkiem w porządku. Muszę jednak przyznać, że inne młode żonki wydały mi się raczej nieznośne. Przyjęcia rozwodowe mogłyby stać się doskonałym antidotum na powszechną fiksację związaną z młodymi parami, które nie potrafią, jak się zdaje, rozmawiać na inne tematy niż modne kafelki w ich nowej kuchni czy podejmowane próby zajścia w ciążę. Takie tematy jak nacięcie krocza czy cykle owulacyjne powinny być zakazane w mieszanym towarzystwie po godzinie siódmej wieczorem, bo robi się od nich niedobrze.

Wczesnym wieczorem — w Paryżu pewnie była jedenasta — zadzwoniłam do Huntera, by opowiedzieć mu o imprezie. Jeżeli mój mąż będzie wiedział, co ja robię i gdzie, to wszystko będzie w porządku. A jeśli powie, że nie życzy sobie, bym brała w tym udział, bez żalu zrezygnuję z roli druhny.

— Kochanie, oddzwonię do ciebie później, dobrze? Teraz jestem jeszcze na kolacji — powiedział, kiedy zatelefonowałam do niego na komórkę.

W tle słychać było rozbawione towarzystwo, dało się rozróżnić brytyjski i amerykański akcent. Wyglądało na to, że Hunter świetnie się bawił.

— Oczywiście, kochany. Stęskniłam się, wiesz? — wyznałam jeszcze, zanim się rozłączyłam.

Nigdzie tego wieczoru nie wychodziłam, postanowiłam więc zjeść kolację w łóżku, obejrzeć odcinek *Entourage,* który mi umknął, i zaczekać na telefon od Huntera. To był owoc zakazany. Hunter nie znosił jadania w łóżku, uważał to za nieobyczajne, dla mnie natomiast takie sprawianie sobie przyjemności było objawem ucywilizowania. Przecież to wspaniałe: leżeć w łóżku w jedwabnej stylowej koszuli, smakować chińskie jedzenie i nikim się nie przejmować. Zasnęłam

jednak, zanim Hunter zadzwonił. Zapewne uznał, że nie należy mi przeszkadzać, ponieważ gdy obudziłam się w sobotę rano, nadal nie miałam od niego wiadomości.

*

Gdy tylko się ogarnęłam, zadzwoniłam do niego do hotelu. W Paryżu Hunter zatrzymywał się w Hotelu Bristol, co gwarantowało pewien poziom, jak się domyślałam. To jeden z ładniejszych stylowych hoteli.

— Nie ma tu pana Mortimera — powiedział zdawkowo Francuz po drugiej stronie linii. — Nie ma go od wczoraj.

Ciekawa byłam, co robi. Może spaceruje ulicami Paryża i usycha z tęsknoty do mnie, roiłam sobie. A może właśnie kupuje dla mnie koronkowy biustonosz u Sabbii Rosy. Tyle że nic mu nie powiedziałam o Sabbii Rosie, a powszechnie wiadomo, że mężom należy bardzo dokładnie mówić, czym mają sprawić żonom miłą niespodziankę. Zanotowałam w pamięci, żeby przy najbliższej nadarzającej się okazji wspomnieć mu o tym jakby mimochodem.

— Czy mógłby pan przekazać panu Mortimerowi wiadomość, kiedy wróci? — zapytałam.

Recepcjonista przełączył mnie na skrzynkę głosową, gdzie zostawiłam wiadomość ociekającą od słodkich zapewnień, że kocham, tęsknię, całuję, cmok-cmok, pa kochany, pa.

Potem zadzwoniłam na jego komórkę. Usłyszałam najpierw sygnał, a potem trzykrotne pikanie i głos: „Proszę — spróbować — później". Ponowiłam próbę jeszcze parę razy, ale telefon najwyraźniej nie działał. Och, ci Francuzi, nie uaktywniają u siebie amerykańskich telefonów, ignorują wszystko, co amerykańskie. Ale przecież mogę wysłać mu e-mail, pomyślałam sobie. Jeszcze w szlafroku usiadłam przy biurku, które Milton sprowadził dla Huntera i wstawił do biblioteki. Zaczęłam pisać:

Najdroższy kochany mężulku,

Twoja żonka bardzo za Tobą tęskni. Została wciągnięta w chytry plan Początkujących Rozwódek niedopuszczający mężów, i ma nadzieję, że się nie

sprzeciwisz. A propos, jeśli przypadkiem będziesz w pobliżu rue des Saintes-Peress i przypadkiem natkniesz się na sklep, który nosi nazwę Sabbia Rosa, zawierz swojemu instynktowi i wejdź do środka, ponieważ Twoja żonka uwielbia niespodzianki od Sabbii Rosy. Zadzwoń, misiaczku!

Całusy

Wyjaśniwszy sprawę przyjęcia, zaczęłam marzyć o satynie od Sabbii Rosy. Do niedzieli rano Hunter nie dał znaku życia, więc znów zatelefonowałam do Bristolu. Recepcjonista przez dłuższą chwilę szukał pokoju Huntera, by w końcu oświadczyć:

— U nas nie mieszka żaden pan Mortimer. Musiał się wyprowadzić.

— Niemożliwe, to jakaś pomyłka — nie ustępowałam. No bo gdzieżby się wyprowadził?

— Sprawdzę raz jeszcze — obiecał recepcjonista. Słyszałam stukot klawiszy komputera. — Nie, proszę pani. Wyraźnie mam tu napisane, że wymeldował się w piątek o drugiej po południu. *Au revoir.*

Połączenie zostało przerwane. Z wolna odłożyłam słuchawkę. Poczułam nagle, że mam w żołądku kamień. Hunter się wymeldował? Dokąd? Tej niedzieli po raz pierwszy w czasie trwania małżeńskiego stanu zaczęłam się poważnie zastanawiać nad Hunterem. Uwielbiałam go, ale czy po sześciu miesiącach mogłam powiedzieć, że go naprawdę znam? Nie było go dopiero od tygodnia czy troszkę dłużej, ale czy mogłam mu ufać? Z godziny na godzinę popadałam w coraz głębszą niedzielną depresję. Nawet telefon od Miltona, który radośnie zakomunikował mi, że dostał w Les Puces cudny, antyczny kryształowy żyrandol, jakoś mnie nie pocieszył. Kogo obchodzi kryształowy żyrandol, skoro brakuje tej bliskiej osoby, z którą siedziałoby się w jego blasku?

—Widziałeś może Huntera? — zapytałam.

— Eee... — zająknął się Milton.

— To jak? Widziałeś go?

— Nawet mi nie mignął. Żyrandol jest naprawdę cudowny...

— Gdybyś go spotkał, to czy mógłbyś... Chodzi o to, że...

Nieoczekiwanie dla samej siebie wybuchłam płaczem.

— Sylvie, co się dzieje? — Milton był skonsternowany.

— Po prostu muszę z nim porozmawiać. Nigdzie go nie mogę znaleźć, to się zrobiło takie stresujące, cały ten małżeński stan.

— Wiem, że mamy go spotkać jutro.

— Mamy? To kto jeszcze?

— Sophia zaaranżowała to spotkanie.

Sophia. Ta żyleta z Harajuku, prawie królowa Francji, ta z nogami.

— A dlaczego Sophia „aranżuje spotkania”? — zapytałam z przekąsem, nagle rozzłoszczona.

— Idziemy wszyscy do jednej restauracji przy rue Oberkampf. Ona chyba ma tam stolik.

*

Poniedziałek nie był wcale dniem lepszym od poprzednich. Hunter nadal nie dzwonił, ja w dalszym ciągu nie mogłam go znaleźć, a na dobitkę Alixe Carter nie przyszła na przymiarkę. Byłam pewna terminu, który wymieniła Lauren: poniedziałek, 20 września, druga po południu. Alixe jednak nie zadzwoniła, nie przysłała e-maila, a jej telefon komórkowy przełączony był na skrzynkę głosową. Thackeray w przygnębieniu szkicował ponure modele na uroczystość wręczenia Oscarów, ale na szczęście żadna z gwiazd nie musiała się w nie ubrać. Ja z kolei zagłębiłam się w księgowości wiedziona płonną nadzieją, że to odwróci moją uwagę od dręczącego mnie niepokoju.

Do czasu, kiedy usłyszałam głos Huntera, zdążyłam przejść wszystkie stadia wymuszonego pogodzenia się z ponurymi faktami — najpierw płacz, potem zadręczanie się, a wreszcie udawana wesołość. Powtarzałam sobie setki razy, aż w końcu niemal w to uwierzyłam, że mąż jest mi niepotrzebny. Dochodziła siódma wieczorem, kiedy Hunter zadzwonił.

— Jak się masz, kochanie — powiedziałam ostrożnie, kiedy usłyszałam jego głos. Serce waliło mi jak młot.

— Szalałem z tęsknoty przez cały weekend — wyznał. — Gdzie się podziewałaś?

—Ja? Zastanawiałam się gdzie ty przepadłeś. Chyba z piętnaście razy do ciebie dzwoniłam. Gdzie byłeś? — zapytałam zirytowana. Powoli zaczynało mnie to złościć.

— Tutaj. A gdzież mógłbym się podziać?

To było co najmniej dziwne.

— W hotelu powiedziano mi, że się wymeldowałeś — poinformowałam go.

— To dziwne. Byłem tu przez cały weekend. Nie mogłem tylko zadzwonić do ciebie, tak jak chciałem, ponieważ... Niekończące się sprawy służbowe... spotkania... i ta różnica czasu...

— Ciekawa jestem, dlaczego powiedziano mi, że ciebie nie ma. — Starałam się, by w moim tonie nie pobrzmiewały nuty oskarżycielskie.

— Ktoś się musiał pomylić — domyślił się Hunter. — A jeśli chodzi o przyjęcie u Lauren... Uważam, że koniecznie powinnaś zostać druhną. Ale chcę wiedzieć dokładnie o wszystkim, co się tam będzie działo.

—No pewnie — roześmiałam się odprężona. Może rzeczywiście wszystko było w porządku.

— Co do drugiej sprawy... SabbiaRosa... To rzeczywiście ładny sklep.
— Kupiłeś tam coś dla mnie? — zapytałam podekscytowana.

—Nie mogę uchylić rąbka tajemnicy, złotko...

— Och, kochanie, przepraszam — wyrwało mi się.

— Za co?

Za to, że zwątpiłam w Huntera. Fakt, że poszedł do Sabbii Rosy po jednej zaledwie wzmiance na ten temat, naprawdę świadczy o nim jak najlepiej. Całe to hotelowe nieporozumienie z ostatniego weekendu to oczywista pomyłka personelu. Chociaż... trochę dziwnie to wygląda. Ale w końcu... jakie to ma zna-

czenie? Pewnie to ia zaczęłam świrować, bo Huntera za długo już nie było w domu i w ogóle.

— Że mi ciebie brakowało — skłamałam.

— Ja o tobie myślę bez przerwy. Stale powtarzam sobie, że Paryż nie jest w pełni tym, czym mógłby być, gdybym obok siebie miał swoją piękną żonę.

— Ty jesteś moim ukochanym — powiedziałam. Bo tak jest i basta.

— Posłuchaj, w zeszłym tygodniu znalazłem wspaniałe miejsce na sceny wiejskie. Stare zamczysko, tylko dwie godziny jazdy z Paryża na północ.

— Jak je znalazłeś?

— Milton mi pomógł. Całkiem nieoczekiwanie zadzwonił do mnie w zeszłym tygodniu i zjedliśmy razem lunch w Café Flore. Gawędziliśmy o wnętrzach i wtedy on napomknął, że Sophia pokazała mu pewną niesamowitą okolicę, więc i ja rzuciłem okiem. Teraz jest tam już cała ekipa i pracują pełną parą.

— To ładnie ze strony Sophii — zauważyłam, jak mi się zdaje, wielkodusznie.

Wtedy coś mnie tknęło. Przecież Milton zaledwie wczoraj mówił, że jeszcze nie spotkał się z Hunterem. Może się przesłyszałam. Ale nie opuszczało mnie dziwne uczucie.

— Aha. Przydają się tu jej kontakty. Słuchaj, muszę już lecieć. Zaraz mamy się wszyscy spotkać. Pozdrowię ich od ciebie.

— Świetnie — odrzekłam i odłożyłam słuchawkę.

Dlaczego wszyscy, łącznie z Kobietą, Która Umawia się Tylko z Żonatymi, jedzą w Paryżu kolację z moim mężem, a ja siedzę w Nowym Jorku? Coś tu było nie tak. Wkrótce ja też powinnam się wybrać na weekend do Paryża.

7

PRZYJĘCIE ROZWODOWE

Przyjęcia wydawane przez Alixe Carter potwierdzały trafność nadanego jej przydomku — Spenderella, czyli Rozrzutnica. To jedyna nowojorska dziewczyna poniżej trzydziestu pięciu lat, która mogła zgodnie z prawdą przyznać, że posiada własną salę balową, gdzie odbywają się doroczne bale sylwestrowe. Głośno i z całym przekonaniem opowiada o tym, że jej pałac przy Charles Street utrzymywany jest z tantiem, jakie płyną z produkcji mydła Arancia di Firenze. Wszyscy jednak wiedzą, że to Steve, jej mąż, płaci za wszystko z dochodu, który przynosi mu sieć należących do niego kasyn, ale oficjalnie się o tym nie mówi — nie przeczyta się takiej informacji w żadnym z pism kobiecych ani też żadna z oddanych jej bezgranicznie dziewcząt, sprawujących funkcje jej dam dworu, nie zająknie się na ten temat.

— Czy nie przesadziłam z gałązkami kwitnących grusz? A może za mało ich dałam? — pytała ze zmartwioną minką, kiedy wraz z Lauren pojawiłyśmy się około północy w apartamencie hotelu Rivington, gdzie odbywała się impreza. Alixe miała na sobie białą suknię od Ungaro w szkarłatne maki. Znakomicie pasowały do kwiatowego tematu dekoracji. — Bo jeśli coś jest z tym nie tak, to cała wina leży po stronie Anthony'ego Todda, którego zresztą uwielbiam. Wiecie, że to on zajmuje się wszystkim, co związane z kwiatami.

Anthony Todd jak zwykle bogato umaił całe wnętrze, tym razem kwitnącymi gałązkami gruszy, po sześćdziesiąt dolarów za sztukę. Tę absurdalną cenę usprawiedliwiała pora roku, drugi października to nie jest sezon kwitnienia drzew owocowych, co oczywiście sprawiło, że dla Alixe stały się one przedmiotem pożądania (skoro okazało się, że prestiżowe torebki stanowią nieporęczne dodatki, Alixe powstałą lukę wypełniła prestiżowymi kwiatami). Mówi się, że uczyniła tym więcej szkód w gruszowych sadach Nowej Zelandii niż McDonald w lasach tropikalnych. „Odrodzenie!" — tak tłumaczyła pomysł urządzenia jesienią wiosennego kwitnącego sadu. Ale i tak wszyscy wiedzieli, że jedynym kryterium wyboru tematyki kwiatowej była cena, która powinna być wyższa od ceny poprzedniej dekoracji.

— Alixe, to wygląda znakomicie — zapewniłam ją.

— Sylvie Mortimer? Och, wreszcie cię mogę poznać. Wszystkiego najlepszego z okazji rozwodu — pisnęła, zwracając się ku następnym gościom.

Alixe nie wspomniała ani słowem o przymiarce, na którą nie przyszła, ja też nic nie powiedziałam na ten temat.

— Chodźmy czegoś się napić — zaproponowała Lauren, zmierzając w stronę baru. — Dwa szampany z lodem —- poprosiła. — W szklaneczkach. Gdzieś czytałam, że Fred Chandon właśnie tak pił szampana. Czy to nie urocze?

Barman napełnił szkło, a Lauren podała mi moją porcję.

—Czy widzisz tu kogoś ciekawego? — zapytała, dokonując wzrokiem uważnego przeglądu sali. — Jak wyglądam? Nie tandetnie?

Bezbłędna kreacja Lauren znakomicie pasowała do niepisanych zasad obowiązujących w hotelu Rivington, gdzie czarny krawat nadal królował niepodzielnie. Była to długa do ziemi plisowana suknia od Tuleh w kolorze pochmurnego nieba, w drobne białe kropeczki, uzupełniona na ramionach miniaturową ctolą, zrobioną, jak przypuszczam, z małpiego futra zdobytego w nielegalny sposób. Oczy miała obramowane sztucznymi rzęsami, które aż ciężkie były od proszku antymonowego, włosy zaś w nierozczesanych falach spływały jej na ramiona. Ja natomiast ubrałam się w najskromniejszą, jaką udało mi się wypatrzeć, białą koronkową suknię od Thackeraya. Chciałam w ten sposób podkreślić, że moja obecność tutaj nie ma na celu upolowania któregoś z szykownych młodzieńców.

— Naprawdę wyglądasz świetnie — powiedziałam Lauren.

— Dziwnie się tu czuję — wyznała, przebiegając wzrokiem po tłumie gości. — Stanowczo tu zbyt sztywno jak dla mnie.

Przyjęcie nie przypominało typowego wieczoru panieńskiego (i chwała Bogu). Panoramiczne szyby penthouse'u, przez które można było dostrzec migoczące w dole czerwone i pomarańczowe światła, stanowiły kolorowe tło dla rozgrywających się na przyjęciu scenek. Tu i ówdzie pojawiały się sylwetki panów obejmujących w pasie partnerki, grupki osób, które przysiadły na sofach powstawianych tu specjalnie na ten wieczór, albo splecione pary tulące się do siebie na ogromnych futrzanych pufach, przemyślnie poumieszczanych w różnych

miejscach sali. Niektóre pary już się zaczęły całować pod gruszowymi gałązkami, których kwitnące bujnie kwiaty mogły swą puszystością konkurować z bitą śmietaną.

— A to kto? — zapytałam.

Obok mnie dziewczyna o bardzo egzotycznym wyglądzie wsparta o barowy stołek całowała się namiętnie z czarnoskórym mężczyzną. Napierała na niego coraz bardziej, niemal wciskając go w ladę baru, co musiało być dla niego bardzo niewygodne. W pewnym momencie, gdy dziewczyna jeszcze mocniej go przycisnęła, jarmułka spadła mu z głowy wprost na kontuar, czego nawet nie zauważył. Ja i Lauren w trudem powstrzymałyśmy śmiech.

— To Salome Al-Firaih — szeptem wyjaśniła Lauren. — Znana jako kandydatka na pokojową bliskowschodnią rozwódkę. Nigdy się nie całuje z kimś innej religii. Jest niesłychanie wytworna. Usiłuję się na niej wzorować.

To mówiąc, podeszła do Salome i poklepała jąpo ramieniu.

— Powinnaś być ostrożna, Salome — powiedziała do niej. — To nie Genewa. To hotel Rivington.

— Lauren, jestem zajęta — syknęła Salome, niemal zamykając w ten sposób buzię przyjaciółce.

Salome wyglądała jak Sophia Loren Bliskiego Wschodu. Jej skóra była koloru przereklamowanych pralinek Fauchon, a sięgająca do ramion czarna treska połyskiwała jak plama z oleju napędowego. Długie rzęsy wokół zielonkawych tęczówek nadawały jej wygląd sarenki. Dopasowana w talii suknia z głębokim dekoltem czyniła z niej klasyczną arabską seksbombę.

— Salome, powinnaś być bardziej dyskretna — Lauren szepnęła do treski. Jej głos brzmiał dość apodyktycznie.

Salome uniosła głowę i mrugnęła do niej filuternie.

—Szczęśliwego rozwodu, kochanie — powiedziała. — A właściwie dlaczego zachowywać dyskrecję, skoro i tak wszyscy wiedzą?

„Wszyscy wiedzieli” o tym, że Salome, dwudziestoośmioletnia saudyjska księżniczka, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, mocą układu rodzinnego poślubiła wykształconego na Harvardzie królewskiego siostrzeńca, Fajsala

Al-Firaiha. Kilka lat po ślubie on przywiózł ją do Nowego Jorku, gdzie prowadził rodzinne interesy. Mniej więcej przed rokiem musiał na trzy miesiące wrócić na Bliski Wschód, a wtedy Salome odkryła Bungalow 8, prywatny klub, bardzo popularny wśród bossów z centrum. Tymczasem Manhattan odkrył Salome, ona zaś przekonała się, że uwielbia, jak się ją fotografuje. Mimo że wydawała się tam obyta, w gruncie rzeczy Bungalow 8 był zaledwie drugim klubem, który poznała. Oszalała na punkcie mężczyzn i vodkatini, zaczęła kolekcjonować firmowe kapcie z Bungalow 8, jakby to były dzieła sztuki. Któregoś dnia złapano ją na pieszczotach z Shai Fledmanem, żydowsko-amerykańskim facetem od nieruchomości. Pech chciał, że następnego dnia rano Fajsal przeczytał o tym w Page Six Online w relacji zatytułowanej opisowo: „Jak saudyjska księżniczka zabawiała się z Izraelczykiem". Zadzwonił wtedy z Rijadu do Salome i powtórzył trzykrotnie: „Rozwodzę się z tobą. Rozwodzę się z tobą. Rozwodzę się z tobą" i już było po wszystkim. Według muzułmańskiego prawa oznaczało to natychmiastowy rozwód. A teraz Salome umawia się z Żydem. Jej rodzice nie zechcą z nim rozmawiać. Jego rodzice nie odezwą się do niej. Co więcej, rodzice Salome z nią też nie będą rozmawiać.

Nie mogłam oderwać oczu od Salome, po pierwsze z powodu przykuwającego uwagę przedstawienia w konkurencji całowania, po drugie — z powodu wewnętrznego blasku, jaki bił od niej. Pomyślałam sobie, że Thackeray byłby zachwycony, mogąc ją ubierać, gdyby z Alixe się nie udało, co stawało się coraz bardziej prawdopodobne. Salome była znacznie bardziej intrygująca niż gwiazda filmowa czy telewizyjna.

— Świetna byłaby dla Thackeraya — szepnęła mi Lauren do ucha.

— Dokładnie to samo sobie pomyślałam — odpowiedziałam również półgłosem.

Chichocząc, Lauren dosłownie oderwała Salome od Shai.

— Poznaj moją przyjaciółkę, Sylvie — przedstawiła mnie.

— Cześć, bardzo mi się podoba twój strój — uznała Salome.

— Dzięki.

W przyszłym tygodniu muszę zadzwonić do Salome i sprowadzić ją do pracowni. Powinnam działać bardziej zdecydowanie niż z Alixe. Płynnym krokiem

zbliżył się ku nam kelner z tacą pełną szampana.

— Napijesz się? — zapytałam Salome.

—Nie. Szampan w ogóle nie działa. Ja piję wyłącznie mocne alkohole. Kieliszek wódki — rzuciła do kelnera.

—Zaraz będzie — odpowiedział, udając się w stronę swego stanowiska.

Wtedy pojawiła się jeszcze jedna osobą, bardzo zdeformowana ciążą (tylko takie ciężarne mogły przybyć na to szczególne przyjęcie). Włosy miała splecione w pretensjonalny koński ogon, ubrana była w obcisłe dżinsy i ludową bluzeczkę wykończoną koronkami. Pod bluzką rysował się okrąglutki jak piłka brzuch.

—Czy wiesz, Lauren, że mój pan na wydaniu już się kimś zajął? — zawołała przejęta.

— Phoebe Calder. Tak się cieszę, że cię tu widzę. Północ to późna pora dla pań w poważnym stanie, ale wyglądasz naprawdę szczupło — skłamała Lauren.
— A czuję się jak wielbłąd — też skłamała Phoebe.

— Coś ty, nigdy bym się nie domyśliła, że jesteś w ciąży — skłamała Salome.

Wtedy wyrósł przy nas kelner z tacą pełną kieliszków z wódką. Umieścił tacę na blacie stoliczka tuż obok miejsca, gdzie stałyśmy. Każdy się poczęstował z wyjątkiem Phoebe. Shai, zawiedziony, że oderwano go od Salome, wziął dwie kolejki.

— Phoebe, poznałaś już Sylvie? — spytała Lauren.

Phoebe uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie. Nigdy jej nie widziałam, ale jej nazwisko brzmiało znajomo. Mrugnęła dyskretnie i powiedziała:

— Znam Huntera od czasu swojego debiutu towarzyskiego. Słyszałam, że wzięliście cichy ślub. Gratuluję, żeś go usidliła. Jest oszałamiająco przystojny. To był niezły zawodnik. Ach, cudowny.

— Masz rację, on jest cudowny — zgodziłam się z ostatnią oceną Phoebe, ignorując poprzednie jej uwagi.

Salome, która była bardziej subtelna niż można by się spodziewać, sądząc po jej wyglądzie, skierowała rozmowę na inne tory.

— To kiedy się spodziewasz rozwiązania? — zapytała, wychylając jedną wódkę za drugą.

— Za miesiąc czy coś koło tego. Dopiero co wróciliśmy z podróży do Europy. Doktor Sassoon by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że wsiadłam do samolotu. Sylvie, spotkaliśmy twojego Huntera w Londynie. Jakieś dwa tygodnie temu. Nadal jest szalenie atrakcyjny. Szalenie.

— Chyba w Paryżu — poprawiłam ją. — On jest teraz w Paryżu.

— My go widzieliśmy w Londynie. O, pardon.

Co ta Phoebe opowiada? Hunter w Londynie? Dwa tygodnie temu? Ale... Swój umysł nastawiłam na odtwarzanie... Czy to nie było podczas tego weekendu, kiedy nie mogłam się z nim skontaktować? Serce podeszło mi do gardła. Usiłowałam przypomnieć sobie daty, poskładać je w jakąś całość. Przecież to było prawie dokładnie dwa tygodnie temu, kiedy nie zdołałam nigdzie wytropić Huntera... chociaż... kto wie, może dwie lub trzy wódki zakłóciły moją zdolność liczenia. Nie, to niedorzeczne. Phoebe opowiada głupstwa.

— Siedział w hotelu w Paryżu przez cały weekend — powiedziałam stanowczym tonem. — Miał rozmowy biznesowe.

— Ci nieobecni mężowie! Ha, ha, ha! — roześmiała się Phoebe. Ja też swojego nie widuję. I to jest cudowne!

Czując, że atmosfera się zagęszcza, teraz Lauren zmieniła temat.

— Jak ci idzie z promocją dziecięcych artykułów?

— Och, tyle z tym zachodu. Wiesz, że próbki są w Szanghaju. W przyszłym tygodniu mają mi je przysłać.

— Przepraszam, muszę iść do toalety — wymówiłam się i pospiesznie wyszłam.

Zaraz zamknęłam się w kabinie. Czy Hunter był w Londynie, czy nie? I dlaczego Phoebe mi o tym mówiła? A co ważniejsze, jeśli tam był, to dlaczego mi o tym nie powiedział? Nagle usłyszałam, jak drzwi do toalety otwierają się z trzaskiem. Ktoś zapukał energicznie do mojej kabiny, a gdy otworzyłam, zobaczyłam przed sobą Lauren i Salome, patrzące na mnie z zatroskanymi minami.

— Tu się ukryłaś — powiedziała Lauren. — Nie martw się tym, co Phoebe wygaduje. Ciąża kompletnie pomieszała jej w głowie. Nie mogła widzieć Huntera w Londynie, przecież oni tam byli dwa lata temu. Ona po prostu uwielbia mieszać.

— Naprawdę? — zapytałam. Miałam nadzieję, że Lauren się nie myli.

— Tak — włączyła się Salome. — Phoebe potrafi tylko powtarzać: „moje próbki są w Szanghaju". To jej mantra. A w Londynie byli dwa lata temu.

Nie było to do końca prawdą. Phoebe to niesłychanie ambitna kreatorka mody dziecięcej i w tej dziedzinie odnosiła sukcesy. Ale miło ze strony Salome, że usiłowała przedstawić ją jako nieudacznika w tej dziedzinie.

— Wychodź już. Chcę cię z kimś poznać — powiedziała Lauren, ciągnąc mnie za rękę.

Ten ktoś to był Sanford Berman. Naprawdę nazywał się Bermothovski, ale jego rodzina, która w 1939 roku wyemigrowała z Rosji do Ameryki, zdecydowała się skrócić nazwisko. W garniturze i pod krawatem siedział w niewygodnej pozycji na futrzanym pufie, sącząc perriera. Mimo że przedstawiał sobą zamierzchły typ grubej ryby o galaretowatym cielsku, emanowała z niego charyzma silnego człowieka. Miało się wrażenie, że wszystkich zna, a przy tym każdy chciał go poznać. Kiedy weszłyśmy, Phoebe krążyła wokół jego pufa jak wygłodniała lwica, ale z chwilą gdy Sanford spostrzegł Lauren, już tylko za nią wodził wzrokiem, jak teatralny reflektor podążający za główną postacią na scenie. Nikt inny się nie liczył.

— Ach — zawołał na jej widok, wyciągając ku niej ręce. Lauren ujęła w swoje dłonie. Sanford pozostał na pufie, więc Lauren usiadła obok niego. Wszyscy otoczyli ich wianuszkiem, przyglądając się tej parze. — Najpiękniejsza dziewczyna w Nowym Jorku — powiedział Sanford i pocałował ją w rękę.

Sanford był beznadziejnie, szaleńczo zakochany w Lauren.

—Sanfordzie, poznaj Sylvie — powiedziała Laura wskazując na mnie.

—Miło mi pana poznać. — Uścisnęłam jego dłoń. Miałam uczucie, że dotykam zimnego kompresu.

—Jeśli jesteś przyjaciółką Lauren, to jesteś i moją przyjaciółką — powiedział

Sanford przyjaźnie.

Phoebe wpatrywała się w niego natarczywie, ale on nie zwracał na nią uwagi. Skierował wzrok na Lauren i oświadczył:

— Moja kochana, mam dla ciebie propozycję.

—Wreszcie. Chcesz, abym znalazła coś dla twojej uroczej żony? — zapytała Lauren.

— Nie, tym razem dla mnie.

—Mam nadzieję, że chcesz zrobić sobie prawdziwą przyjemność.

—Pamiętasz te spinki do mankietów Fabergć, które przegrałem na aukcji?

—Czekajcie! — przerwała mu Phoebe. — To samo mi się przytrafiło. Kiedy nie udało mi się kupić naszyjnika Lalique z wisiorem na aukcji Phillipsa, po prostu rozchorowałam się ze zmartwienia. Poszłam do doktora i mówię mu: „ja umrę". A on na to: „Jeśli chcesz żyć, musisz kupić ten naszyjnik". Więc kupiłam go od Freda Leightona, już po aukcji, za podwójną cenę — i proszę, oto jestem. Żywa.

Wszyscy popatrzyli na Phoebe. Nagle zaczerwieniła się i powiedziała:

—W gruncie rzeczy najważniejsze dla mnie są interesy. Wiecie, moje próbki są w Szanghaju.

— Wiemy — przytaknęła Salome. — Chodźmy po deser.

Salome i Phoebe oddaliły się, a ja zostałam z Lauren i Sanfordem. Popatrzył na nią wyczekująco.

— Mówię poważnie, Lauren. Chcę mieć spinki Faberge, które kiedyś należały do Mikołaja II. Nie mam pojęcia w czyim posiadaniu są teraz.

Sanford, o czym miałam się przekonać, odznaczał się bardzo dobrym smakiem. Obecni właściciele tych spinek muszą dobrze ich pilnować, tak bardzo są pożądane, mimo że ich wartość szacuje się na osiemdziesiąt tysięcy dolarów, a nawet więcej. Ponadto oglądały je oczy cara Mikołaja, a kto wie, może nawet i Rasputina, stały się więc jeszcze cenniejsze. Dla Lauren im trudniejsze było zadanie, tym bardziej ją pociągało. Kiedyś mi się przyznała, że wydała więcej na przeloty w poszukiwaniu wybranych klejnotów, niż udało jej się zarobić na całej transakcji, ale jak pow iada, czymś musi sobie wypełnić czas między obiadem a ko-

lacją.

— Mogę je znaleźć, skoro ci na nich zależy, ale nikt nam nie zaręczy, że właściciel zechce je sprzedać — ostrzegła go Lauren.

— Jednym mrugnięciem oka sprawisz, że mężczyzna odda do twojej dyspozycji cały swój majątek — powiedział Sanford uwodzicielsko.

Lauren roześmiała się.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — obiecała.

— Dziękuję, kochanie. — Sanford pocałował ją w policzek i począł unosić się chwiejnie z pufa. — Muszę już iść, ale informuj mnie na bieżąco, OK?

Skinęła na znak zgody i odprowadziła go wzrokiem do wyjścia. Wyglądała na lekko rozmarzoną.

— Zabawny jest — powiedziała.

— Przede wszystkim zakochany w tobie po uszy — dodałam.

— Cśś — uciszyła mnie rozbawiona. — To wielki przyjaciel. A jego pomysł jest znakomity. Te spinki to prawdziwa rzadkość. Wreszcie czuję się czymś podniecona, bo przecie nie swoim życiem seksualnym.

*

— Kochanie, to ja, Sylvie — powiedziałam.

— Czemu jeszcze nie śpisz, złotko?

W Nowym Jorku była trzecia rano, w Paryżu zaś — dziewiąta. Stałam w kuchni całkowicie rozbudzona, ściskając w ręce słuchawkę. Nie mogłam zasnąć po powrocie z przyjęcia rozwodowego Lauren, taka byłam wkurzona tym, czego dowiedziałam się od Phoebe, mimo że sama przed sobą nie chciałam tego przyznać.

—Właśnie wróciłam z imprezy u Lauren, zaczęło się dopiero po północy.

—To kładź się, a porozmawiamy, kiedy się wyśpisz — poradził mi Hunter.

— Strasznie mi ciebie brakuje — zaczęłam.

Po tamtej trudnej rozmowie sprzed paru tygodni, kiedy Hunter zniknął z ho-

telu, wszystko wróciło do normy. Niemal zapomniałam o całym tym epizodzie, a Hunter był dla mnie jeszcze milszy niż przedtem, dzwonił przy każdej nadarzającej się okazji. Naprawdę nie chciałam zrobić nawet drobnej aluzji na temat tego, co mi powiedziała Phoebe, ale po prostu musiałam.

—Spotkałam twoją dobrą znajomą, Phoebe — powiedziałam.

— Od lat jej nie widziałem, co u niej słychać?

Od lat? A nie od kilku tygodni? Szykowałam się wewnętrznie do skoku.

—Jest w zaawansowanej ciąży. Powiedziała, że spotkała cię dwa tygodnie temu. — Zrobiłam pauzę i dodałam: — Podczas twojej tajemniczej podróży do Londynu.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Zdenerwowana sięgnęłam lodówki i nalałam sobie kieliszek szampana z otwartej już butelki. Upiłam łyk. Bez rewelacji. Nawet nie poczułam najlżejszego szmerku. Może Salome miała rację co do szampana: on rzeczywiście nie działa.

Nagle Hunter przemówił.

— Phoebe! Ona zawsze gada od rzeczy. Pewnie to wina hormonów. Owszem, widziałem ją, ale w Paryżu, była z mężem w Chez Georges. Ależ armata się z niej zrobiła!

— To dlaczego mówisz, że nie widziałeś jej od lat? — nie ustępowałam.

— Sylvie, skarbeńku, tak cię kocham. Naprawdę nie masz żadnego powodu do zmartwienia.

A czyja coś mówiłam o martwieniu się? Dlaczego on tak powiedział? Czy to znaczy, że jednak mam powody do zmartwienia?

— Wcale się nie martwię — skłamałam.

— To dobrze. Więc nie martw się i idź do łóżka. Nie myśl więcej o Phoebe. To ciężarna wariatka. Może wybierzemy się na kolację we czwórkę, z nią i jej mężem, po moim powrocie z Paryża? Co ty na to?

*

Czy to możliwe, zastanawiałam się, leżąc już w łóżku, by małżeństwo mogło

trwać krócej niż związek Liz Taylor i Nicky'ego Hiltona? Minęło zaledwie sześć tygodni, a ja już niepokoiłam się, w co wplątał się mój mąż podczas wyjazdu w interesach. Idziesz na przyjęcie z okazji rozwodu i tam widzisz, że świat jest pełen niewiernych mężów i narzeczonych, a następnego dnia budzisz się (późno) i okazuje się, że twój mąż jest święty. Co ja sobie wczoraj myślałam? Nie jestem drugą Liz Taylor i Hunter mnie nie okłamywał.

Przecież przyznał, że widział Phoebe, ale w Paryżu. Phoebe zwyczajnie się pomyliła, a to przez swoją ciążę. A może to mnie się pomieszało w głowie od przebywania wśród tak licznych rozwódek?

Przez następne dni byłam zaabsorbowana biurem i ostatnimi pracami wykończeniowymi w domu. Ekipa Miltona dokonała cudów, nieoczekiwanie czyniąc z naszego mieszkania piękne wnętrze. Nie mogłam się już doczekać powrotu Huntera, który miał przyjechać za kilka dni. Byłam pewna, że spodoba mu się nasze mieszkanie; tylko to zaprzątało mojąuwagę. Praca to jednak dobre lekarstwo na zmartwienia. Udało mi się pozyskać Salome, która rozmawiała ze mną bardzo miło i zgodziła się założyć kreację od Thackeraya na bal wydawany przez Alixe Carter. Umówiłyśmy się na przyszły tydzień. Thackeray był zachwycony, uznał, że saudyjska księżniczka jest nawet lepsza od Alixe Carter.

Parę dni później Milton przyszedł do mnie, uginając się pod ciężarem dwóch żyrandoli, które przywiózł z Paryża. Pomogłam mu umieścić je w holu, a potem zrobiliśmy przemarsz przez całe mieszkanie, by użyć określenia Miltona. Prezentowało się pięknie. Przegląd zakończyliśmy w moim ulubionym miejscu, czyli w kuchni. Została wyposażona w nowe kremowe szafki, lustrzane panele, a okna przesłaniały rolety z jasnoczerwonego jedwabiu, obrzeżone rypsowymi lamówkami w kolorze czekolady. Na środku stał stary, dębowy stół, a wokół bambusowe, równie antyczne krzesła. Milton uparł się, by zamiast nowoczesnych świateł punktowych, jakie można zobaczyć w każdym domu, umieścić na ścianach małe lampki z jedwabnymi abażurkami w kolorze czerwonym.

— Jeszcze przydałoby się tu jakieś oświetlenie z Agi — oświadczył. — Małe, białe. Wtedy będzie tu naprawdę przytulnie. — Spojrzał na zegarek, widocznie spiesząc się gdzieś. — Nie mogę dłużej zostać. Rano jadę do Uzbekistanu. Śladami Diane von Furstenberg i Christiana Louboutina. Trzy miesiące na Nowym Jedwabnym Szlaku. Będę tani pracował nad ostatecznym kształtem nowej linii mebli. Wrócę dopiero w styczniu. Jak ci się teraz podoba mieszkanie?

— Jest urocze. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczy je Hunter — powiedziałam radośnie.

— Proszę, jaka milutka. Bardzo jesteś w nim zakochana, prawda? — bardziej stwierdził, niż zapytał Milton.

Zarumieniłam się lekko i skinęłam głową.

— Nikt z mego otoczenia nie kocha swojego aktualnego męża — powiedział Milton. — Nawet wśród gejów.

— To okropne — stwierdziłam. — Napijesz się mrożonej herbaty?

Nalałam dwie porcje i wysypałam na talerzyk torebkę czekoladowych ciasteczek. Milton rozparł się na krześle i zaczął chrupać herbatnika.

— Smaczne — pochwalił.

— Dobrze się bawiłeś w Paryżu? — zapytałam, opierając się o ladę.

— O tak. *Chateau* należące do rodziny Sophii może wprawić w podziw.

— Hunter będzie tam kręcił jakieś sceny, tak?

— Aha. Bardzo sprytnie zrobił, że ją zatrudnił.

— Zatrudnił Sophię? — zdumiałam się.

Znana Łowczyni Mężów pracuje dla mojego ukochanego? Czy Miltonowi nic się nie pokręciło? To niemożliwe, by Hunter zatrudnił Sophię, nic mi o tym nie mówiąc. Zawsze wspólnie omawialiśmy wszystko, co dotyczyło jego pracy.

— Jesteś pewny? — wydusiłam z siebie.

— Nie przejmuj się tak — odpowiedział Milton.

— Ja się nie przejmuję — odpowiedziałam, niemal dławiąc się ciasteczkiem. Czasem wydaje mi się, że do aktu małżeństwa powinno być dołączone ministerialne ostrzeżenie.

— Sylvie, wiesz przecież, że Sophia chodzi z Pierre Lombardenem, tym, o którym stale piszą w „Paris Match On przyjaźni się z księstwem Monako. Wydaje mi się, że ma też znajomości w sferach rządowych. Ona nie lata za Hunterem. Przylgnęła do niej zła opinia, bo ma nieziemskie nogi. Wszyscy jej zazdroszczą. Chyba nie musisz się o nic martwić.

Uspokoiłam się. Milton miał rację. Nieziemskie nogi to żaden powód do zmartwienia.

TLR

8

SPOTKANIA Z PARANOJĄ

— Ależ właśnie masz mnóstwo powodów, by się martwić! — krzyknęła Tinsley. — Bardziej obawiam się Sophii niż tego, że Arabia Saudyjska wstrzyma dostawy ropy. Słowo daję.

Właśnie powiedziałam jej o kontrakcie Huntera z Sophią.

— Cicho bądź, Tinsley — zgromiła ją Laura. — Sylvie, chodzi o to, że możesz się martwić, ale twój mąż nie powinien o tym wiedzieć. Wściekaj się wewnętrznie i po cichu. I niech się to nie przerodzi w paranoidalny strach, nawet jeśli będziesz musiała zacząć mówić do siebie i wmawiać sobie, że nic się nie stało, choćby faktycznie coś się stało. Ja tak robiłam, kiedy moje małżeństwo się rozpadało.

— Ale moje małżeństwo się nie rozpada — zaoponowałam, myśląc w duchu: Czy rzeczywiście?

Siedziałyśmy z Lauren i Tinsley na antresoli o owalnym kształcie w hotelu Carlyle, w wieczór poprzedzający spodziewany powrót Huntera. To właśnie tutaj Tinsley lubi Przychodzić na swoje „spotkania z paranoją", jak je nazywa.

Uważa, że to miejsce ma kojący wpływ. I faktycznie, trudno o coś bardziej relaksującego mz zapadnięcie się w czerwone pluszowe fotele, które mają w tym hotelu; ponadto jakże uspokajająco działa widok sędziwych kelnerów, przeważnie po osiemdziesiątce, z białymi serwetkami przerzuconymi przez lewą rękę pod kątem dokładnie dziewięćdziesięciu stopni. Tego wieczoru jednak nic nie mogło uciszyć mego coraz bardziej rosnącego niepokoju. Jedyna rzecz, która trochę mnie rozbawiła, to stroje Lauren i Tinsley. Przed południem obie nieźle zaszalały u Chanel. Tinsley wyszła stamtąd w pumpach i tweedowym żakiecie, Lauren natomiast w czarnym płaszczu zapiętym szczelnie pod szyją wielką broszą z rubinami od Jamesa de Givenchy.

— Idę w ślady Nan Kempner*[4]— wyjaśniła — a Tinsley udaje leśniczego.

Do naszego stolika podeszła kelnerka. Miała niemożliwie rozdętą tapirem

[4] Nan Kempner (1930—2005) pierwsza dama nowojorskiego towarzystwa, wyrocznia w dziedzinie mody, współpracowała z „Harper's Bazaar" i z francuskim „Vogue", miała wielki zbiór kolekcji *haute couture* słynnych **kreatorów** mody, przekazany później do muzeum.

fryzurę, pantofle z lakierowanej skórki na bardzo wysokich obcasach i ubrana była w małą czarną.

— Co paniom podać? — zapytała.

— Minihamburgery — wykrzyknęły chórem Tinsley i Lauren.

— Ja wezmę sałatę — powiedziałam. Naprawdę nie chciało mi się jeść. — Możemy prosić też o szampana?

— Już podaję — obiecała kelnerka, robiąc w tył zwrot na swoich niebotycznych obcasach.

— Nie wiem, czy uda mi się nie wspomnieć Hunterowi o Sophii — wróciłam do tematu. — To znaczy...

— Nawet nie wymawiaj jej imienia. Jeszcze gotów pomyśleć, że wpadłaś w paranoję — odradziła mi Tinsley. Wierciła się jak na szpilkach. — O rany, ależ ten tweed mnie drapie. Czy można się zadrapać na śmierć?

— A może ja już wpadłam w paranoję? — zapytałam.

Jeśli cała sytuacja jest wynikiem mojej paranoi, to nie jest źle. Oznaczałoby to, że nie dzieje się nic niewłaściwego.

— Niekoniecznie. Pamiętam, jak dzwoniłam do Louisa, myśląc, że jest w Nowym Jorku, a on tymczasem był w Rio i piętnastoletnią modelką — powiedziała Lauren. — Gdybym miała paranoję rozwijającą się w pożądanym kierunku, wtedy mogłabym zawczasu przewidzieć rozwój wypadków.

To było okropne. Niepotrzebnie opowiedziałam im o Sophii. One wyolbrzymiają sytuację.

— Wiesz co, dzwoń już do adwokata — zachichotała Lauren. — O ileż łatwiejsze jest życie rozwódki.

— Racja — przytaknęła Tinsley. — A propos, postanowiłam coś. Znajdę sobie milionera albo kierowcę autobusu, ale pod jednym warunkiem: musi mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Teraz, kiedy jestem rozwódką, mogę być mniej wybredna. Już za długo byłam porządna. Ten strój ma mi ułatwić łagodne przejście; nie pytaj mnie, w jaki sposób, ale tak jest.

Nie podjęłam tego wątku. Ich żarty sprawiły, że stałam się jeszcze bardziej

przygnębiona. Uważałam, że te ich śmichy- -chichy w mojej obecnej sytuacji były zupełnie nie na miejscu. Tinsley szturchnęła mnie w bok, ale zmartwiała na widok mojej ponurej miny.

— Och, przepraszam — zawołała. — Tak mi przykro. Jesteśmy okropne — przyznała zawstydzona.

Pojawiła się kelnerka, niosąc tacę z szampanem, sałatą i miniaturowymi hamburgerami. Lauren i Tinsley natychmiast rzuciły się do skrzętnego odsuwania bułeczki i mikroskopijnych frytek, dopóki na placu boju nie zostały sanie kotleciki, nie większe od ćwierćdolarówki. Taką porcją nawet krasnoludek by się nie najadł.

— Tylko tu można dostać śmieciowe jedzenie, które powoduje spadek wagi — zauważyła Lauren, dziobiąc widelcem swoją wołowinę.

— Nie chcę, żebyś miała w głowie zamęt, Sylvie — powiedziała Tinsley, sącząc szampana — ale powinnaś pozwolić sobie na paranoję. Co wcale nie znaczy, że naprawdę istnieją rzeczy, które mogą powodować u ciebie ten stan. Prawda jest taka, że wszystkie żony podświadomie muszą być paranoiczne. Dziewczyny takie jak Sophia są bardzo sprytne, wiesz o tym. Więc nawet jeśli nic się nie dzieje, musisz podejrzewać, że coś się dzieje, na wypadek gdyby faktycznie coś zaszło. Trochę jak z Arabią Saudyjską i ropą, co nas doprowadza do punktu wyjścia.

— Trafiłaś w sedno — orzekła Lauren. — Sama lepiej bym tego nie ujęła.

Jako młode rozwódki Lauren i Tinsley stały się jeszcze bardziej podejrzliwe, pomyślałam sobie, kiedy wieczorem wracałam taksówką do domu. Sophia nie mogła przecież latać za Hunterem. Skoro jest taka bystra, jak wszyscy twierdzą, to nie byłaby taką idiotką, by uganiać się za nim w biały dzień, na oczach wszystkich, przyjmując u niego pracę. To było oczywiste.

Po przyjściu do domu udałam się zaraz do salonu. Położyłam się na kanapie, którą dostarczył Milton zaledwie przed kilkoma dniami. Była świetna, bardzo wygodna, obita starym marokańskim gobelinem o spłowiałych kolorach. Wszystko było zrobione, a do przyjazdu Huntera został jeszcze jeden dzień. Brakowało jedynie nowej umywalki w łazience, ale nazajutrz miała być zamontowana. W końcu wstałam i poszłam do sypialni. Zapaliłam światło i moim oczom ukazał się Hunter, który siedział na łóżku, roześmiany od ucha do ucha, trzymając w ręku bukiecik kamelii.

— Cześć, kochanie — powiedział jak gdyby nigdy nic.

— Jejku! — krzyknęłam.

Rzuciłam torbę i padłam w jego objęcia. Moje wszelkie obawy natychmiast się rozwiały. Kochaliśmy się nieprzyzwoicie długo, pieszcząc się za wszystkie czasy. Tyle mieliśmy do nadrobienia. Około drugiej w nocy Hunter wstał z łóżka, sięgnął do wypchanej walizki i wyciągnął z niej białe kartonowe pudełko. Kiedy już mi je dał, zobaczyłam wypisane na pokrywce ozdobnym drukiem dwa wyrazy — Sabbia Rosa. Wewnątrz znajdowała się turkusowa jedwabna nocna koszula ozdobiona tradycyjnymi koronkami. Wślizgnęłam się w nią i zakręciłam przed lustrem. Wyglądałam jak Catherine Deneuve w *Piękności dnia.* Jeśli chcecie wyglądać naprawdę uwodzicielsko, powinnyście starać się do niej upodobnić.

— Jaka piękna —jęknęłam, wracając do łóżka. — Bardzo ci dziękuję. — Przytuliłam się do niego i zamknęłam oczy. Było mi bezgranicznie dobrze.

— Kochanie — zagadnął Hunter jakiś czas potem — gdzie się podziała umywalka?

— A co ty tu robisz o jeden dzień wcześniej? — zapytałam już senna. — Gdybyś zaczekał do jutra, umywalka byłaby na swoim miejscu.

— Mieszkanie wygląda imponująco — pochwalił Hunter. — Jak zdołałaś tak szybko tego dokonać?

—Po raz pierwszy w życiu skorzystałam z usług dekoratora wnętrz, czego się okropnie wstydzę — przyznałam ze śmiechem.

—Moim zdaniem to świetny pomysł. Teraz mamy prawdziwy dom. Uwielbiam go. Ciebie też uwielbiam. A teraz pośpijmy trochę — dodał, tuląc mnie do siebie.

Na pewno nic się nie dzieje, byłam o to spokojna. Hunter był bardzo kochany i bardzo żonaty. Ze mną.

*

—Kochanie, nie musisz tego robić, naprawdę — powiedział Hunter następnego dnia rano.

— Ale chcę — odrzekłam.

Przyniosłam mu śniadanie do łóżka, siedzieliśmy na kołdrze, chrupiąc rogaliki,

które zamówiłam z piekarni Balthazar. Mniej więcej za piętnaście ósma odezwała się moja komórka. Odebrałam telefon.

— Cześć, Sylvie, tu Sophia. Jak się masz?

— O, cześć — odpowiedziałam lekko zszokowana.

—Czy mogę rozmawiać z Hunterem? To naprawdę pilne, a on wyłączył swój telefon. Nie mogłam się do niego dodzwonić.

Podałam mu telefon z ociąganiem. Nagle przekonanie, że wszystko jest w porządku, prysło jak bańka mydlana, ustępując miejsca przyczajonym wątpliwościom.

— Sophia do ciebie.

Hunter wziął do ręki aparat. Słuchając Sophii, nachmurzył się.

—Uważasz, że nic nie możesz z tym zrobić? O Boże... Nie, wcale mi się nie uśmiecha wracać za tydzień do Paryża... Dopiero co przyjechałem do Nowego Jorku... Tyle czasu nie widziałem się z Sylvie... Czy to nie może zaczekać do mojego następnego przyjazdu? Rozumiem. Tak. OK. Odezwę się jeszcze — obiecał na koniec.

Tak szybko Sophia chciała ściągnąć Huntera do Paryża?

Zrobiło mi się gorąco. Poczułam, jak koszula przywiera mi do skory. Niepomna dobrych rad Lauren i Tinsley, wybuchałam:

— Kochanie, dlaczego mi nie powiedziałeś, że zatrudniłeś Sophię? — Starałam się ze wszystkich sił, by nie brzmiało to jak skarga zazdrosnej żony.

Hunter miał zdziwioną minę.

— Zatrudniłem ją tylko po to, by pomogła nam uzyskać pozwolenie na filmowanie w zamkowych wnętrzach. Pierre, jej chłopak, jest ważną figurą w paryskim ratuszu, a ona obiecała, że załatwi nam przez niego to pozwolenie. Tyle mamy z tym problemów, pomyślałem sobie, że powinniśmy się jej jakoś zrewanżować za pomoc. Przecież ona nie powinna robić tego wszystkiego za darmo, to byłoby nie fair Wiesz, ona jest bardzo ustosunkowana w Paryżu.

— Tak wszyscy mówią — odpowiedziałam bez entuzjazmu.

— Mam nadzieję, że nie muszę zaraz tam wracać — westchnął Hunter. — A jeśli tak, to gdybyśmy zrobili sobie z tego długi weekend, czy to będzie dla ciebie wystarczającą rekompensatą?

Pewnie, że tak. Odsunęłam od siebie uczucie lekkiej irytacji. Nie mam powodu do zmartwienia, upewniłam się w myśli. Odczułam pokusę zasięgnięcia opinii Lauren i Tinsley: czy ich zdaniem powinnam odnieść się nieufnie do tego zaproszenia do Paryża? Czy to był blef? Albo nie, one zaraz by mnie przekonały, że Hunter i Sophia organizują sobie randkę w Paryżu. Nie powinnam ich słuchać. W końcu ja byłam szczęśliwą żoną, a one — singielkami. Małżeństwo bez wątpienia było nieskończenie lepsze od rozwodu.

TLR

9

PAN NIE-DO-WYGOOGLE'ANIA

A La Vieille Russie, nierzucający się w oczy salon jubilerski na rogu Fifty-ninth Street i Fifth Avenue, przypomina bardziej mauzoleum niż elegancki butik — z pokrytymi grubą warstwą kurzu odlewami i światłem skierowanym na szklane gabloty, które eksponują znaczące rosyjskie precjoza. Lauren uwielbiała to miejsce. Uważała, że to najlepszy sklep jubilerski w Nowym Jorku, ponieważ jest taki staromodny, wcale nie gwiazdorski. To był jej pierwszy krok w poszukiwaniu spinek Fabergé; któregoś dnia poprosiła mnie, bym tam z nią poszła.

—Używam teraz nowych perfum, nazywają się Park Avenue — powiedziała mi w samochodzie, kiedy tam jechałyśmy. — Staram się nie rzucać w oczy, kiedy tam się wybieram — przyznała. — Tak jak oni.

Tymczasem jej wygląd temu przeczył. Ubrana była w jas- ; krawoczerwoną stylową suknię od Giorgia di Sant'Angelo z dekoltem niemal do pępka. Pasowała bardziej do Studia 54 niż do Fifty-ninth Street.

Po przyjęciu rozwodowym Sanford udzielił Lauren szczegółowych informacji na temat spinek, które chciał zdobyć. Powiedział, że zapoczątkowały one całą rodzinę spinek Fabergé, które otrzymał car Mikołaj od swojej matki, carycy wdowy, na Wielkanoc 1907 roku. Były w kształcie jajka, pokryte żółtą emalią z filigranową carską koroną wykonaną ze złota. Para oryginalnych spinek miała na spodzie wygrawerowany diamentem numer, co było widoczne tylko przez lupę. Sanford przegrał licytację z anonimowym kupcem, który licytował przez telefon, ale Lauren uważała, że personel ALVR mógłby go odnaleźć albo też mógł sam kupić ten klejnot w imieniu swojego klienta.

Sanford z pochodzenia Rosjanin, zawsze chciał posiadać kawałek rosyjskiej historii. Dowiedział się też, że Tom Ford zbiera spinki Fabergé, co sprawiło, że nie miał nic przeciwko temu, by wydać przeszło sto tysięcy dolarów na dwa kawałeczki żółtej emalii, z których każdy mierzył nie więcej niż centymetr kwadratowy.

— A tak, znamy spinki Fabergé — przyznał szeptem Robert, obsługujący tego dnia klientów, swoim wyglądem przypominający nieboszczyka. Mówił cicho, jakby nie chciał obudzić umarłych.

— Właśnie — wtrąciła szybko Lauren — Wiedziałam, że wy, chłopaki, znajdziecie je dla mnie.

— Panno Blount, nie mamy pojęcia, gdzie one się teraz znajdują— odrzekł Robert. Zaczął odkurzać parę drobiazgów na swoim biurku, jak gdyby uważał rozmowę za skończoną.

— Kto je kupił? — zapytałam.

—Nie możemy udzielać żadnych informacji na temat naszych klientów — odrzekł Robert, posyłając mi spojrzenie pełne nagany.

—Przestań, Robbie — włączyła się Lauren. — Daj spokój, mam właśnie bardzo ważnego klienta, który zapłaci za nie każdą cenę. Przegrał je na aukcji i jest z tego powodu niepocieszony. Mógłbyś też coś z tego mieć.

—Panno Blount, moja odpowiedź brzmi: nie. A teraz, panie wybaczą...

— Mogę to przymierzyć? — przerwała mu Lauren.

Pochylona nad gablotą, pokazała palcem antyczną bransoletkę w kształcie węża, wysadzaną turkusami i brylantami.

—Oczywiście, panno Blount — odpowiedział Robert z ciężkim westchnieniem. Otworzył gablotę i delikatnie wyjął klejnocik.

Lauren założyła bransoletkę, egipskim obyczajem podsuwając ją wysoko za łokieć.

— Och — zachwyciła się.

— Jest fantastyczna — powiedziałam.

—Cena też jest fantastyczna — zauważyła, patrząc na metkę dyndającą jej w okolicach pachy. — No, nie wiem, Robbie...

—Z pewnością coś będziemy mogli dla pani zrobić, panno Blount — powiedział Robert, patrząc na nią wzrokiem sępa. — Zważywszy na to, że jest pani naszą stałą klientką...

—Czy to coś może zawierać jakąś informację o tajemniczych spinkach pana Faberge? — zapytała z kamienną twarzą Lauren, przeistaczając się momentalnie w kobietę interesów.

Robert nadął się. Trochę gniewnie popatrzył na Lauren.

I zaraz skinieniem głowy skierował nas do swego biura na zapleczu. Było bardzo zagracone, na ogromnym biurku z blatem pokrytym skórą piętrzył się stos książek, puzderek na precjoza, szkiców klejnotów. Robert z niejakim trudem wcisnął się za biurko i zaczął postukiwać w klawiaturę komputera wyglądającego na zabytkowy. Na ekranie pojawiło się zdjęcie owych spinek. Były piękne i delikatne, a emalia, którą je powleczono, miała tak intensywny żółty kolor, że zdawała się świecić. Pod spodem uwidocznione zostały następujące dane:

Certa: 120 000 $

Klient: G. Monterey

Rodzaj płatności: przelew bankowy

— Kto to jest ten G. Monterey? — zapytałam.

— Nigdy go nie poznaliśmy. Ktoś do nas dzwonił w jego imieniu, pieniądze zostały przelane przez bank, a spinki zabrane do Park Hyatt w Moskwie! Klient był bardzo tajemniczy — wyznał Robert. — Nie dałby nam żadnych namiarów. To normalne u klientów z Rosji. Nikt nie chce niczego powiedzieć na ten temat. A teraz, panno Blount, jak chce pani zapłacić za bransoletkę?

*

— Nie mogę uwierzyć, że musiałaś kupić tę bransoletkę — powiedziałam do Lauren, kiedy już siedziałyśmy w taksówce wiozącej nas z powrotem do miasta.

— Doliczę to do rachunku „klienta” — odpowiedziała Lauren beztrosko. — Sanford tak bardzo chce mieć te spinki, że nie obchodzi go, ile będzie musiał za nie zapłacić. Podejrzewam też — dodała, unosząc brew — że moje poszukiwania będą dość kosztowne.

Roześmiałam się. Lauren nawet zabójstwo uszłoby płazem.

— Sanford w gruncie rzeczy jest aniołem — zapewniła mnie. — Gdyby nie był żonaty, i to dwukrotnie, nie miał dwóch córek i Bóg raczy wiedzieć ilu pasierbów,

to mogłabym, no wiesz...

— Poważnie? — zdziwiłam się.

—Poważnie to nawet nie potrafię sobie tego dobrze wyobrazić — zająknęła się. Sprawdziła, czy szofer nas nie słucha, po czym dodała szeptem: — Przypominałoby to kochanie się z łóżkiem wodnym.

— Przestań — prosiłam ją. — Nie kontrolujesz się.

—Bo moje życie seksualne wymknęło mi się spod kontroli. Wiele bym dała za młodego Sanforda, wolnego i odchudzonego. Ach, gdyby miał syna!

Gdy taksówka skręciła ostro w Fifth Avenue, pogrzebałam w torbie i po chwili wyciągnęłam z niej kieszonkowy komputer.

—OK. A teraz znajdziemy naszego tajemniczego pana G. Montereya — powiedziałam.

Mimo że taksówka nurkowała i szusowała, udało mi się wklepać w klawiaturę Google, a następnie G. Monterey.

—Może byśmy pojechały do Moskwy, by znaleźć go tam w pierwszy listopadowy weekend? Będą rozgrywki polo na śniegu, zabawimy się — rozmarzyła się Lauren.

Kusiło mnie to. Słyszałam, że Moskwa to świetne miejsce, i że każdy, kto jest *en vogue,* robi tam interesy. Może utarguję też coś dla Thackeraya?

—Byłoby wspaniale, ale dam ci odpowiedź później, bo być może wtedy pojadę z Hunterem do Paryża.

— To z nim już wszystko w porządku?

— Od kiedy wrócił, jest uroczy — odpowiedziałam.

—Och, jaka szkoda, że nie dołączysz do naszego grona — westchnęła komicznie Lauren. Ale zaraz dodała: — Ja tylko tak żartuję.

Na ekranie kieszonkowego komputera pojawiła się informacja: *Podana fraza —G. Momtgomery — nie została odnaleziona. Nie znaleziono stron zawierających podane słowa*.

— A to dopiero — zmartwiłam się.

Lauren spojrzała przez ramię na informację i nachmurzyła się. Wzięła ode mnie komputer i sama postukała w klawiaturę, wypróbowując kilka innych wersji nazwiska. Bez rezultatu.

— Pan Nie-do-wygoogle'ania, co za atrakcja — powiedziała w końcu. — W takim razie będę musiała zapolować na niego w Moskwie.

— A co z Planem Zaliczeniowym?

— Może Monterey będzie drugi na liście — powiedziała Lauren.

— Co zrobisz, jeśli będzie miał siedemdziesiąt dziewięć lat? — zapytałam,

— Na pewno nie ma tyle — uznała Lauren. — Czuję te wibracje. Już jestem w nim zakochana do szaleństwa.

TLR

10
WSPANIAŁE ŻONY Z WEST VILLAGE

Wspaniałe Żony z West Village jako tubylcze plemię zajmuje obecnie najwyższą pozycję w nowojorskiej piramidzie branży spożywczej. Ich środowisko naturalne — zwłaszcza tarasy Pastisa, wejście do sklepu Marca Jacobsa na Bleecker Street oraz kamienne stopnie wiodące do ich własnego ratusza na West Ninth Street — samo w sobie robi wrażenie osobnego raju przypisanego do tej części Manhattanu. Nic dziwnego, że podczas weekendów tłumnie nawiedzają go turyści. Przyjezdni sterczą tam, gapiąc się na Wspaniałe Żony z West Village, które czarują olśniewającą bielą zębów demonstrowanych w uśmiechach oraz cudownymi włosami, których połyskliwe spirale kołyszą się z regularnością metronomów.

Liv Tyler, Olatz Schnabel, Sarah Jessica Parker — tym atrakcyjnym mamom z pociechami w wózeczkach trudno dziś znaleźć w porze lunchu stolik w Saint Ambroeus na Perry Street. Przed dziewczynami tymi stoi fantastyczna kariera (ulubionej gwiazdy filmowej); na poranną kawę u Jacka na West Tenth Street zakładają tradycyjne hiszpańskie poncho i nie wyjdą na ulicę, zanim ich cera nie osiągnie owej promienności, jakiej się nabiera po szczególnie udanym seksie. Szczęście zdaje się z nich emanować, nawet gdy popychają wózek Bugaboo Frog, przemierzając ulicę na piętnastocentymetrowych obcasach od Rogera Viviera.

Szczerze mówiąc, nie ma nic bardziej demoralizującego dla młodej żony niż natknięcie się w drodze do domu na jedno z tych niezwykłych stworzeń w chłodny wieczór, po całym dniu pracy. To naprawdę bolesne zderzenie.

Kilka dni po powrocie Huntera postanowiłam przygotować kolację w domu. Obydwoje byliśmy wyczerpani pracą i potrzebowaliśmy oddechu, intymnej atmosfery. Ja i Thack mieliśmy za sobą długie godziny spędzone nad książką zamówień, Hunter zaś, zamknięty w gabinecie, opracowywał do późnych godzin nocnych scenariusz spotkań. Wstąpiłam więc do Citarelli na rogu Ninth Street i Sixth Avenue, by wybrać jakieś smakowite potrawy na wieczorny posiłek. Gdy tylko odeszłam od stoiska mięsnego, przypomniałam sobie, że skończył nam się środek do udrożnienia rur, wróciłam więc na koniec sklepu po płyn Drano. Po spenetrowaniu zawartości półek dorzuciłam jeszcze do koszyka pastę do zębów,

proszek do szorowania — wszystko to, co staje się potrzebne w dwójnasób, gdy po ślubie prowadzi się gospodarstwo dla dwojga. To dość przygnębiające, pomyślałam sobie, gromadząc stertę detergentów i proszku do zmywarki.

To prawda, że z małżeństwem wiąże się mnóstwo dalekich °d seksu spraw, bynajmniej nie romantycznej natury. Na Przykład zakup Drano. Mój miły mąż zużywał krocie papieru toaletowego, o wiele więcej niż ja. Taszcząc do domu opakowanie zawierające szesc sztuk papieru Chamim, traciłam przy kasie zapas energii, który w czasach przedmałżeńskich spożytkowałabym na miłosne igraszki. Świeżo poślubiona małżonka nigdy się do tego nie przyzna, ale stan małżeński to czasem kierat. Może się to okazać nawet już kilka dni po ślubie. Przykre, ale prawdziwe.

Ostatniego wieczoru na przykład, co przyznaję z żalem, straciłam mnóstwo czasu przy kolacji z Hunterem na zastanawianie się, jak zorganizować pranie jego rzeczy. Przed ślubem jedyny powód, dla którego wspominało się o pralce, to czy kochać się na niej, czy nie. Tuż przed zaśnięciem, Hunter powiedział:

— Skarbie, wiesz, jak bardzo cię kocham. Ale gdzie są te sportowe skarpetki które kupiłem w Telluride?

To o takich rzeczach małżonkowie dyskutują w łóżku — zastanawiałam się żałośnie. Czy nie powinniśmy zamiast tego się kochać? Takie myśli przychodziły mi do głowy tuż przed zaśnięciem. Nasze życie wcale nie odpowiadało moim wyobrażeniom rodem z „Eternity Bride", podobne było raczej do żywotów par z przedmieść przedstawianych w serialu *Wszyscy kochają Raymonda.* Mężowie natomiast, nawet gdyby ich wizerunki bardzo przypominały mężów w stylu „Eternity...", muszą mieć przynajmniej jeden lub dwa okropne nawyki. Hunter na przykład zostawiał w umywalce pianę do golenia z porannym urobkiem. Ktoś inny na moim miejscu nie mógłby się z tym pogodzić i domagałby się natychmiastowego usunięcia takich śladów. Nikt nas nie uprzedza, że w małżeństwie nie sposób uniknąć pewnych uciążliwych obowiązków domowych, nawet jeśli zatrudnia się gosposię. A wypełnianie ich nie zachęca potem do uprawiania miłości.

Seks, pomyślałam tęsknie, ściągając z najwyższej półki paczkę toreb na śmieci, seks i... pranie chemiczne. Spojrzałam na zegarek, było już wpół od ósmej, a o ósmej mieli przynieść z pralni wyczyszczone ubrania Huntera, za które powinnam zapłacić.

Rzuciłam zakupy na ladę przy kasie. Jęknęłam w duchu, gdy spostrzegłam, że stoję w kolejce za Phoebe Calder, modelową postacią uosabiającą typ Wspaniałych Żon z West Village. Wyglądała kwitnąco. W jednej ręce trzymała kawałek francuskiego sera w eleganckim opakowaniu, a w drugiej — swoją firmową torebkę w kremowym kolorze z napisem PHOEBE BÉBÉ. Wydatny brzuch maskowała krótką tweedową pelerynką, a pod nią miała niesłychanie obcisłe dżinsy w stylu Kate Moss. Jej brązowe włosy tak lśniły, że mogłam się w nich niemal przejrzeć. Będę musiała się z nią przywitać, pomyślałam bez entuzjazmu, nie mogę okazać się niegrzeczna.

Poklepałam ją po ramieniu.

— Cześć, Phoebe — powiedziałam.

Odwróciła się, popatrzyła na mnie, na mój wyładowany wózek, ale widać było, że mnie nie poznaje. Dopiero po chwili wykrzyknęła:

— Sylvie, to ty? Przez chwilę nie mogłam cię rozpoznać pod tą masą środków czyszczących.

Nic dziwnego, że mnie nie poznała. Ostatnio zaznawałam znacznie mniej seksu niż dotychczas. Przed ślubem kochaliśmy się z Hunterem codziennie, tego jestem pewna. Teraz mniej więcej raz na trzy dni. Czy to dobrze? Czy to źle? Czy taka jest średnia krajowa? Czy odpowiada to częstotliwości praktykowanej przez parę z „Eternity Bride”?

— Jak ci się żyje w małżeńskim stanie? — zapytała Phoebe, gdy obie stałyśmy cierpliwie w kolejce.

Dlaczego ludzie pytają cię tylko o to, gdy jesteś już p_0 ślubie? I co się odpowiada na takie pytanie? Może cierpię na poślubną depresję, pomyślałam ponuro. Jasne, że skoro można wpaść w depresję poporodową, to można też nabawić się depresji poślubnej.

— Cudownie — odpowiedziałam, ponieważ takiej właśnie odpowiedzi spodziewa się pytający.

A ja miałabym ochotę zapytać Phoebe, czy kocha się ze swoim mężem w przerwach między podjadaniem francuskiego sera a projektowaniem niebotycznie drogiej dziecięcej konfekcji.

— Czy Hunter wyjeżdża teraz służbowo tak często jak przedtem? — zapytała, gdy posuwałyśmy się z wolna w kierunku kasy.

— Prawie wcale — skłamałam, uświadamiając sobie jednocześnie, jak rzadko widuję swego męża od czasu naszego ślubu. Ale wolałam nie rozwijać tego tematu, by Phoebe nie uraczyła mnie opowieściami o Hunterze na swobodzie.

— Mam nadzieję, że zobaczę cię jutro — powiedziała Phoebe, kładąc na ladzie ser, który natychmiast został przytknięty przez kasjerkę do czytnika.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

— W moim nowym sklepie. W Baby Buggy na lunchu. Wszyscy mają tam przyjść. Lauren. Marci. Spenderella. Będzie świetna zabawa — powiedziała Phoebe tonem sugerującym, że każdy musi się dobrze bawić, w przeciwnym razie zostaną wyciągnięte poważne konsekwencje. — Nie dostałaś zaproszenia?

Lunche w Baby Buggy są w pewnych kręgach wydarzeniem dobroczynnym, na które uczęszczają mamusie milionerki i ich towarzyszki. Boginią jest Jessica Seinfeld, prezeska Gaby Buggy, matka trójki dzieci i żona komika Jerry'ego. pojęcia nie mam, jak ona znajduje czas na przebieranie się za każdym razem, gdy wychodzi z domu, w nowe kreacje od Narcisa Rodrigueza, wydawanie lunchów dla Baby Buggy, kochanie się i robienie manikiuru.

— Czterdzieści dolarów — powiedziała dziewczyna przy kasie.

Phoebe wręczyła jej banknot studolarowy. — Ten ser kosztuje sześćdziesiąt dolarów za funt — poinformowała mnie radośnie. — To czyste zdzierstwo.

Uśmiechała się bardzo z siebie zadowolona. Kobiety takie jak Phoebe uwielbiają demonstrować swoim nowym znajomym, jak poddają się aktom czystego zdzierstwa.

— Liczę na ciebie. Przyjdź jutro o pierwszej. Wszystkie bilety już zostały rozesłane, ale ty nie potrzebujesz żadnego, jesteś moim gościem.

To nie było zaproszenie. To był rozkaz.

*

W drodze do domu postanowiłam, że zamiast ulec przygnębieniu z powodu obrazu mężatki reprezentowanego przez Phoebe, raczej dam się nim zainspirować. W końcu nie miało sensu rozmyślanie, gdzie można dostać eleganckie tweedowe pelerynki albo jak kobiecie w ósmym miesiącu ciąży udaje się wcisnąć w dżinsy w stylu Kate Moss. Znacznie rozsądniej było wziąć z Phoebe przykład i zrobić się na bóstwo dla własnego męża, zamiast obnosić się z ponurym obliczem. Przyrządzę mu wyśmienite risotto, włożę nową dżersejową sukienkę, którą kupiłam kilka dni przed jego powrotem u Daryl K. Miała trochę niekonwencjonalny krój, co sprawiało, że czułam się w niej seksowna i nowoczesna. Phoebe miała rację, pomyślałam sobie zakładając sukienkę. W roli żony można się czuć znacznie lepiej, jeśli się ma na sobie ciuchy w dobrym gatunku.

Kiedy zabierałam się do siekania cebuli, zadzwonił gong To pewnie posłaniec z pralni, pomyślałam. Poszperałam w torebce w poszukiwaniu pieniędzy i ruszyłam otworzyć drzwi. W progu stał Jim, chiński posłaniec z pralni na Ninth Street, objuczony stertą ubrań Huntera i moimi sukniami wieczorowymi. Pomogłam mu je wnieść i ułożyć na krześle w holu.

— Dziękuję — powiedziałam. — Ile płacę?

— Osiemdziesiąt pięć dolarów — odpowiedział.

Dałam mu dziewięćdziesiąt i podziękowałam za resztę.

Zadowolony wetknął pieniądze za pasek.

— Do zobaczenia następnym razem — pożegnałam go, otwierając drzwi.

Już za progiem Jim odwrócił się i powiedział:

— A to było w kieszeni pana Mortimera.

Wcisnął mi coś do ręki i zniknął. Gdy za nim zamknęłam, zobaczyłam, co mi dał. To była przezroczysta plastikowa torebka zamykana na suwak. W środku znajdował się zwitek rachunków. Pomyślałam sobie, jak to miło ze strony Jima, że uratował rachunki Huntera. Już szłam do holu, by umieścić na stercie wypranych ubrań ocaloną torebkę, gdy paragon znajdujący się na samym wierzchu przykuł mój wzrok. Czy to... Popatrzyłam z bliska na wydruk widoczny przez plastik. Czy cena na rachunku podana została w funtach brytyjskich?

Jak to możliwe? Coraz bardziej zaniepokojona wyciągnęłam z torebki kwit i

przeczytałam:

HOTEL BLAKES

33 Roland Gardens

Londyn SW 7

17 września

Cena za pokój: £495.00

Obsługa hotelowa: £175.00

Minibar: £149

Jak to: minibar? Hunter wypił alkohole za trzysta dolców! W pokoju hotelowym! I to w hotelu znanym jako modne miejsce spotkań kochanków! Przejęła mnie zgroza. W myśli czym prędzej sprawdziłam datę: 17 września, dwa tygodnie przed przyjęciem rozwodowym Lauren. Tak, teraz byłam pewna, to był Ten Weekend, kiedy nie mogłam skontaktować się z Hunterem w Paryżu. Phoebe rzeczywiście widziała go w Londynie. Hunter kłamał w żywe oczy, a co gorsza, winę zrzucał na Bogu ducha winną ciężarną kobietę, twierdząc, że hormony padły jej na mózg.

Ręce mi się trzęsły. Może to objaw stwardnienia rozsianego, pomyślałam, nie mogąc opanować drżenia. Czy to nie mąż mnie wpędził w tę chorobę swoimi hotelowymi wyskokami? Straszne. Co począć? Czy powinnam zadzwonić od razu do Huntera i powiedzieć mu, że go nakryłam? Czy lepiej nie działać pod wpływem impulsu? Zadzwonić do Lauren i opowiedzieć jej o swoim odkryciu? Ona zaraz oddałaby sprawę w ręce prawników. A wtedy...

— Cześć, kochanie.

Poderwałam się. Byłam tak głęboko pogrążona w myślach, że nawet nie zauważyłam, jak Hunter wślizgnął się do mieszkania. Zanim wydobyłam, z siebie głos, on już mnie całował na powitanie, gładził po włosach, jak gdyby wyczuwał, że potrzebuję pocieszenia.

— Co za piękną suknię masz na sobie, Sylvie — powiedział. Po czym zauważył

stertę ubrań i dodał: — Dziękuję za zajęcie się moim praniem. Naprawdę nie musiałaś, tyle masz innych obowiązków. Ja mogłem je przynieść.

Nie odezwałam się. Czy ktoś wie, co to są domowe niedole?

TLR

11
POKAZOWE DZIECKO

Nie mogę powiedzieć, żebym była w nastroju odpowiednim na imprezę Phoebe, ponieważ jedyne, na czym mogłam skupić myśli, to rachunek z londyńskiego hotelu i zastanawianie się, co w takim razie miałam powiedzieć Hunterowi. Ale gdy wspomniałam Thackowi, że chyba zebrało mi się zbyt dużo obowiązków w pracy, bym jeszcze szła na lunch do Phoebe, w nadziei, że on mnie poprze, zareagował inaczej, niż się spodziewałam, i naciskał, żebym tam poszła. Alixe Carter patronowała akcji dobroczynnej Baby Buggy, Thack zaś chciał, abym ją namówiła na następną przymiarkę. Alixe nawet nie raczyła nas przeprosić za niepojawienie się za pierwszym razem, nawet potem, gdy spotkałyśmy się na przyjęciu rozwodowym Lauren.

Phoebe Bébé mieszczące się na rogu Washington i Ho- ratio Street, tuż obok butiku Christiana Louboutina, utrzymane było w tej samej tonacji co torebki firmowe. Ściany w jasnożółtym kolorze wykończono szarymi listwami. Kiedy tam weszłam, w pomieszczeniu panował już tłok. Zwariowane na punkcie Baby Buggy efektowne mamusie kupowały' kaszmirowe butki po siedemset pięćdziesiąt Q_0_ larów za parę oraz czapeczki zaprojektowane dla sześciotygodniowego wyżu demograficznego. Phoebe tymczasem królowała na środku sklepu z trzema dziennikarkami, które reżyserowały jej zdjęcia z przyjaciółkami na tle stosu firmowych produktów dla dzieci, oznaczonych ja- snożółtym logo.

— Znasz już Armenię?! — ryknęła na mój widok.

Phoebe miała na sobie długą, wytworną suknię od Halstona, wystarczająco obszerną jak na jej pękaty brzuch. W jednej ręce trzymała małą satynową portmonetkę, drugą zaś obejmowała szesnastomiesięczne dziecko. W tym samym czasie, o dziwo, popijała wodę ze szklanki.

— Och, ależ z niej będzie idealna modelka — pisnęła jedna z dziennikarek na widok dziecka. — Zdjęcie, szybko, szybko. OK. A teraz wezmę od ciebie to picie.

Gdy Casey Silbert, wspomniana dziennikarka, zabrała jej szklankę, Phoebe jak na zamówienie zaprezentowała uśmiech, który miał być macierzyński, ale i młodzieńczy. Natychmiast pojawiło się pięciu fotografów, którzy po chwili na-

trzaskali kilkanaście zdjęć i znikli jak spadające gwiazdy.

— Grzeczna dziewczynka — pochwaliła małą Phoebe, obijając ją na swoim wychudzonym biodrze. — Nazwiemy ją w skrócie Meni.

— Śliczne imię — powiedziałam z uznaniem.

— Czyż ona nie jest zachwycająca...

W tym momencie z tyłu sklepu dał się słyszeć trzask fleszów. Phoebe przerwała wypowiedź w pół zdania i zwróciła głowę w stronę błyskających świateł.

Patrzcie! Tam jest Valerie z Babą. To chyba zdrobnienie od Baltazara — domyśliła się, już pędząc w stronę następnej efektownej dziewczyny, której dzieciątko dla zwiększenia fotogeniczności wciśnięte zostało w obramowane futrem śpioszki Baby Björn na jej kolanach.

Prawdę mówiąc, zwracano uwagę jedynie na dzieciaczki z anielskimi buziami, których przyprowadzono tu całe mnóstwo i których dalsze egzemplarze napływały bez przerwy. No cóż, nastała epoka Pokazowych Dzieci, najwyżej półtorarocznych. Prezentowano je na najelegantszych spotkaniach — wernisażach, obiadach poprzedzających premierę filmu, pokazach mody (liczyły się tylko pierwsze rzędy, bo co za sens przyprowadzać dziecko, jeśli się ma miejsce w drugim rzędzie i nikt go nie zobaczy?). Zanim taki berbeć skończy trzy tygodnie, ma już dziewięćdziesiąt sześć wzmianek w Google'u, zna lepiej przymierzalnię w Yoya Mart niż własne łóżeczko i co najmniej trzykrotnie uczestniczył wraz z dziećmi Kate Winslet w lekcjach muzyki w Soho House. Pokazowe Dziecko łatwo rozpoznać po podkrążonych oczach i ziemistej cerze świadczącej o wyczerpaniu. Jeśli nie zidentyfikujesz takiego malucha na przyjęciu, nie ma zmartwienia, kilka dni później znajdziesz mnóstwo jego zdjęć w miesięcznikach „Gotham" lub „New York", gdzie w każdym numerze prezentuje się co najmniej trójkę Pokazowych Dzieci na stronach kroniki towarzyskiej.

Zlustrowałam dokładnie całe wnętrze, nigdzie jednak nie dostrzegłam Alixe Carter. Może Phoebe będzie wiedziała, gdzie podziewa się Alixe. Zaczęłam przebijać się przez tłum urodziwych dziewcząt otaczających ją ciasnym wianuszkiem. Im dłużej tu przebywałam, tym mniej efektowna się czułam w tym gronie. Sądząc z dużego wyboru strojów prezentowanych w tym butiku, ja byłam jedyną osobą, która tu przyszła wprost z biura. Wychodząc z pracy, narzuciłam na dżinsy piękny haftowany płaszcz od Thacka, ale nie mogłam przecież konkuro-

wać z dziewczynami, które cały ranek spędziły w Blow, gdzie zrobiono im odpowiednią fryzurę i makijaż.

— Nie widziałaś Alixe Carter? — zapytałam Phoebe, poruszając bezgłośnie ustami, by mnie zrozumiała mimo otaczającego ją tłumu.

— Akurat poszła do toalety. Spenderelli należy się przerwa — odkrzyknęła Phoebe w odpowiedzi. — Nie ma dzieci, ale kupiła trzy torby pieluszek ze złocistej satyny. Nie potrafi się powstrzymać.

— Dzięki! — zawołałam i skierowałam się od razu do pomieszczenia na tyłach sklepu opatrzonego tabliczką z napisem: GOTOWALNIA.

Gotowalnia Phoebe przypominała raczej elegancką sypialnię gościnną. W jednym rogu pomieszczenia stała zapraszająco rozłożysta kanapa obita białą bawełnianą tkaniną w żółte różyczki. Nad umywalką wisiało ciężkie antyczne lustro w złoconej ramie, a z przodu pysznił się wielki wazon żółtych róż. Wszędzie porozstawiano małe srebrne miseczki wypełnione złocistymi migdałami w cukrze. Buteleczki z wodą opatrzone były etykietkami ze srebrnym napisem: EAU BÉBÉ. Całość utrzymana w stylu pseudofrancuskiej doskonałości, choć Phoebe nie miała żadnych związków z Francją. Pochodziła z Miami, do czego nie przyznawała się głośno.

Nigdzie ani śladu Alixe, co mi nawet ulżyło. Tak zaprzątała mnie sprawa hotelowego rachunku, że nie byłam w nastroju do babskiego szczebiotania, a z Alixe tak właśnie musiałoby to wyglądać. Może tu będę mogła trochę się oderwać od tego szaleństwa, jakie panuje na zewnątrz. W oczekiwaniu, aż zwolni się toaleta, zapadłam w wielki fotel, by pogrążyć się w ponurej zadumie na osobiste tematy. Co powinnam zrobić? To pytanie zadawałam sobie w nieskończoność, jeśli zdecyduję się na konfrontację z Hunterem, to wyjście będzie tylko jedno, uświadomiłam sobie z przerażeniem. A przecież nie mogłam tego tak zostawić... A może mogłam? Dlaczego nie puścić wszystkiego w niepamięć, udać, że nie było żadnego rachunku hotelowego. Czy tak właśnie postępują żony?

Tymczasem mój strapiony umysł wyłowił dźwięki w innej tonacji: chichoty dochodzące zza drzwi toalety. A zaraz potem chropawy głos w wyraźny sposób spowity dymem papierosowym odezwał się teatralnym szeptem:

—Wydymałam go na stojaka w holu. Uroczy Nicky. A gdy zapytałam go, ile ma lat, odpowiedział: „Niedługo skończę dziewiętnaście”.

Ze wstydem przyznaję, że nadstawiłam ciekawie uszu.

— Fiu, fiu! — odezwał się inny głos. — A gdzie on mieszka?

— Na Sto Siedemnastej, razem z mamą i tatą.

— Ale jesteś pokręcona.

— Wiem. I bardzo to lubię.

Nie mogłam zgadnąć, do kogo należał papierosowy głos, ale wkrótce stało się dla mnie jasne, czyj był głos drugi: Lauren. Kłąb siwego dymu wydobywał się powoli spod drzwi kabiny.

— Paskudztwo! — wykrzyknął głos Lauren.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i zza nich wypadła najpierw Lauren, a za nią chmura dymu i trudna do rozpoznania Tinsley z papierosem w zębach. Ta ostatnia ubrana była w czarne skórzane spodnie i białą bluzkę, charakteryzującą się tym, że odsłaniała bezmiar jej biustu. Na lewym nadgarstku miała wysadzany brylantami zegarek od Cartiera, a w uszach kolczyki z wielkimi bladoróżowymi brylantami. Co za radykalna zmiana — zaledwie przed kilkoma dniami była kobietą lasu!

— Och, Sylvie, jak się cieszę, że tutaj przyszłaś — wykrzyknęła Lauren na mój widok.

— Popatrz na mnie — zawtórowała jej Tinsley, nie wyjmując papierosa z ust. — Teraz jestem Timorą Lee Simmons. Z takim wyglądem koszę znacznie więcej młodych chłopców.

— W takim razie strój wart był zachodu — odpowiedziałam rozbawiona.

— Ta gotowalnia to najlepsze miejsce w całym sklepie. Czy nie mogłybyśmy zostać tu i wcale nie wychodzić na górę? Mnie się tutaj naprawdę podoba, wreszcie mogę popracować nad swoim makijażem — rozmarzyła się Lauren. — Uwielbiam Phoebe, ale ona jest nienormalna. Naprawdę, jakby rzeczywiście kwadryliony dzieciaków aż się trzęsły, by dostać w swoje łapki kocyk z wełny lamy za dwadzieścia tysięcy dolców!

Lauren i Tinsley, chwyciwszy po butelce z wodą dziecięcą, klapnęły na kanapę ustawioną po przeciwnej stronie. Tinsley niedbałym gestem zsunęła do kosza na

śmiecie migdały ze srebrnej miseczki, by następnie zdusić w niej papierosa. Zauważyła, że ją obserwuję.

— Phoebe lubi, jak się źle zachowuję. W ten sposób pełnię funkcję jej wentyla. Ona sama jest taka... poprawna. Nie rozumiem jej — zeznała trochę zmieszana. Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej chwilę, po czym wyjęła tusz do rzęs i malutkie lusterko. — Jeśli nawalić tego towaru, to będzie się wyglądało *très* Kimora — powiedziała, nakładając maskarę

— Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło wczoraj wieczorem — zwróciła się do mnie Lauren.

—Co takiego?

—Szczytowała pięć razy — ubiegła ją Tinsley.

— Jesteś pewna, że to było pięć razy? — zapytałam.

Trzeba wiedzieć, ile dokładnie się traci orgazmów, będąc w małżeńskim stanie.

— Ponieważ wczoraj wieczorem w opakowaniu było jeszcze pięć prezerwatyw, a teraz nie ma ani jednej, a ja szczytowałam za każdym razem — wyjaśniła rzeczowo Lauren. Nie okazywała ani cienia zakłopotania.

— Kto jest autorem tej Wielkiej Piątki? Jak się nazywa? — dopytywałam.

— Jakoś, nie pamiętam. To już dwie pozycje z Planu Zaliczeniowego mogę odhaczyć. Dla uczczenia Numeru Dwa zamówiłam nowy serwis Kelly Mu, biały ze złotymi różyczkami. Jezu, on był naprawdę niesamowity. Przeżyłam z nim więcej orgazmów niż podczas całego mojego małżeństwa — piała z zachwytu, grzebiąc jednocześnie w kosmetyczce.

— A ja myślałam, że to chodziło o gry miłosne, raczej przedwstępne... — drażniłam się z nią. — Samo całowanie.

— Nie jestem już licealistką — orzekła Lauren. — Rozwódki lubią...

— Pieprzenie — wpadła jej w słowo Tinsley. — Lauren, czy masz ze sobą ten błyszczyk, który tak mi się podoba? Chanel Sirop? Nicky go uwielbia. Tym błyszczykiem przyklejam się do jego policzków. Za pół godziny mam z nim randkę. Będziemy się pie...

— Dosyć — przewala jej Lauren. — Sylvie jest przyzwoitą mężatką. Padnie,

jak jeszcze raz usłyszy od ciebie te szczegóły. Masz — wręczyła jej etui z różowym błyszczykiem.

*

W Nowym Jorku żony odbywają stosunek, dziewczyny kochają się, a rozwódki — pieprzą. Miasto sprzyja tym rozrywkom na tysiące sposobów. Przede wszystkim na każdym rogu można znaleźć luksusowy hotel, z wliczonymi w cenę pokoju wszelkimi udogodnieniami do igraszek miłosnych. Playground, najdroższy apartament w Soho House, oferuje łoże wielkości terytorium Francji, wannę jak Pacyfik, a do tego prysznic, który szumi jak Niagara i tryska strumieniami wody ze wszystkich możliwych stron i pod każdym kątem. Na sobotnie noce pokoje porezerwowane są do 2007 roku, i to właśnie przez rozwódki. Lauren, jak się wydaje, przekształciła swoje macankowe wyzwanie w rywalizację z Tinsley w konkurencji seks bez zobowiązań z błyszczykiem i kondomem.

— To moja wina — oświadczyła Tinsley. — Daję jej okropny przykład. — Smarowała wargi błyszczykiem w nieskończoność. Po każdym przeciągnięciu sztyftem jej usta robiły się coraz czerwieńsze i coraz bardziej wydatne. Kiedy skończyła, przypominały koktajlowe kiełbaski. — Genialny jest ten błyszczyk. Strzeżcie się, portierzy! O rany, czy ja jestem wulgarna?

Tinsley dostała fioła na punkcie chłopaków, przy czym „chłopak” to właściwe słowo. Obecnie „zabawiała się”, jak to lubiła określać, z osiemnastoletnim portierem, wspomnianym Nickym, jak również z dwudziestojednoletnim posłańcem przynoszącym zamówione potrawy, któremu zazwyczaj otwierał drzwi ów młodziutki portier. Tinsley upajała się rolą w stylu pani Robinson uwikłanej w miłosny trójkąt i delektowała się sytuacją najeżoną logistycznymi leonip'ikacj ami.

—A co z moskiewskim migdaleniem? — zapytałam

Lauren, mając na myśli Pana Nie-do-wygoogle’ania. — Czy jego osoba nadal wchodzi w grę: miłosną?

— Oczywiście w dalszym ciągu jestem w nim zakochana do szaleństwa — Lauren odpowiedziała z uśmiechem. — Wydaje mi się, że się w nim zadurzyłam. Ma na imię Giles. To imię jest bardzo seksowne, prawda? Jestem pewna, że pojawi się w przyszłym miesiącu na zawodach polo na śniegu.

— Jaki moskiewski? — Tinsley nagle okazała zainteresowanie.

— Żaden — zbyła ją Lauren, otwierając pudemiczkę i pokazując mi na migi. żebym nic jej nie mówiła

— Słuchajcie, mam bardzo niedobre wieści na temat Marci — zapowiedziała Tinsley.

— Znamy je — ucięła Lauren.

— Co takiego? — chciałam wiedzieć.

— Zastała Christophera w łóżku z jej dawną współlokatorką z college'u. W każdym razie tak opowiada Valerie Gervalt, prezeska Baby Buggy — poinformowała mnie Tinsley.

— No nie. — Byłam wstrząśnięta.

— Wszystko na to wskazywało. On ciągle wyjeżdżał w sprawach służbowych, a Marci, głupia, w ogóle się tym nie przejmowała. Potem zauważyła, że w jego biurku jedna szuflada jest zamknięta, to zawsze o czymś świadczy, przeważnie o niewierności. Co więcej, on nie zauważył jej nowej sukni od Rochasa. Sześć tysięcy dolców z jego karty kredytowej i on tego nie zauważa?!

—A jak ona się czuje? — zapytałam. — Może ją odwiedzić? Biedna Marci.

— Nie je od czterech dni. Wygląda jak jeniec wojenny. I jest tym zachwycona. Nie straciła tyle na wadze od czasu ataku anoreksji, jaki miała w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku — znów pospieszyła z wyjaśnieniami Tinsley.

—Przestań być taka bezwzględna — zganiła ją Lauren. — Marci jest w okropnym stanie. Potrzebuje teraz przyjaciół. Jutro do niej zajrzę. Niech się pozbędzie tego krętacza. Jako rozwódce będzie jej się znacznie lepiej wiodło.

—Nie wydaje się wam, że powinnyśmy wrócić na górę? — zapytałam. — Miałam skontaktować się z Alixe Carter...

—Chcę zobaczyć te modelowe mamusie z dzidziusiami — oświadczyła Tinsley. — Lauren, to ty jesteś pokręcona — roześmiała się i zdusiła papierosa, znikając nam ostatecznie z pola widzenia.

Nie ruszyłam się, Lauren zresztą też nie. Sięgnęłam po migdała i zaczęłam go

głośno chrupać.

— Co się dzieje?

—Nic — skłamałam. Nie byłam pewna, czy należało wtajemniczać Lauren w sprawę rachunku hotelowego.

—Wyglądasz na przygnębioną. Czy to nasza rozmowa tak na ciebie wpłynęła? Tak cię to zdegustowało? Ty chyba naprawdę się martwisz.

To było aż tak widoczne?

— To Hunter... jego pranie — zaczęłam.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się Lauren.

Westchnęłam ciężko i opowiedziałam jej całą prawdę.

—Patrz, co znalazłam w kieszeni jego ubrania oddanego do pralni. To rachunek hotelowy z miejsca, w którym rzekomo nie był. Chyba mnie okłamywał.

— O Boże — powiedziała Lauren, przeciągając sylaby.

—Co mam zrobić?

— Powinnaś wybrać się ze mną do Moskwy na polo na śniegu i zapomnieć o wszystkim. Szóstego listopada. Wpisz sobie tę datę do kalendarza.

— Bardzo mnie to nęci, ale mówiąc poważnie, jak powinnam się zachować? — drążyłam ten temat.

— Może to tylko tak wygląda? — zaczęła Lauren. — Nie wypada robić szumu, kiedy nie ma się absolutnej pewności. Ojej, ty się chyba zaraz rozpłaczesz.

— To straszne — jęknęłam, starając się zapanować nad łzami.

Nie był to odpowiedni moment na rozpamiętywanie przygód mego męża prowadzącego światowe życie. A mimo to czułam wzbierające pod powiekami łzy. Spojrzałam na zegarek, usiłując wziąć się w garść. Było już wpół do trzeciej. Postanowiłam wejść jeszcze na górę i sprawdzić, czy nie spotkam tam Alixe. Jeśli nie, wrócę prosto do biura. Najważniejsze to nie roztrząsać więcej tej sprawy. Poza tym posłuchać rady Lauren: wstrzymać się z działaniem, dopóki nie bedę wszystkiego pewna.

— No dobrze, w takim razie już pójdę — powiedziałam, wstając.

— Zadzwonię do ciebie wkrótce, to sobie porozmawiamy o wszystkim — obiecała Lauren. — Ale na razie nic nie mów Hunterowi — przestrzegła mnie raz jeszcze.

— Dobrze, będę o tym pamiętała — przyrzekłam.

Kiedy wróciłam do sklepu, tłum już zaczął rzednąć. Nagle

poczułam, że ktoś mnie klepie po ramieniu.

— Sylvie? To ty?

Odwróciłam się. Za mną stała Alixe z zatroskaną miną.

— Sylvie, a co z moją przymiarką?

Co za błogosławieństwo mieć tak słabą pamięć, by zapomnieć, że się zapomniało. Postanowiłam nie uświadamiać jej że przegapiła termin, i powiedziałam tylko, że może przyjść w każdej chwili.

— Tak mi zależy na kreacji od Thacka. Już się zaczęłam martwić, że może on... zapomniał o mnie albo co... Patrz! — zmieniła nagle temat, sięgając po wiszące na wieszaku małe żółte pelerynki. — Muszę to mieć, takie to urocze. Phoebe też jest urocza!

— Zadzwonię do ciebie, Alixe, i ustalimy jakiś termin —. powiedziałam.

— Cudownie! Nie mogę się doczekać!

Kiedy stałam już przy drzwiach, czekając na swój płaszcz, wyczułam nagłe ożywienie. Kiedy Phoebe i Valerie ściskały gości na do widzenia, pojawiła się Marci i zaczęła rozdawać powitalne całusy, tak jakby impreza dopiero się rozkręcała, a nie dobiegała końca. Marci miała starannie zrobiony makijaż, usta uszminkowane na różowo. Ubrana w obcisłe spodnie z czarnej satyny, czarną jedwabną bluzkę z ogromną kokardą pod szyją i pantofle na wysokich obcasach z wyciętymi noskami, odsłaniające polakierowane na czerwono paznokcie u stóp. Wyglądała dokładnie tak jak Olivia New- ton-John w chwili swojej metamorfozy w *Grease,* tyle że teraz nie była to fikcja.

— Marci — spytałam — wszystko w porządku?

— Czuję się świetnie — zapewniła mnie. — Skolioza całkowicie ustąpiła. I noszę teraz rozmiar trzydzieści cztery.

Zawsze nosiła rozmiar 34 i nigdy nie miała skoliozy. Pod tym względem więc nic się nie zmieniło.

— A, Valerie, jak się masz? — zawołała Marci, rzucając się na pokazową matkę z pokazowym dzieckiem. — Baba? Baba?

Gdy wyczerpane dziecko nie reagowało, Marci przysunęła bliżej twarz do jego buzi. Złożyła grubo uszminkowane usta w ruchliwy ryjek gotowy do wyciśnięcia pocałunku na policzku Baby.

— Uaa! — zawył Baba.

— Baba, przecież to Marci...

Ale Baba zaczął wyrywać się i gdakać jak kura. Nagle odwrócił się do Marci, ona zaś, biorąc to za dobrą monetę, przysunęła się do niego jeszcze bliżej, a wtedy on zwymiotował wprost na nią. Grudki wymiocin spływały po jedwabiu.

— Fuj! — odskoczyła Marci. — Co temu dziecku zaszkodziło?

— Twoja szminka — odpowiedziała Valerie, szybko się od niej odwracając. — Dzieci nie znoszą... kosmetyków. Kosmetyki mają zły wpływ na ich rozwój umysłowy. Muszę go zaraz stąd zabrać.

To mówiąc, Valerie wymaszerowała, a Marci, zdruzgotana i cała w pąsach, spytała mnie:

— Czy to dziecko chciało okazać mi swoją pogardę?

12

MARCI WYMIĘKA

„Spadaj! Szesnastomiesięczny malec okazał despekt bywalczyni salonów!”, ogłosił Gawker Stalker już następnego dnia. Pokazowe Dziecko potrafi bardziej dotkliwie upokorzyć dorosłą kobietę niż inny dorosły. Marci zaczęła się ukrywać. Nikt nie mógł się z nią skontaktować, a jedyna osoba, której udałoby się namówić ją na opuszczenie kryjówki, czyli Lauren, też zniknęła. Opowiadano sobie, że następnego dnia po lunchu u Phoebe Lauren pojawiła się o szóstej rano w holu Mark Hotel w wielkich ciemnych okularach i ze sprzętem treningowym, by zaraz zniknąć w windzie. Zapewne wcisnęła PH*[5]. Pogłoska dość szybko się rozeszła, zwłaszcza że inna ploteczka sugerowała, jakoby Sanford Berman miał tam zarezerwowany na stałe luksusowy apartament. Od tej pory nikt nie widział Lauren.

Nie wierzyłam w to, co mówiono. Wiedziałam, że Lauren nigdy nie wstaje wcześniej niż o jedenastej. Poza tym w rozmowie ze mną utrzymywała, i to dość stanowczo, że z łóżkiem wodnym nie będzie uprawiała seksu. Nieważne zresztą, czy pogłoski były prawdziwe, czy nie, chciałam się spotkać z Lauren, by z nią porozmawiać. Była jedyną osobą, której napomknęłam o tajemniczym rachunku hotelowym, który dręczył mnie przez ostatnich kilka dni niemal obsesyjnie. Poza tym pamiętałam, jak przestrzegła mnie, bym nie wspominała Hunterowi o swoim odkryciu. Mimo że zwariowana, Lauren, moim zdaniem, kierowała się trafnym wyczuciem i pewną mądrością w ocenie ludzi. Na razie posłuchałam jej rady, ale przecież nie mogłam wiecznie milczeć na ten temat. Ponadto Hunter zaczął wyczuwać, że stałam się nieswoja.

Którejś nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku obok siebie, Hunter powiedział:

— Jaka piękna jest ta pościel... wprost wymarzona do... — objął mnie i pocałował.

— To od Olatza — odparłam, odsuwając się od niego. — Twój kuzyn dał nam je w prezencie ślubnym.

Nie do wiary, że warte sześćset dolarów, ręcznie szyte i ozdobione koronkami

[5] Skrót od penthouse.

portugalskie poszwy w pewnych sytuacjach nie mogą przynieść ukojenia. W pościeli od Olatza czy jakiejkolwiek innej tego wieczoru nie czułam się w odpowiednim nastroju do miłości, tak bardzo gnębił mnie niepokój.

— Kochanie, o co chodzi? — zapytał łagodnie Hunter.

— O nic — odpowiedziałam, zaciskając powieki. — Po prostu jestem zmęczona.

— Wydajesz się smutna — zauważył, głaszcząc mnie po plecach.

— Nieee, nie jestem smutna — odburknęłam. W gruncie rzeczy byłam wściekła, nie wiedząc, co mam z tym wszystkim począć.

— Chciałem cię zapytać, czy będziesz mogła pojechać ze mną na tydzień do Paryża. Jadę tam służbowo w pierwszym tygodniu listopada. To by cię mogło rozweselić.

Świetna propozycja. Ale nie mogłam Hunterowi pościć płazem jego win.

— Nie muszę być rozweselana — powiedziałam ponuro, zapalając nocną lampkę i patrząc mężowi prosto w oczy.

— Więc skąd ten chmurny nastrój i urocze mimo wszystko dąsy? — zapytał Hunter lekko rozbawiony. — O co chodzi?

Hunter był tak ujmujący, że nieprawdopodobieństwem było dłużej się na niego gniewać. Wyglądał przy tym bardzo pociągająco, gdy trochę już śpiący leżał przytulony do mnie. Pocałowałam go. Może powinnam wycofać wszelkie oskarżenia i przestać go podejrzewać? Może ta kosztowna pościel jest rzeczywiście romantyczna...

— No co, kochanie, taka jesteś ostatnio markotna... — nie ustępował Hunter.

A może powinnam jednak coś powiedzieć. Mieć to już za sobą. Może istnieje jakieś proste wyjaśnienie, po którym będę mogła pojechać z nim w listopadzie do Paryża i świetnie się bawić. Prawdę mówiąc, nie potrafiłam dłużej zatrzymywać dla siebie tych informacji, bez względu na to, co Lauren mi radziła.

— Więc jest coś... — wyznałam wreszcie. — Kilka dni temu, gdy Jim przyniósł twoje rzeczy z pralni, dał mi zwitek rachunków.

— O czym ty mówisz? — Hunter był zaintrygowany.

Wychyliłam się z łóżka, by sięgnąć do szuflady nocnej szafki. Wyjęłam stamtąd plastikową torebkę zamykaną na suwak, otworzyłam ją i wyciągnęłam rachunek z hotelu Blakes.

— Czy możesz mi to wyjaśnić? — poprosiłam, podając mu rachunek.

Hunter wziął do ręki kwit i uważnie mu się przyjrzał.

— To rachunek za hotel — powiedział. — Dawno powinienem był oddać go księgowej. — Odłożył rachunek na bok, jakby nie było w nim nic dziwnego. — A co teraz moja żonka powie na to, byśmy w pełni wykorzystali cenny prezent od mojego kuzyna...

I zaczął gładzić mnie po karku. Zdumiewające: zachowywał się tak, jakby nic złego się nie stało. Odsunęłam się od niego, rozgoryczona.

— Hunter, ja się zaraz z tobą strasznie pokłócę! — wybuchnęłam, odsuwając go od siebie.

— A o co mogłaby się kłócić para młodych małżonków, szczęśliwych ze sobą tak jak my? — zapytał półżartena, W ogóle nie przejmował się tym, co mówiłam.

— Dlaczego okłamałeś mnie, mówiąc, że nie byłeś w Londynie? — zapytałam. Wreszcie. Wyrzuciłam to z siebie. Może tym samym przypieczętowałam koniec naszego krótkotrwałego małżeństwa. Siedziałam wyprostowana i patrzyłam na niego badawczo. Dlaczego wyglądał nadal bardzo seksownie, nawet gdy byłam na niego wściekła? To było deprymujące.

— Co? — zapytał ze zmieszaną miną. Usiadł na łóżku i przeczesał ręką włosy, co świadczyło o pewnym zaaferowaniu. — Nigdy cię nie okłamałem. O czym ty mówisz?

— Kiedy Phoebe powiedziała, że widziała cię w Londynie, wyparłeś się tego, mówiąc, że ciąża pomieszała jej w głowie, bo widziała cię w Paryżu — przypomniałam mu.

— Tak powiedziałem? — zdziwił się. Chwilę się zastanawiał, po czym mruknął tylko: — Hmm...

Do czego zmierzał? Próbował znaleźć sobie alibi? A może to ja byłam zbytnio i bez powodu podejrzliwa? Po chwili która dłużyła mi się w nieskończoność, Hunter wreszcie powiedział: — Wydawało mi się, że Phoebe mówiła, ¿e widziała mnie w... Londynie.

— Zgadza się, właśnie tak mówiła! — krzyknęłam. Ale ty twierdziłeś, że nigdy nie byłeś w Londynie. — Teraz ja przestałam być czegokolwiek pewna. To może mnie, nie Phoebe, pomieszało się w głowie.

—Kochanie, wybacz mi. Wiesz, tak często teraz wyjeżdżam, że w połowie przypadków nawet nie wiem, gdzie jestem. Wszystkie te europejskie miasta stapiają mi się w jedno. Nie chciałbym, żebyś się martwiła, dziecinko —- powiedział, biorąc mnie za rękę i całując.

Nie rozumiem, jak można pomylić Paryż z Londynem.

—W takim razie co robiłeś w Londynie podczas weekendu? — zapytałam gniewnie.

— Chyba to było... — Nie dokończył, lekko zmieszany.

Wreszcie po dłuższym zastanowieniu powiedział: — To było tak. Spotkanie z brytyjskimi dystrybutorami zorganizowane w ostatniej chwili. Wybacz mi, zapomniałem ci o tym powiedzieć. W Londynie przebywałem dwadzieścia cztery godziny, po czym wróciłem prosto do Paryża.

Przypomniało mi się, jak Tinsley mówiła o mężu Marci, że bagatelizował swoje podróże służbowe. Chyba teraz też by użyła tego określenia; to właśnie było bagatelizowanie.

—Hotel Blakes nie należy do hoteli dla biznesmenów — zauważyłam cierpko.

—Wiem, kochanie, chciałbym kiedyś tam z tobą pojechać. To bardzo romantyczne miejsce.

— Hunter, proszę cię — jęknęłam.

Nie do wiary, kłóciliśmy się. W reklamach z „Eternity Bride” Christy Turlington chyba nigdy nie sprzeczała się ze swoim uroczym chłopakiem.

—To znaczy co? — nie rozumiał Hunter.

—To znaczy, że nie jestem kompletną idiotką.

—Daj spokój, Sylvie. Wiesz, że za każdym razem zatrzymuję się w innych hotelach. Przestań mówić niedorzeczności i chodźmy już spać. — Zaczynał się niecierpliwić.

— To nie są niedorzeczności! Po prostu zastanawiam się, a chyba mam prawo do tego, co mój mąż robił podczas weekendu w hotelu uznawanym za wymarzone miejsce do spotkań erotycznych.

— Przestań, Sylvie. Nawet nie zamierzam odpowiadać na takie androny.

— Ale...

— Sza! Teraz szukasz sprzeczki bez powodu. Udzieliłem ci już wyjaśnień. I to wszystko. OK?

Wiedziałam od początku, że Hunter wypowiada się zwięźle, teraz jednak było to irytujące. Wydało mi się dalece nie w porządku, żeby to on gniewał się na mnie. Podjęłam jeszcze jedną próbę.

— Bądź...

— Dosyć, kochanie — uciął stanowczo. — Albo mi wierzysz, albo nie. Ja powiedziałem prawdę.

Może rzeczywiście przesadziłam, pomyślałam sobie teraz zdegustowana własnym uporem. Byłam zestresowana i przemęczona pracą, co sprawiało, że stawałam się beczką prochu. A jeśli dobrze się zastanowić nad tym, co mówił Hunter, było to dość sensowne. Prawda, że ostatnio podróżował niemal bez przerwy, więc mógł nie widzieć różnicy między jednym hotelem a drugim. Miał rację, powinnam mieć do niego więcej zaufania. Może trzeba było przyjąć z wdzięcznościąpropozycję wyjazdu i nie zwracać uwagi na drobiazgi Paryż zimą bez turystów musi być uroczy.

— Kochanie, z przyjemnością wybiorę się z tobą do Paryża — powiedziałam w końcu. Na pewno będę mogła zrobić tam coś z korzyścią dla biura. Potrzebne nam są sklepy w Europie. — Przepraszam, że się na ciebie zeźliłam.

— Będziemy się tam świetnie bawić — obiecał Hunter. Nigdy nie chował urazy, to mu trzeba przyznać. — Przyjedziesz na tydzień, potem ja pojadę do Frankfurtu na dziesięć dni, a później wrócimy razem do Nowego Jorku.

Pocałowałam go i przysunęłam się pod kołdrą do niego. Nagle do głowy wpadł

mi nowy pomysł.

— Wiesz co, wydaje mi się, że tuż przed weekendem Lauren wybiera się do Moskwy. Chce, żebym tam z nią jechała. Może spotkam się z nią w Moskwie, kiedy ty będziesz we Frankfurcie — powiedziałam. — Przy okazji mogłabym załatwić coś dla Thacka, a Lauren obejrzy sobie mecz polo, na co ma wielką ochotę.

— Jakie, u licha, interesy ma Lauren do załatwienia w Moskwie? — zapytał Hunter zaintrygowany.

— Ona nazywa to podróżą służbowo-przyjemnościową. Stara się zdobyć dla Sanforda parę spinek od Faberge, najprawdopodobniej należących do gościa, w którym ona postanowiła zakochać się bez pamięci. Ale jeszcze go nie zna. On nazywa się Giles... jakoś tak. O, Giles Monterey. Tak. Mówi o nim: Pan Nie-do-wygoogle'ania.

Hunter popatrzył na mnie z niedowierzaniem w oczach. Było w tym coś dziwnego. Zaraz jednak się roześmiał.

— Początkująca rozwódka i Pan Nie-do-wygoogle'ania! Może z nich być świetna para! Przepowiadam jej namiętny romans, ślub, kilkoro dzieci, które będą się bawiły z naszymi dziećmi- Ha, ha, ha!

—Lauren nie wybiera się za mąż — sprostowałam. — Za dobrze się bawi.

—W małżeństwie można się bawić jeszcze lepiej, moja kochana. Musimy namówić ją na ślub z tym biedaczyskiem.

—Jej potrzebna jest tylko namiętna miłość. — Hunter tego nie rozumiał.

— Każdy woli żyć w małżeńskim stanie, niż być rozwiedzionym, to jasne — zawyrokował.

— Jesteś idealnym mężem — powiedziałam. Rzeczywiście starał się być dla mnie bardzo miły.

— Wcale nie — zaoponował. — To ty jesteś idealną żoną.

A może naprawdę byliśmy parą taką jak z „Eternity"...?

*

Jak się okazało następnego ranka, Marci Klugerson tak całkiem nie zniknęła.

Przeciwnie, cały czas przesiadywała we własnym domu, śpiąc w ciągu dnia, a w nocy oglądając fragmenty *Medium* na kanale TiVo. Kiedy zupełnie niespodziewanie zadzwoniła do mnie do biura koło południa, robiła wrażenie kompletnie odurzonej narkotykami.

— Czy wiesz może... gdzie jest... Christopher? — bełkotała. Wydawało się, że nawet jeszcze na dobre się nie rozbudziła.

— A ty nie wiesz? — zdumiałam się.

— Nie... — Jej głos odpływał. — Dałam mu kopa... Więc sobie poszedł... na wieki...

Brzmiało to patetycznie. Cała scena przypominała mi filmy nakręcone specjalnie dla telewizji Lifetime.

— Marci, czy to prawda, że Chris...

— Wiesz to od Tinsley, tak? On się związał z kimś innym, to pewne. Tylko nie chce powiedzieć, z kim. Mówi, że zamierza z tym skończyć, ale ja jestem kompletnie zszokowana. Może byś do mnie przyszła? Jedyne, co miałam w ustach w ciągu ostatnich trzech dni, to seroquel. To na schizofrenię. Tylko że ja nie mam schizofrenii, ja mam...

Dało się słyszeć pociąganie nosem i szelest chusteczek higienicznych. Marci straciła panowanie nad sobą i zaczęła szlochać.

— Marci, jestem poumawiana na popołudnie, to ważne spotkania służbowe, czy wytrzymasz do szóstej? Wtedy będę mogła przyjść do ciebie — powiedziałam, pełna współczucia.

— Iiii — popiskiwała Marci jak zranione kociątko. — Lauren obiecała przyjść tu za pół godziny. Ona się zaszyła gdzieś z jakimś chłopakiem. Może zostanie ze mną do czasu, aż przyjdziesz.

— To świetnie. Do zobaczenia więc, trzymaj się.

— Zaczekaj! Jeszcze jedna sprawa. — Nastąpiła seria pociągania nosem. — Czy teraz, gdy się rozwodzę, będę mogła się ubierać u Thacka?

*

Salon Marci w jej mieszkaniu przy Park Avenue 975 mógłby każdego wpędzić

w nałóg brania seroquelu, nawet bez perypetii małżeńskich. Zaprojektował go Jacques Grange, tuż po jej ślubie, dlatego jej mieszkanie przypominało wnętrze katedry Notre Dame.

Kiedy przyszłam do niej trochę po szóstej, zastałam ją w salonie, siedzącą na twardej, obitej ciemnozielonym filcem kanapie. Obok leżał egzemplarz książki Maureen Dowd *Czy mężczyźni są niezbędni?* Marci w jednej ręce trzymała drinka, w drugiej pilota. Wzrok wbiła w ekran telewizora, przerzucając się z jednego programu na drugi. Miała na sobie nieskazitelnie białą suknię od Roch asa z mankietami z czarnej koronki i kokardą pod szyją, ażurowe pończochy o wielkich okach i bardzo wysokie czerwone buty. Jasne włosy skręcone w loczki okalały jej twarz, na której nie było już ś^du łez. Bardzo blada, ale niezmiernie piękna, przypominała Nicole Kidman w *Innych*. W jej zachowaniu uderzył mnie dziwny spokój, który musiał świadczyć o tym, że nie było z nią całkiem dobrze, ponieważ kiedy się czuła normalnie, spokój nigdy nie stawał się jej udziałem.

— Cześć, Sylvie — powitała mnie, nie odrywając oczu od ekranu. — Jak myślisz, czy będę mogła kiedyś pójść na czyjeś przyjęcie po tym, jak ten dzieciak mnie tak potraktował?

Usiadłam przy niej na kanapie, torbę rzuciłam na podłogę.

— Marci, naprawdę martwię się o ciebie — powiedziałam łagodnie. — Możemy porozmawiać?

Skinęła głową, mamrocząc krótkie „Tak".

— Może powinnaś raczej pomyśleć o tym, jak uratować wasze małżeństwo, a nie o zaproszeniach na przyjęcia... — zaczęłam.

— Przyjęcia są ważne, jeśli się jest... — Marci wychyliła zawartość szklaneczki z niebywałą szybkością, po czym dokończyła dramatycznie: — ...samotną. Napijesz się wódki?

— Gdzie jest Lauren? Nie ma jej tutaj?

— Wymiękła. Ma swojego facia od Pięciu Orgazmów, sprowadziła go do siebie. Teraz próbuje zapomnieć o swojej rocznicy ślubu, która przypada właśnie dzisiaj. Ona też jest w dużym dołku.

— Tak mi przykro — powiedziałam. Status Lauren jako najbardziej nieobli-

czalnej dziewczyny w Nowym Jorku nie uległ żadnej zmianie.

— Trochę jestem na nią zła, ale nie za bardzo. Okazała mi tyle dobroci po śmierci mojej mamy. Zajęła się sprawami domu, zapłaciła też za przeprowadzkę, ponieważ w tym czasie byłam kompletnie spłukana. Może Pan Pięć Orgazmów to mężczyzna jej życia. Ona zasługuje na kogoś wspaniałego.

Marci podniosła się z kanapy i podeszła do ogromnego mahoniowego biurka stojącego w drugim końcu pokoju.

— Nie znoszę tego miejsca. Czuję się tu jak w hoteluj Ritz Carlton — mruknęła. Usiadała przy' biurku i sięgnęły po telefon. — Może byśmy poszły do kawiarni na Bedford Street?

— Marci, kochana, powinnyśmy raczej zostać tutaj perswadowałam. — Na dworze jest naprawdę zimno. Może naparzę nam herbatki z dzikiej róży?

— Zrobiłam dziś coś strasznego. Zapakowałam wszystkid garnitury Christophera szyte na miarę u Andersona i Shepparda, przywiązałam do nich cegłę i spuściłam je w nurt East River — wyznała Marci.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. To naprawdd było okropne. Ale może Christopher zasłużył sobie na to!

— Czy kiedykolwiek podejrzewałaś Christophera? — zapytałam.

— Nigdy. Wprawdzie nigdzie ze mną nie chodził, ale wierzyłam mu, kiedy mówił, że nie może udzielać się towarzysko ze względu na pracę.

To prawda. Marci nigdy nie pokazywała się z mężem na proszonych imprezach. Ja w ogóle nie miałam okazji go poznać. Wiedziałam o nim tylko tyle, że ma jasnorude włosy. Poza tym nic.

— Nie ufaj mężczyźnie, który stale jest w służbowych rozjazdach — oświadczyła Marci. — Oni wcale tyle nie pracują. Założę się, że Hunter tak często nie wyjeżdża, dni powszednie i na weekendy.

— Nie — zgodziłam się, przejęta współczuciem i pełna zrozumienia. — Ale posłuchaj, Marci. Przecież nadal jesteście małżeństwem i bez względu na to, co się wydarzyło, możesz spróbować poskładać rozbite kawałki. Na tym polega małżeństwo. Wiążesz się na dobre i na złe.

— Wypowiadając przysięgę małżeńską, pominęłam słowa „na złe”. Christopher nawet tego nie zauważył. — Zamilkła na chwilę, ale zaraz rozpromieniona dodała: — Tyle atrakcji mnie czeka. Salome chce, żebym spędziła z nią całe lato w East Hampton. Mówi, że u niej jest jak na dyskotece, przez cały sezon... eee... — Nieoczekiwanie wybuchła niepohamowanym płaczem.

— Może zamówię coś do jedzenia? — zaproponowałam. — Wtedy pogadamy sobie nawet przez całą noc.

— OK. OK. Albo nie! Lepiej pójdźmy do Bungalow Osiem.

— Marci, jest siódma wieczorem. Bungalow Osiem rozkręca się dopiero około drugiej w nocy. Nie jesteś w odpowiedniej formie, żeby tam dzisiaj iść i się bawić. Musisz wziąć oddech, zastanowić się spokojnie nad sytuacją.

— Och, i tak nie znoszę Bungalow Osiem. Kiedyś nie mogliśmy tam wejść z Christopherem, tak było tłoczno — powiedziała Marci, ocierając łzy koronkowymi mankietami. A potem, patrząc na mnie z nadzieją w oczach, zapytała: — Ile właściwie czasu będę potrzebowała na zastanowienie się nad sytuacją? Trzy tygodnie? Czy zdążę z tym do Święta Dziękczynienia?

TLR

13

ROCZNICOWE DYM...

Do: Sylvie@hotmail.com

Od: Lauren@LHB.com Data: 1 listopada Re: Rocznicowe dym...

Kochana,

Wybacz mi moje zniknięcie. Ale w zeszłym tygodniu przypadała moja rocznica ślubu, w związku z czym czułam się fatalnie. Myślałam, że Pan Pięć Orgazmów pomoże mi się pozbierać, ale spróbuj przekonać mężczyznę, który nigdy nie był żonaty, że potrzebujesz dymanka stosownego do rocznicowej okazji. Przyszedł tu po imprezie wydanej przez jakiegoś pożal się Boże artystę, wskutek czego... Krótko mówiąc, zmieniłam mu przydomek na Niewypał.

W każdym razie po półtoragodzinnych usiłowaniach nieuwieńczonych sukcesem zaczęłam dawać znaki, że chce mi się spać, a on na to: „Przyniosłem swoją szczoteczkę do zębów, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko". Myślałam, że się porzygam. Wszystko zeszło do poziomu zwykłej znajomości. Dokładnie tak jak u Seinfelda[6], kiedy czuje się zmuszony do zerwania z dziewczyną, bo przyniosła swoją szczoteczkę do zębów. Powiedziałam więc,* że *musimy omówić sprawę szczoteczki. Kazałam mu zabrać ją z powrotem. Bo co za sens być — rozwódką, jeśli się musi tolerować obce szczoteczki do zębów w swojej pięknej, śnieżnobiałej, marmurowej łazience? Powiedziałam, że mogę mu pożyczyć szczoteczkę, ale jemu nie wolno przynosić własnej. Chyba nie zrozumiał tej subtelnej różnicy. Mimo to zwróciłam mu jego szczoteczkę, a dałam jedną ze swoich naprawdę szykownych, wiesz, tych z szylkretową rączką, jakie można dostać wAsprey*[7] *. Wiesz, zaczyna się od szczoteczki do zębów, a potem masz już czyjąś garderobę w swoim domu, a wreszcie i jej właściciela. Powiem ci, że nie mogę się doczekać Macanka Numer Trzy! Baw się dobrze w Paryżu do zobaczenia w Mo-*

---

[6] Mowa o *Kronikach Seinfelda,* popularnym serialu komediowym, w któym rolę tytułowego bohatera gra Jerry Seinfeld, a film jest lekko beletryzowaną jego biografią.

[7] Sieć bardzo eleganckich sklepów, działających najpierw tylko w Londynie, potem też w Nowym Jorku.

skwie.Szynszyle czekają, ja też.

Całuski. Lauren

E-mail od Lauren, wysłany tuż przed moim wyjazdem do Paryża, stanowił, jak się okazało, wielki kontrast w zestawieniu z wrażeniami nadchodzącego tygodnia. Nic nie może się równać z pobytem w Paryżu młodych małżonków. Po moich wizytach w sklepach, gdzie prezentowałam modele Thacka, i po niekończących się spotkaniach Huntera wymykaliśmy się do romantycznych kafejek na lunch w Marais albo na lewy brzeg Sekwany na kolację do piwiarni takich jak D'chez eux w alei de Lowendal, gdzie karmiliśmy się wzajemnie albo trzymaliśmy za ręce jak para zakochanych Cały tydzień przeszedł bez żadnych niemiłych niespodzianek. W dwóch sklepach, Maria Luisa i Galeries Lafayette, zakupiono suknie z kolekcji Thacka, mimo że przy niskim kursie dolara ceny wydały się astronomicznie wysokie. A na kilka tygodni przed naszym wyjazdem z Nowego Jorku szczęście się do nas uśmiechnęło — Alixe w końcu przyszła na przymiarkę, po czym zamówiła całą najnowszą kolekcję. Ponadto musiała chyba nadmienić coś o Thacku, bo nagle zaczęły się do nas zgłaszać szykowne dziewczyny, prosząc o przygotowanie dla nich strojów na różne okazje. Wśród tych pań znalazła się też modna aktoreczka Nina Chlore, której rzeczniczka prasowa zadzwoniła do nas z informacją, że Nina chciałaby włożyć suknię od Thacka na premierę swego najnowszego filmu *Fatalna blondynka,* która miała się odbyć na początku stycznia. Pojawienie się Niny rzuciło Hollywood na kolana, podziwiano styl i wyczucie mody tej dwudziestotrzyletniej aktorki, co odbiło się szerokim echem w prasie poświęconej modzie. Zaczęto na nią polować, jakby była rzadką odmianą łeoparda. Thack marzył o tym, by ją ubierać, Nina jednak nie zgłosiła się jeszcze do żadnej przymiarki. Żywiliśmy ciągle nadzieję, że wizja kreacji

końcu ją zwabi do pracowni, chociaż nic nie zapowiadało, kiedy by to miało nastąpić.

*

W Paryżu u Laduree, jak nigdzie indziej, człowiek może czuć się szczęśliwy w porze podwieczorku. Znajdująca się u zbiegu Jacob i Bonaparte owa *patisserie,* gdzie plusz i złocenia stanowią dominujący element dekoracyjny, jest najbardziej romantyczną kawiarenką na świecie. Każda młoda żona powinna tam pójść ze

swoim świeżo poślubionym mężem. W otoczeniu kelnerów ubranych w białe kurtki, serwujących orzeźwiającą herbatę w srebrnych dzbanuszkach i puszyste makaroniki na różowych talerzykach utrzymanych w pastelowej tonacji, można czuć się jak, nie przymierzając, Coco Chanel.

Popołudniowe godziny spędzaliśmy najczęściej na lewym brzegu Sekwany, zaglądając do antykwariatów. Naszym ulubionym sklepem stał się Comoglio z artykułami dekoracyjnymi, gdzie sprzedawano po niemożliwie wysokich cenach francuskie tkaniny, na przykład pistacjowy welur po trzysta euro za metr („dostaniecie to tylko we Francji, tylko tutaj"). O czwartej czuliśmy się już zmęczeni, znak to, że nadchodziła pora wypoczynku u Laduree, gdzie rozsiadaliśmy się wygodnie w fotelach obitych błękitnym adamaszkiem.

— Trudno mi, kochanie, uwierzyć, że został nam już tylko jeden dzień — powiedziałam, kiedy już zamówiliśmy coś do jedzenia.

Wcale nie chciało mi się wyjeżdżać z Paryża. Tak nam tu było dobrze. Sprzeczka na temat rachunku z hotelu Blakes wydawała się odległa i błaha. Trudno mi było uwierzyć, jak mogłam przejąć się tym do tego stopnia, że chciałam zrezygnować z wyjazdu do Francji.

— Ależ najmilsza, będziemy tu często przyjeżdżali— powiedział Hunter. — Może powinniśmy pomyśleć o kupnie jakiegoś mieszkania w tej okolicy, ze względu na moje częste przyjazdy.

— To by było cudowne! — zawołałam podekscytowana taką perspektywą.

W owej chwili pojawił się kelner ze srebrną tacą zastawioną herbatą i smakowitymi ciasteczkami. Postawił ją na stoliku i zniknął.

— Spróbuj, kotku, kawałek mojego — poczęstowałam Huntera swoim truskawkowym makaronikiem.

— Mmm — delektował się Hunter, jedząc mi z ręki. — Wiesz, następnym razem musimy pójść do opery. A może do cyrku. Tu mają świetne cyrkowe przedstawienia... Może powinniśmy kupić mieszkanie na Quai Voltaire...

— Z widokiem na Sekwanę.

— Wyobraź sobie, do ilu galerii będziemy mogli chodzić. A ile wypijemy *cafés crèmes*...

— Och, jakie fantastyczne jest życie w Paryżu! — westchnęłam rozmarzona.

Ciągnęliśmy taką wyliczankę przez dłuższy czas, co wydawało nam się niesłychanie romantyczne, a co osoby postronne doprowadza zwykle do szału. Tak zawsze bywa z zakochanymi. Kiedy samemu jest się zakochanym, takie szczebioty są cudowne, ale gdy słucha się ich z zewnątrz, siedząc przy stoliku obok, mogą być tylko denerwujące i głupawe. Na szczęście kurs dolara jest tak niekorzystny, że niewielu Amerykanów można obecnie spotkać w Paryżu, niewielu zatem było narażonych na dyskomfort przysłuchiwania się naszej bezsensownej paplaninie. Tym swobodniej więc się czuliśmy i zaczęliśmy zachowywać się w sposób, w jaki nigdy nie odważylibyśmy się zachowywać we własnym kraju, na przykład całować się przez stół jak nastolatki. Ostatnia rzecz, której mogliśmy się spodziewać, to...

— Nie chcę przerywać tej sielanki...

Zmieszani podnieśliśmy głowy. Przed nami stała Sophia D'Arlan ze swym olśniewającym uśmiechem. Mahoniowe faliste pukle swobodnie okalały jej twarz, ubrana była w stylu bardzo *rive gauche au weekend',* długie granatowe spodnie, pantofle z ostrymi szpicami, skórzana kurteczka i długi szalik, który sięgał jej niemal do kolan. Wyglądała jak Lou Doillon, która ma wychodne.

— Wybaczcie mi, ale nie mogłam sobie odmówić przyjemności przywitania się z wami. Jestem tu z Pierre'em — powiedziała, wskazując na ciemnowłosego mężczyznę siedzącego przy odległym stoliku. — Sylvie, tak się cieszę, że cię widzę. Tak bardzo chciałam się z tobą skontaktować.

— Naprawdę? — zapytałam zdziwiona.

— Tak. Alixe Carter uważa, że powinnam zamówić sobie coś u Thacka na premierę *Fatalnej blondynki.* Idę tam z Niną. Chodziłyśmy razem do szkoły podstawowej. Jesteśmy jak siostry.

— Thackeray będzie zachwycony. Zadzwoń do mnie w tej sprawie. W połowie przyszłego tygodnia powinnam już wrócić do Nowego Jorku—powiedziałam, przybierając służbowy ton.

Wręczyłam jej swoją wizytówkę. Nie byłoby to wcale takie złe, gdyby Sophia pokazała się u Thacka. Mogę jej nie lubić, ale nie zmienia to faktu, że jest stale fotografowana i uznawana przez magazyny ilustrowane za ikonę mody.

— Nina spędzi tu dwa dni — powiedziała Sophia. — Czy mogę dać jej twój numer? Mówiła, że też myśli o tym by mieć coś od Thacka.

To by było fantastyczne. Ale czy to oznacza, że mam się w pewien sposób z Sophią zaprzyjaźnić? Chociaż trudno byłoby mi znaleźć konkretne powody, by jej nie lubić, to jednak nie miałam do niej zaufania. Ale skoro zamierzała namówić Ninę do zaprezentowania na premierze kreacji Thacka, była mi potrzebna. Niewątpliwie dobrze znała Ninę. Aktorki są tak kapryśne, jeśli chodzi o wybór projektanta mody, że aby je pozyskać, nigdy za wielu sprzymierzeńców. W tym wypadku uczucia powinnam odłożyć na bok, sprawa była zbyt ważna dla naszych interesów. Rozciągnęłam wargi w uśmiechu, który miał być niewymuszony, i powiedziałam:

— Jasne. — Uważałam jednak, że nikłe są szanse na to, by Nina Chlore zadzwoniła. To gwiazda, którą wabili wszyscy kreatorzy mody, od Diora po Dolcego.

— Bądźmy w kontakcie. Jak to miło z twojej strony. Nie mogę uwierzyć — mówiła Sophia.

Pocałowała Huntera w policzek.

— Cześć, kochanie — powiedziała serdecznie. Wzięłam do ust łyk herbaty i postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Biznes przede wszystkim.

*

Kiedy później wieczorem piliśmy z Hunterem *chocolats chauds* w barze w Bristolu, zadzwoniła moja komórka. Ku swemu zdziwieniu usłyszałam głos Niny Chlore, która w dodatku przepraszała mnie, że telefonuje o takiej porze. Potwierdziła, że chciałaby mieć kreacją od Thacka na styczniową premierę, a co więcej — została oficjalnie nominowana do nagrody Złotego Globu. I chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko hollywoodzka pompa i snobizm, najważniejszy dla niej był UBIÓR. Tak jak mówiła Sophia, Nina spędzała w Paryżu jeszcze tylko jeden dzień i następny ranek zamierzała poświęcić omawianiu swojej garderoby. Prawie nie wierzyłam własnym uszom, w trakcie rozmowy pokazałam Hunterowi kciukiem, że wszystko idzie po mojej myśli.

— Mogę przyjść o jedenastej do twojego hotelu — zaofiarowałam się skwapliwie.

Nie posiadałam się z radości, którą mąciła tylko jedna myśl, że prawdopodobnie zainteresowanie Niny kreacjami Thacka to wynik sugestii Sophii. Pomyślałam sobie, że będę musiała tolerować ją przez jakiś czas.

— Nie, to ja cię odwiedzę. Nie chcę ci sprawiać najmniejszego kłopotu — upierała się Nina.

— Jeśli uważasz, że dasz radę...

— Na pewno dam radę przyjść do ciebie na piechotę z hotelu Ritz — roześmiała się Nina i odłożyła słuchawkę.

Gdybym to ja była uroczą gwiazdką, znaną na cały świat, i nie musiałabym iść do innego hotelu niż Ritz, tobym nie szła. Nina jednak wydawała się mocno stąpać po ziemi, co nawet mi się podobało.

— Sprawia bardzo miłe wrażenie — powiedziałam Hunterowi, któremu zrelacjonowałam całą rozmowę. — Pełna wdzięku, urocza. Nie zachowuje się jak typowa gwiazda filmowa.

— Pewnie to też gra — domyślił się Hunter. — Aktorki bez przerwy grają.

— Myślę, że będzie wyglądała wspaniale, ubrana przez Thacka — rozmarzyłam się.

— Przekonajmy się najpierw, czy w ogóle się jutro pojawi — nadal był sceptyczny.

— Och, ale cynik z ciebie.

— Staram się patrzeć realnie — odpowiedział Hunter Wstał i wziął mnie za rękę. — A może przed snem zażyjemy jeszcze trochę Paryża? — zapytał.

*

Następnego dnia rano, spodziewając się, że Nina spóźni się przepisowe dwie godziny, za piętnaście jedenasta przechodziłam przez hol, gdzie ku swemu zdziwieniu zobaczyłam ją siedzącą na fotelu przy kominku. Rozpoznałam ją od razu, chociażby z niezliczonych fotografii robionych przez paparaz- zich. Miała na sobie futrzaną kurtkę z wysokim kołnierzem, który zasłaniał jej pół twarzy okolonej spływającymi do ramion jasnymi włosami. Na nogach, dłuższych nawet niż nogi Sophii D'Arian, z widocznymi jeszcze śladami letniej opalenizny, bez

rajstop, choć był to chłodny listopadowy dzień, miała kosztowne czółenka z ciemnozielonej wężowej skórki. Czytała „Le Monde". Przyszła więc wcześniej. Stanowiła przeciwieństwo gwiazdek filmowych z Los Angeles, tlenionych na kawę z mlekiem, z powiększonym sztucznie biustem. Nina miała klasę. Thack, gdy ją zobaczy, na pewno oszaleje na jej punkcie.

— Nina? — upewniłam się, podchodząc do niej.

— Sylvie? Cześć! Przyszłam trochę wcześniej. Ale mogę tu sobie jeszcze posiedzieć — powiedziała przepraszającym tonem.

— Chodźmy od razu do mnie — zaproponowałam.

— Ale nie będę przeszkadzała tobie i twojemu mężowi? — upewniała się jeszcze.

— Ani trochę.

Hunter mylił się całkowicie w apriorycznym sądzie o Ninie. Ona była naturalna w swobodny, nieudawany sposób. Przecież punktualności nie sposób udawać.

Zaprowadziłam ją od razu do naszego salonu i zamówiłam ¿¡a nas dwie *cafés crèmes.* Kiedy sięgałyśmy do talerza po *pains aux chocolats,* zajrzał do nas Hunter, by choć z daleka pozdrowić Ninę.

— Przystojniaczek — pochwaliła go Nina, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Uśmiechnęłam się.

— Masz rację, jest naprawdę niezły — zgodziłam się z nią.

— I odnosi sukcesy — dodała Nina. — Czytałam w gazetach o przygotowywanym przez niego show. Zapowiada się fantastycznie.

Podałam jej do obejrzenia jeden z albumów Thacka. Jedna kolekcja zawierała osiemnaście kreacji, z czego sześć stanowiły suknie wieczorowe. Miałam nadzieję, że wybór będzie wystarczający. Nina z uwagą studiowała modele, od czasu do czasu przyglądając się im pod różnym kątem, by poznać niektóre szczegóły.

— O, ta! — zawołała w pewnym momencie. — Bardzo pasuje do *Fatalnej blondynki,* prawda?

Wskazała na zdjęcie błękitnej sukni z lekkiego jak pianka szyfonu, z maleńkim staniczkiem, której cały dół spływał na podłogę w kaskadach tiulu.

— To suknia Grace. Thackeray zaprojektował ją, inspirując się jedną z sukien, jakie nosiła Grace Kelly w *Złodzieju w hotelu* — wyjaśniłam.

— Tak się składa, że to akurat mój ulubiony film. Czy mogłabym ją wypożyczyć? — spytała podekscytowana.

— Uszyjemy ci taką — zaproponowałam.

— Nie mam nic przeciwko wypożyczeniu. Przecież młodzi projektanci nie mogą sobie pozwolić na rozdawanie modeli.

— Ależ nie, proszę cię — nalegałam. — Uszyjemy ciebie suknię Grace, 3. ty wybierzesz jeszcze jedną. Możesz mieć tremę w premierowy wieczór i nagle zmienić zdanie. Gdyby raptem przestała ci się podobać suknia Grace, musisz mieć wybór.

Nina wybrała więc następną suknię — koktajlową, z czarnej satyny, z kokardami na każdym ramieniu i seksownym rozcięciem z przodu. Kłopot tylko w tym, że przyrzekłam ją przedtem Salome na bal u Alixe. Mimo to obiecałam Ninie tę suknię na wyłączność. Salome dopiero by się wkurzyła, gdyby wiedziała, że Nina włoży identyczną suknię. W sprawach mody jednak gwiazdom się ustępuje, tak to już bywa.

*

Ostatni wieczór w Paryżu uczciliśmy z Hunterem kolacją w Brasserie Vaginaud i spacerem nad Sekwaną o północy, by pożegnać się następnego dnia rano. Dwa samochody stały już przed hotelem Bristol, czekając na załadowanie bagażu. Jeden dla Huntera, który najpierw jechał do Frankfurtu, potem do Danii, by na koniec wrócić do Nowego Jorku, drugi zaś miał zawieźć mnie na inne lotnisko, skąd odlatywałam do Moskwy i stamtąd do domu. Cudowny tydzień w Paryżu dobiegł końca, ale nie odczuwałam smutku — nawet na myśl, że nie będę widywała Huntera przez następne dwa tygodnie. Czułam się odnowiona. Małżeństwo okazało się świetną sprawą. Kiedy podeszłam do samochodów, by sprawdzić, czy odpowiedni bagaż został załadowany do właściwego auta, byłam uodporniona na ból rozstania, dzięki doznanej miłości i czułości.

— Chyba wszystko jest już w twoim samochodzie, kochanie — upewniłam

Huntera, widząc jego dwie ciemno niebieskie staromodne walizy Globtrottera. — Ale... ta nie jest nasza.

W jego bagażniku znajdowała się jeszcze podręczna brązowa torba podróżna, która z całą pewnością nie należała jo Huntera.

— Przepraszam — zwróciłam się do kierowcy. — Czy mógłby pan zabrać tę torbę?

— *Qui* — odpowiedział, chwytając wskazany bagaż.

Wtedy zauważyłam przywieszkę, dyndającą z boku torby, na której widniał napis: SOPHIA D'ARLAN. Zmartwiałam.

— Hunter — zaczęłam, ale gdy odwróciłam się do niego, zobaczyłam Sophię, jak szła w moją stronę i machała ręką. Zanim zdołałam choć trochę zorientować się w sytuacji, Sophia już całowała mnie na powitanie ze słowami:

— Nie do wiary, że nie jedziesz z nami, Hunter obiecał mi, że będziemy sobie dotrzymywać towarzystwa. Jestem tym naprawdę zniesmaczona. Hunter to palant, zmusił mnie, bym jechała z nim do Frankfurtu tylko dlatego, że mówię po niemiecku. A to taka dziura. Ale, ale, czy Nina wybrała coś dla siebie? Mówiłam jej, że musi mieć coś od Thacka.

— Wybrała. Dzięki za przysłanie jej do nas — powiedziałam. Ale co jest grane?

Zaraz zjawił się Hunter, przywitał się z Sophią bardzo swobodnie, jakby nie było nic niestosownego w tym, że zabiera w podróż służbową długonogą piękność, władającą kilkoma językami. Jak to ujęła Marci? Nie ufaj mężczyźnie, który stale jest w służbowych rozjazdach. W jednej chwili prysło moje zauroczenie paryską sielanką, a zastąpił je znajomy spazm paranoi. Z ogromnym wysiłkiem ukryłam wzburzenie. Hunter porwał mnie w ramiona i uścisnął na pożegnanie.

— Będę za tobą tęsknił, kochana — powiedział.

— Ja też — szepnęłam.

—Po co jedziesz do Moskwy? — przerwała nam Sophia. — To straszna dziura.

Nadal trzymając Huntera w objęciach — przyznaję, gestem zaborczym osoby uprawnionej — odpowiedziałam:

—Jadę tam spotkać się z Lauren i obejrzeć z nią mecz polo na śniegu. Ona zakochała się w jednym facecie stamtąd.

— Tak? — zdziwiła się Sophia.

— W niejakim Gilesie Montereyu.

Reakcja Sophii była zaskakująca. Ona, najbardziej opanowana ze wszystkich znanych mi osób na świecie, nagle zapomniała języka w gębie.

—Giles Monterey? — wyszeptała wreszcie w zadziwieniu. — To ona zna Gilesa Montereya? Wielki Boże. Zawsze marzyłam, żeby go... spotkać.

Sądząc po rumieńcu na jej twarzy, równie dobrze mogła powiedzieć: „Zawsze marzyłam, żeby go poślubić". Zmieszana spojrzała na zegarek i rzuciła:

—Lepiej już jedźmy. Po powrocie opowiesz mi, jaki jest ten Monterey. Coś takiego! To nie do zniesienia! Ale chodźmy już, panie H.

Panie H.? Nazywała Huntera tym głupim przydomkiem? To osobliwe. I wcale mi się to nie podobało. Nawet ja nie nazywałam Huntera żadnym przydomkiem. Nadal jednak nie pozostawało mi nic innego, jak pomachać im radośnie na pożegnanie, gdy szli już do samochodu. Zanim zniknęli mi z pola widzenia, pochwyciłam jeszcze głodne spojrzenie, jakim Sophia obdarzyła mojego męża. Wyglądała, jakby nie jadła od tygodnia.

TLR

14

PAN MOSKWICZANIN

Moskiewskie dziewczyny wyglądają i zachowują się dokładnie tak, jak zgodnie z wyobrażeniami Amerykanów powinny wyglądać i zachowywać się wszystkie kobiety. Wystające kości policzkowe, mdłe jasne włosy, spojrzenia bez wyrazu i idealne figury. Siedzą przy kolacji uśmiechnięte, są ozdobą stołu i prawie wcale się nie odzywają. Takie są reguły tego interesu: im więcej facet ma dolarów czy euro na swoim koncie, tym mniej jego dziewczyna może mówić, ale tym więcej dostaje od niego ciuchów od Versacego czy Roberta Cavałli. Dlatego rosyjscy miliarderzy otoczeni są dziewczętami o wyjątkowej urodzie, które mówią tyle, co Holly Hunter w Fortepianie.

Od takich dziewcząt i ich partnerów roiło się w holu j hotelowym Park Hyatt w wieczór poprzedzający rozgrywki ' polo. Tradycyjnie już nowobogaccy, zwłaszcza ci fenomenalnie bogaci, niedostatek gustu nadrabiali kolorowymi brylantami i białymi filtrami. W Rosji nie zdejmuje się sobolowego futra, nawet w nagrzanym hotelowym holu, no bo kto wtedy wiedziałby, że jesteś jego właścicielem?

Siedziałyśmy z Lauren w barze i obserwowałyśmy te scenki rodzajowe. Zdzierstwo praktykowane w Nowym Jorku i Londynie to nic w porównaniu z tym, jak cię traktują w Moskwie — tu wszyscy uważają cię za milionera, który zapłaci każdą cenę. Osiemdziesiąt dolarów za kieliszek różowego szampana w barze hotelu Hyatt to norma. Nawet Lauren była tym poruszona.

— Phoebe by się to podobało — zauważyła. — A propos. Ona już urodziła. Zaprasza cię na chrzciny, mała dostała imię Lila Slingsby. To będzie jakieś dziesięć dni po naszym powrocie.

Nagle zeskoczyła z barowego stołka i wykrzyknęła radośnie:

— Gerski!

W naszym kierunku zmierzał dość potężny Rosjanin ubrany w skórzaną czarną marynarkę. Maszerował zdobywczym krokiem, jak zwycięski wojownik, który podbił jakieś mało ważne plemię. Lauren uściskała go na powitanie I ucałowała w oba policzki.

– Kopę lat! Jak się ma ojciec? — zapytał z nieskrywaną serdecznością. Potem, mrugając do nas obu, dodał: — Jesteście tu jedynymi godnymi szacunku osobami, wszyscy pozostali mają po sześciu ochroniarzy.

Gerski, który sam też miał kilku ochroniarzy, miał być naszym „opiekunem" podczas nadchodzącego weekendu. Partner ojca Lauren w interesach, pięćdziesięcioośmioletni Sybirak — dopuścił pana Blounta do zysków płynących z rosyjskich wytwórni grzanek. Wpadł na genialny pomysł, by na modłę amerykańską pakować je w plastikowe torebki. Za sprawą Gerskiego pan Blount stał się jeszcze bogatszy, a z kolei za sprawą Blounta Gerski doszedł do majątku, o jakim mu się nigdy nie śniło.

— Chodźmy do Café Puszkin — zarządził, prowadząc nas do wyjścia i patrząc z pogardliwą wyższością na tłum kłębiący się przy barze.

W restauracji, wśród kelnerów w wysokich butach i bryczesach, z hukiem fajerwerków w tle, mogłyby przesiadywać trzy siostry Czechowa, gdyby kiedykolwiek udało im się wyjść z domu. Sam budynek przypomina ozdobne zamczysko, z kopiami gzymsów ściągniętych i Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu. Trudno się domyślić, że to zwyczajna podróba, wykonana najwyżej przed pięcioma laty.

Odnosiło się wrażenie, że Gerski zna wszystkich w restauracji. Zdobył dla nas jeden z najlepszych stolików — na dole, naprzeciwko lustra w złoconych ramach, w którym mogliśmy widzieć wchodzących i wychodzących. Siedzieliśmy zaledwie od kilku minut, gdy dołączyła do nas młoda dziewczyna, najwyżej siedemnastolatka. Oksana była sympatią Gerskiego, przy czym „sympatia" to dość umowne określenie, gdyż większość rosyjskich bogaczy zmieniała dziewczyny co wieczór. Oksana okazała się twardą dziewuchą, mimo swego wieku. Przez dwa sezony pracowała jako modelka *w* Mediolanie, co sprawiło, że była trochę bardziej wygadana niż jej rówieśnice. Ubrana w odważnie skrojoną czarną satynową suknię, w uszach nosiła brylantowa kolczyki wielkości kostek cukru. Wyglądała jak żywcem wyjęta z fotografii Helmuta Newtona. Cały czas trzymała rękę na ramieniu Gerskiego, nawet gdy oboje jedli.

— Fuj! — skrzywiła się Lauren, przeglądając menu. — Co ty, Gerski, próbujesz nas otruć?

Rzeczywiście, menu było zabójcze. Szef polecał *meriton* z kogucich grzebieni i pieróg nadziewany podrobami z kurczęcia i wątróbką.

— To bardzo zdrowe. Musicie spróbować — przekonywała nas Oksana. — Podroby z kurczęcia pozwalają utrzymać delikatna cerę.

— A zatem twój przyjaciel, pan Monterey, pojawi się jutro po południu na rozgrywkach polo na śniegu.

— On nie jest moim przyjacielem — zaprotestowała Lauren. — Przyjechałam tu wyłącznie po to, by zdobyć jego spinki do mankietów Faberge. — Nie zabrzmiało to przekonująco.

Fakt, Lauren przybyła do Moskwy z misją. Przez cały czas oczy miała utkwione w Gilesie Montereyu. Początkująca rozwódka może być lekkomyślna i narwana w sprawach miłości i małżeństwa, ale kwestię „interesu" traktuje bardzo poważnie. Lauren wodziła kogucim grzebieniem po swoim talerzu.

— Nie mogę tego zjeść. Czuję się jak na lekcji biologii. No cóż... OK. A może, kto wie, zdobędę biżuterię i zaliczę Macanko Numer Trzy za jednym zamachem? To by mi nawet pasowało.

— Gerski, skąd wiesz, że Monterey na pewno przyjdzie jutro na mecz? — zapytałam.

— Bo on bierze udział w rozgrywkach. Lepiej więc niech się pokaże, bo bez niego nie będzie meczu.

— O Boże, to on jest zawodnikiem polo? Ale czad! Ja nie mogę! — zawołała Lauren, cała podniecona. A zauważywszy, że Gerski spogląda na nią z pewną dezaprobatą szybko dodała: — Ale znasz mnie, dla mnie liczy się przede wszystkim interes.

— Nie chciałbym, żebyś się jakkolwiek wiązała z kimś takim jak Monterey — powiedział bez ogródek Gerski.

— A to dlaczego? — zapytała przekornie Lauren. Uśmiech błąkał się w kącikach jej ust.

Gerski nie odpowiedział, tylko westchnął ciężko. Za to Oksana pospieszyła z wyjaśnieniem:

— Bo to zjadacz serc. Numer jeden. Najlepszy ze wszystkich.

– Ach, pożeracz serc — zachwyciła się Lauren. — To znaczy, że jest w moim typie.

*

Nawet padający śnieg nie mógł ukryć przygnębiającej stalinowskiej architektury stadionu, na który zmierzaliśmy z Gerskim i Oksaną. Betonowe bloki pozostają betonowymi blokami, pokryte śniegiem czy nie. Pełne radosnego oczekiwania brnęłyśmy po torze w wysokich butach, omijając kucyki z dwukółkami galopujące po śniegu.

Kiedy w końcu dotarliśmy wszyscy na boisko polo, obraz, jaki ukazał się naszym oczom, niewiele miał wspólnego ze spodziewaną romantyczną scenerią, jakby wziętą z kart *Anny Kareniny*. W oddali majaczyły wysokie betonowe bloki, a śnieg na boisku zdążył przemienić się w błotnistą breję. Siedzące już w namiocie młode Rosjaneczki stanowiły jednak na tym tle barwny kontrast. Kreacje noszone tutaj wieściły dwudziesty pierwszy wiek. Do obowiązującego stroju należały kozaczki na wysokich obcasach (naprawdę, jeśli chcecie wiedzieć, firmował je sam Yves Saint Laurent), żółte brylanty i futra z lisa w takiej obfitości, że więcej już kobiece barki nie byłyby w stanie udźwignąć.

W odległym końcu nabitego już namiotu grzmiał rosyjski zespół ludowy. Zaczęto częstować grzanym winem, które smakiem przypominało podgrzany syrop klonowy. Mnogość demonstrowanej tu biżuterii, futra i hałas sprawiały, że 'mpreza z pewnością nie przypominała rozgrywek polo w Bridgehampton. I chwała Bogu.

Gerski wypatrzył grono swoich przyjaciół, więc przysiedliśmy się do ich stolika. Rozgrywki miały się zacząć piero za pół godziny, pozostawało zatem wiele czasu na ploteczki. Nagle usłyszałam głos wołający z amerykańskim akcentem:

– Sylvie! Cześć! Lauren! Ola! Jak miło was tu widzieć.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Valerie Gervalt zmierza w naszą stronę. Towarzyszyli jej Marj Craddock, dziewczyna zaliczająca się do WASP-ów, którą Hunter poznał kiedyś w Nowym Jorku, oraz mężowie obu pań. W perłach i dys-

kretnych futrach wyglądały raczej skromnie na tle rosyjskich dziewoi. Valerie ze swoją gromadką rozsiadła się przy sąsiednim stoliku.

— Czy ten Ralph Lauren nie jest genialny, że jego modele można nosić na śniegu? — zachwycała się Mari.

— Ja bym wolała być w Aspen — przyznała Valerie. — Dlaczego nie pojechaliśmy do Aspen?

— Mnie się tu bardzo podoba. Czy gdzie indziej mogłabyś pokazać się w białych norkach? — zauważyła Maij, gładząc swoje futerko.

Uwagi te brzmiały znajomo. Można przenieść dziewczyny z Bridgehampton, ale w innym miejscu będą zachowywać się tak samo.

— Czy jest z tobą twój mąż? — zapytała Valerie, zwracając się do mnie. — Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Tyle o nim słyszałam.

— Pracuje teraz w Niemczech — odrzekłam, wzruszając ramionami.

— Nigdy go nie ma przy tobie. Biedaczek, musi się czuć bardzo osamotniony.

— Ma przy sobie koleżankę — wyjaśniłam, przypominając sobie o językowych kwalifikacjach Sophii.

— Czy ta koleżanka to nie jest przypadkiem niejaka Sophia— dociekała Marj, posyłając mi pełne współczucia spojrzenie. — Dobrze, że to nie „koleżanka" mojego męża. Ha, ha, ha!

Wszyscy się roześmiali, tylko mnie jakoś nie było wesoło. Widząc moje zmieszanie, Lauren ucięła tę rozmowę:

— Uwaga! Zaczynają! — i rzuciła się do balkonu widokowego, przy którym zebrało się już wielu widzów.

Patrzyliśmy, jak osiem lśniących kucyków — po cztery z każdej drużyny — wbiegło galopem na zaśnieżone boisko. Moskiewska drużyna Mercedesa grała przeciwko Cartier International Four.

— Tam, to on, z numerem trzy! — zawołała Lauren, wskazując na zawodnika, który galopował w odległym końcu hniska — Ależ jest atrakcyjny!

Lauren była jedyną osobą, która potrafiła rozpoznać atrakcyjnego mężczyznę, nawet gdy twarz miał szczelnie przesłoniętą ochronnym hełmem i zabezpiecze-

niami na szczękę.

Pół godziny później Lauren zmieniła zdanie. Może numer trzy nie był taki świetny, skoro jego drużyna przegrała z kretesem. Jack Kidd, dwudziestoparoletni zawodnik angielski, galopował z zawrotną prędkością po zaśnieżonej arenie, za każdym razem zdobywając punkty dla Cartiera. Bohater meczu został owacyjnie powitany przez widzów, gdy po chwili, ubłocony i spocony, pojawił się w namiocie.

Cały ekwipunek gracza w polo został pomyślany tak, by zawodnik prezentował się jak najbardziej seksownie. Nawet książę Karol, kiedy grał w polo, wyglądał jak bóg seksu. Obcisłe, pochlapane błotem bryczesy i skórzane, ręcznie szyte buty do konnej jazdy wywierały na kobietach piorunujące wrażenie. A jeśli jeszcze dodać do tego przystojną twarz i piękny uśmiech, uzyskamy pełny obraz zjadacza serc, by posłużyć się określeniem Oksany.

— On jest całkiem fajny — orzekła Lauren, patrząc na Gilesa Montereya, gdy przechodził przez namiot. Raptem się zaczerwieniła. — Och, czuję skurcze w żołądku. Może mam nerwową wysypkę na szyi?

Popijając grzane wino, Giles Monterey szedł na drugi koniec namiotu, gdzie powitała go radośnie grupa wytwornych Rosjan. Jak na kogoś tak nieuchwytnego, był całkiem popularny. Bardzo wysoki — musiał mieć z metr dziewięćdziesiąt. Ciemnoblond włosy, mokre od potu, lepiły mu się do czoła. Twarz miał pochlapaną błotem, co sprawiało, że jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne, a zęby jeszcze bielsze.

— Nic dziwnego, że nie ma go w Google'u — powiedziała Lauren — Gdyby można go było znaleźć w Internecie, miałby więcej fanek niż Elvis. Ależ się denerwuję. Przecież nie mogę tak zwyczajnie podejść do niego.

— Musisz — zachęciłam ją lekkim szturchnięciem.

— Może gdybym wypiła sześć tequili... — wzbraniała się. Wzięła z tacy kieliszek wina i wypiła go duszkiem. — Uch, mocne!

Sięgnęła po jeszcze jeden, po czym cała przejęta ruszyła w jego stronę. Ja zaś wróciłam do naszego stolika, by dołączyć do Gerskiego i Oksany. Z tego miejsca mogłam kątem oka obserwować rozwój sytuacji. W futrzanej pelerynce miodowego koloru, która pasowała do kapelusza odziedziczonego po matce, Lauren

wyglądała jak stylowa Eskimoska. Kiedy stanęła przy Gilesie, było jasne, że spostrzegł ją wcześniej. Przerwał rozmowę ze swoim towarzystwem i obserwował z uwagą, jak ku niemu szła. Podczas rozmowy z nią najpierw na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, a potem zachwyt. Wydawało się, że swobodnie ze sobą gawędzą dopóki kilka minut później Lauren nie szepnęła mu czegoś do ucha. Wtedy zachmurzył się, uśmiech gdzieś zniknął. Potrząsnął przecząco głową i wkrótce ich rozmowa dobiegła końca.

*

— To bardzo dziwne — oznajmiła Lauren.

Siedziałyśmy w mercedesie Gerskiego, czekając, aż sznur identycznych czarnych limuzyn ruszy i pozwoli nam wyjechać z parkingu. Wszystkie samochody, łącznie z naszym, miały szyby zasłonięte czarnymi firankami. Trochę to przypominało salonik pogrzebowy na kółkach, tyle że tkwiliśmy nadal w miejscu. Nikt nie panował nad ruchem.

— Co się stało? — zapytałam.

— Otóż zaprzyjaźniliśmy się w mgnieniu oka. Ale kiedy wspomniałam, żeby sprzedał Sanfordowi swoje spinki, wkurzył się. Powiedział, że temu człowiekowi nigdy niczego nie sprzeda.

— Nie mogę uwierzyć, że przyjęłaś jego odmowę, Lauren — powiedziałam. — To do ciebie niepodobne.

— A wiesz co? Po raz pierwszy zrezygnuję od razu. Kiedy wymówiłam imię Sanforda, Giles miał taki wyraz twarzy, że wiadomo było, że nie zmieni zdania.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Ale pozostaje pewien problem. Pamiętasz, jak mówiłam, że jestem w nim zakochana do szaleństwa.

— W kim? — wolałam się upewnić, gdyż nie nadążałam za szybko zmieniającymi się erotycznymi fascynacjami Lauren.

— W Gilesie. — Chwyciła mnie za ramię. Teraz wyglądała na bezbronną i wrażliwą istotę. — Naprawdę się w nim zakochałam. Do szaleństwa. Tak jak przewidywałam.

— Tak szybko? — Odniosłam się sceptycznie do tego wyznania.

— Ale to beznadziejne. Nigdy go już nie zobaczę. On wybierze sobie najładniejszą dziewczynę w całej Moskwie. Po co mu rozwódka? — Westchnęła. — Nieosiągalny nie tylko w' Google'u, ale i w realu. Cholera!

Po raz pierwszy spostrzegłam pewną rysę w szczelnym jak dotąd pancerzu rozrywkowej Lauren. W gruncie rzeczy oznaczało to rozbrojenie, mimo że starała się to ukryć, wznosząc okrzyki:

— Ale co mnie to obchodzi! Gdzieś tam w Nowym Jorku czeka na pieszczoty ze mną mój Numer Trzy.

Puk, puk.

Ktoś stukał w szybę auta. Odsunęłam czarną firankę. Napotkałam spojrzenie niebieskich oczu, wpatrujących się wprost we mnie. Sylwetkę mężczyzny otaczały wirujące płatki śniegu, wydał mi się nieodparcie przystojny. Zobaczył Lauren i gestem dał mi znak, bym otworzyła okno. Gdy opuściłam szybę, zwrócił się do Lauren:

— Musimy porozmawiać.

— Poznaj moją przyjaciółkę, Sylvie Mortimer — przedstawiła mnie.

— Sylvie? Powiedziałaś: Sylvie Mortimer? Też z Nowego Jorku?

— Tak — odpowiedziałam.

— Ach, to ty jesteś Sylvie. Ciekawe. — Przyglądał mi się badawczo. Ale zaraz zmienił temat i zwrócił się znów do Lauren. — Słuchaj, wiem, że zależy ci na tych spinkach, powiedziałem, że nigdy się z nimi nie rozstanę, ale... jest jedna rzecz, która może sprawić, że się ich pozbędę.

— Jaka? — zapytała Lauren, świadomie nie zapraszając go do unieruchomionego samochodu.

— Chciałbym mieć brylant księżniczki Letycji. Jeśli zdobędziesz go dla mnie, sprzedam ci spinki.

— Oszalałeś? To jeden z najcenniejszych klejnotów na świecie. Sally Rothenburg jest w posiadaniu tego brylantowego serduszka od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. Odrzuca każdą ofertę — odrzekła zdumiona Lauren.

— Masz dar przekonywania — powiedział Giles z uroczym uśmiechem. Był niemal tak samo uwodzicielski jak Lauren.

— Pan też, panie Monterey — zrewanżowała się Lauren. — Niewykluczone, że spróbuję. To dla mnie wyzwanie. Ale ciekawa jestem jednego: co sprawia, że taki mężczyzna jak pan chce posiadać taką historyczną rzecz?

—Otóż... — zaczął Monterey, patrząc Lauren głęboko w oczy. Ale zaraz umilkł i już tylko intensywnie się w nią wpatrywał. Lauren, której obca była nieśmiałość, odpowiedziała takim samym spojrzeniem, mrugając rzęsami w' równych interwałach, jakby go hipnotyzowała. Poczułam, że jestem świadkiem bardzo intymnej chwili.

— Więc? — zapytała w końcu Lauren, przerywając rzucanie czarów.

— Powiedzmy, że... byłby to prezent zaręczynowy.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł. Po tych słowach Lauren wyglądała jak balonik, z którego uszło powietrze, jak wystygły suflet. Przysunęła się do mnie i jęknęła:

— On jest zaręczony. Oczywiście, dlaczegóż by nie? Jest ideałem. A ona to pewnie druga Natalia Vodianova albo ktoś tego typu. Albo może osiemnastoletnia baletnica z Teatru Bolszoj. Och, czuję się jak prosię, a nawet jeszcze gorzej.

Moskwa ma to do siebie, że wydostać się stamtąd można jedynie za pośrednictwem Aeroflotu. Przy tym jest to jedyna linia lotnicza, która przyjmuje łapówki. Sto dolarów wsuniętych do kieszonki stewardessy zapewnia ci natychmiastowy awans do klasy pierwszej, której standard jest porównywalny z komfortem podróżowania w amerykańskich autokarach

Nielegalny awans nie podniósł Lauren na duchu. Od kiedy Giles ujawnił, że jest zaręczony, zaczęła zachowywać się jak wzgardzona narzeczona, która miała wszelkie podstawy do tego, by spodziewać się, że ów amant zostanie jej mężem. Prawie nie zdejmowała okularów przeciwsłonecznych ani słuchawek iPoda, od kiedy przed paroma godzinami opuściłyśmy hotel Hyatt. Nie ożywiła się nawet na widok zapomnianego egzemplarza „New' York", na który natknęłyśmy się na lotnisku. Jedna z zapowiedzi na pierwszej stronie głosiła: „NYTV: twórcy małego ekranu". Może znajdzie się tu jakaś wzmianka o nowym programie Huntera.

Przerzucałam strony czasopisma w poszukiwaniu tego artykułu, gdy Lauren zdjęła z uszu słuchawki i jęknęła:

— Zaręczony! Nigdy jeszcze nie spotkałam równie pięknego zawodnika polo. A kiedy byłam gotowa... pocałować go, okazuje się, że jest zajęty! Jak uważasz, czy go odzyskam?

— Jak możesz odzyskać kogoś, kogo nigdy nie posiadałaś? — zapytałam.

Lauren roześmiała się z przymusem.

— W tym sęk — zgodziła się. — Ostatnia moja nadzieja w tym brylantowym serduszku. To jedyna szansa, by go znów zobaczyć. Jestem przekonana, że on ze mną flirtował tam, po meczu polo. Jednak zaręczeni mężczyźni to najwięksi flirciarze. Och, ale Sally nigdy nie rozstanie się z tym serduszkiem. Nigdy! Zresztą, nawet gdybym je zdobyła, to gdzież ja teraz znajdę Gilesa? Nie mam przecież jego adresu e-mailowego.

Racja. Giles pozostawał poza zasięgiem Google'a. W duchu byłam nawet zadowolona z takiego obrotu spraw, ponieważ doprowadziłby Lauren do szaleństwa.

— Patrz, zdjęcie Huntera — powiedziałam. W artykule w „New York" przygotowywanemu show Huntera poświęcono jeden akapit, a w rogu zamieszczono zdjęcie mojego męża z podpisem: „Ulubieniec telewidzów z Manhattanu".

— Coś takiego — zainteresowała się Lauren. Zdjęła okulary od słońca i uważnie przyjrzała się fotce.

— Hmm, patrzcie, jaki ma dobry gust, ten twój mąż. Wychodzi ze sklepu S.J. Phillipsa na Bond Street. Znam naprawdę dobrze to miejsce, możesz mi wierzyć. To najlepszy jubiler w Londynie. Co dostałaś od Huntera?

— Nic — wyznałam trochę zmieszana. Co Hunter robił w sklepie jubilerskim w Londynie?

Ale Lauren nie słuchała. Przysunęła magazyn bliżej oczu, by jeszcze dokładniej przyjrzeć się zdjęciu.

— O Boże. Ale numer. Nie do wiary. Popatrz na to. — Podała mi pismo. — To noga Sophii D'Arlan.

Teraz ja przyjrzałam się fotografii uważnie. W samym rogu rzeczywiście zobaczyłem damską stopę i kawałek kostki. Stopa była obuta w złoty pantofelek na wysokim obcasie z gronem perełek w okolicach dużego palca.

— Lauren, skąd możesz wiedzieć, że to noga Sophii? — zapytałam niedowierzająco. Usiłowałam okazać nonszalancję, ale w rzeczywistości byłam bardzo przejęta.

— Złoty pantofelek. Model: Bruno Frisoni. Próbowałam je zamówić, ale Sophia mnie ubiegła. Frisoni wykonuje wzory po jednej tylko parze, a na punkcie Sophii ma prawdziwego fioła, więc jej przypadają pierwsze modele. Byłam bardzo zła z tego powodu, bo to są najładniejsze buty, jakie widziałam.

Powtórnie przyjrzałam się zdjęciu. Czy to stopa Sophii w złotym pantofelku? Noga wyglądała na szczupłą i opaloną, tak jak nogi Sophii.

—Jestem pewna, że to nie ona — powiedziałam, usiłując skończyć tę dyskusję. Byłam zmęczona i chciało mi się spać. Naciągnęłam maseczkę na oczy.

—Czy dowiedziałaś się, co Hunter robił wtedy w Londynie? — zapytała jeszcze Lauren.

—Powiedział, że miał jakieś służbowe spotkanie wynikłe w ostatniej chwili — odpowiedziałam, ziewając ostentacyjnie.

— Pilne spotkanie w interesach u jubilera?

Przez całą podróż nie zmrużyłam oka.

TLR

15

NAMASZCZENIE BOGACTWEM

W wieczór poprzedzający chrzciny dziecka Phoebe nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Nie widziałam Huntera od przeszło dwóch tygodni, a teraz miał wreszcie przyjechać. Wprawdzie często ze sobą rozmawialiśmy, jednak rozpierała mnie radość na myśl, że wkrótce znów będziemy razem, przez co nie mogłam zasnąć. O drugiej nad ranem całkiem rozbudzona postanowiłam wstać i przejrzeć swoje e-maile, by nie przewracać się nadal z boku na bok dręczona bezsennością. Włożyłam kaszmirowy szlafroczek i poszłam do gabinetu.

Usiadłam przy biurku Huntera i zapaliłam lampkę. Swojego laptopa zostawiłam w biurze, włączyłam więc jego komputer, którego używałam od czasu do czasu w domu. Już miałam zabrać się za pisanie listów, kiedy moją uwagę zwrócił plik, którego dotychczas nie zauważyłam, pod spodem widniał tytuł: sjphillipssketch.jpeg.

S.J. Phillips, powtórzyłam w myśli. Czy to nie ten jubiler, o którym wspomniała Lauren, kiedy wracałyśmy z Moskwy?

Z ciężkim poczuciem winy kliknęłam na ikonę. Otworzył się jednostronicowy dokument. Zobaczyłam aures wypisany staromodną elegancką czcionką:

S.J. Phillips Pracownia jubilerska

139 New Bond Street,

Londyn, W1

Nadworny dostawca rodziny królewskiej

Pod spodem widniał zrobiony ołówkiem rysunek owalnego wisiorka z ametystu otoczonego elegancko wygiętą linią litery S wysadzaną brylancikami. Obok rysunku dopisano: „Naszyjnik będzie gotów do odbiom po 20 listopada". Zatkało mnie. Więc to po to Hunter jeździł do Londynu! Specjalnie dla mnie zamówił u jubilera wisiorek. Kochany, udawał, że to spotkanie w interesach zwołane w ostatniej chwili. Nic dziwnego, że udzielał skąpych odpowiedzi, kiedy wypytywałam go o ten wyjazd — starał się ukryć swój piękny, romantyczny gest,

świadczący o jego miłości. Jak tak, to proszę bardzo, Hunter może jeździć do Londynu w tego rodzaju pilnych sprawach służbowych, kiedy tylko zechce. Mam nadzieję, pomyślałam sobie, wróciwszy już do łóżka, wreszcie zrelaksowana i senna, że odebrał klejnocik podczas swego pobytu w Europie. Nie mogłam się doczekać jego powrotu. I to nie tylko z powodu spodziewanego prezentu, wierzcie mi.

Phoebe miała więcej przyjaciół związanych z nią interesami niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Nic dziwnego, że na chrzest swojej pierworodnej, Lily Slingsby, musiała gnając cały kościół na rogu Fifth Avenue i Twelfth Street. |sjie mogła wspólnie z innymi chrzcić dziecka, jak to zazwyczaj wszyscy robią. Nie pomieściłaby takiej masy ludzi, których zamierzała zaprosić, a poza tym ktoś mógłby mieć zastrzeżenia do komercyjnego traktowania tej uroczystości. Cały kościół wytapetowany był pierwiosnkami wyhodowanymi specjalnie na tę okazję oraz udekorowany kokardkami i białej satynowej wstążki, które rozmieszczone zostały we wszystkich możliwych miejscach. Gdzie nie spojrzeć, tam widziało się kokardki, nawet u stóp ołtarza i na krucyfiksie. Podekscytowana powrotem Huntera, byłam mimo zmęczenia nienaturalnie ożywiona i kipiąca energią. Zakochana. Traktowałam więc z rozbawieniem demonstrację macierzyństwa w wydaniu Phoebe.

Lila Slinesbv jeszcze przed swoim urodzeniem brała udział w tak wielu przyjęciach i spotkaniach towarzyskich w Nowym Jorku, że stała się, jak powtarzano sobie na chrzcie w żartach, pierwszym Pokazowym Płodem w mieście. Jej przyjście na świat z punktu widzenia społecznych pozycji odbyło się w najlepszym z wymarzonych miejsc — w szpitalu prezbiteriańskim w Nowym Jorku pod opieką doktora Sassoona. Każda kobieta spodziewająca się dziecka chce dostać się do tego szpitala, ponieważ tu można mieć swoje własne pielęgniarki, kucharza czy manikiurzystkę, oraz ze względu na pogłoski, że tu przychodziły na świat dzieci Caroline Kennedy, a takiego towarzystwa dla swoich pociech życzyłaby sobie każda matka.

— To namaszczenie do znaczenia i bogactwa — szepnęła Lauren, lustru jąc tłum z ławki, którą wspólnie zajmowałyśmy. Miała na sobie elegancką popołudniową suknię zaprojektowaną przez Oscara de la Rentę, marszczoną, w kolorze kremowym. Wielkie czarne perły zwieszały się z jej szczupłej szyi. — Nie ma tu ani jednej osoby, która by nie była kimś znaczącym. Phoebe jest kochana, ale

czasem naprawdę przesadza. Zastanów się, czy to dziecko nie ma dziadków? Czy starsi ludzie nie noszą odpowiednich kreacji od Balenciagi, by nie mogli tutaj przyjść?

Lauren trafiła w sedno. Kiedy Phoebe wraz z trzynastoma chrzestnymi podeszli do ołtarza, nietrudno było nie zauważyć, że każdy z nich był albo prezesem wielkich korporacji przemysłowych, albo zarządzającym funduszami inwestycyjnymi czy też właścicielem koncernów prasowych. Matki chrzestne były piękne i bogate, modne i pożądane w towarzystwie. Czegokolwiek mała Lila Slingsby będzie kiedyś potrzebowała — stażu w MTV, miejsca w pierwszym rzędzie na pokazie mody Lacroix czy swojego stolika w Pastisie — któryś z ojców chrzestnych jej to załatwi, ponieważ najprawdopodobniej będzie właścicielem tych lokali bądź instytucji. Sprytna Phoebe, tak zadbać o przyszłość swojej małej!

Kiedy po nabożeństwie stawiłyśmy się w olbrzymim domu Phoebe na West Thirteenth Street, pomiędzy Seventh a Eighth Avenue, wewnątrz huczało już od gości. Lila spała głęboko w ramionach matki, co sprzyjało demonstrowaniu jej ubioru, więc gdy tylko kolejna osoba podchodziła z gratulacjami, Phoebe spoglądała na uśpione dziecko i mówiła:

— Czy to nie aniołek? Patrzcie, jak jej dobrze w żółtym...

Po kilku chwilach na drugim końcu zatłoczonego salonu wypatrzyłam Marci. Nie widziałam jej od czasu pamiętnego wieczoru u niej w mieszkaniu, więc chciałam z nią teraz porozmawiać.

— Cześć, Sylvie — powitała mnie, gdy tylko do niej podeszłam. — Czuję się doskonale.

Wyglądała też doskonale. Miała na sobie bardzo ładną pomarańczową sukienkę we wzorek z bukiecików w różowię różyczki.

—Masz świetną sukienkę, Marci — pochwaliłam ją.

— Sophia mi ją przysłała po odejściu Christophera, żeby mie trochę pocieszyć. Teraz to już nie mogę się doczekać, kiedy zostanę rozwódką. Sophia powiada, że będziemy się świetnie bawiły. Ostatnio stała się moją najlepszą przyjaciółką. Ciągle do mnie wydzwania z Europy. Obiecała nawet porozmawiać z Christopherem w moim imieniu, skoro nie odzywamy się do siebie. Bardzo pod-

trzymuje mnie na duchu.

— Co ty powiesz — skwitowałam jej wyznania mało entuzjastycznie. Wzmianka o Sophii nie zepsuła jednak mojego radosnego nastroju.

— Chodź, muszę coś z tobą omowic — Lauren odciągnęła mnie na bok.

— Co takiego?

— Chodzi o Montereya. Nie mam o nim żadnej wiadomości. Dwa tygodnie minęły i nic! Odchodzę od zmysłów. Chyba będę musiała trochę poczekać, jak sądzisz?

— Nie wiem, co innego mogłabyś zrobić. Zresztą on jest zaręczony. Pamiętasz? — przypomniałam jej.

— Racja — przyznała ponuro. — A co u ciebie? Wyglądasz promiennie. W ciąży jesteś czy co?

— Nie, ale Hunter wTaca już dziś wieczorem. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. — Byłam tak podekscytowana klejnotem, że nie mogłam się powstrzymać, by nie opowiedzieć o tym Lauren. — Wczoraj w komputerze Huntera znalazłam rysunek zrobiony przez S.J. Phillipsa przedstawiający wisiorek z ametystem otoczonym literką S wysadzaną brylancikami. Przepiękny. Hunter jest kochany, Prawda?

Nastała dłuższa chwila milczenia. Lauren zadumała się i wreszcie zapytała:

— Kochanie, ten prezent ma być dla ciebie czy... dla niej?

— Co? — Zupełnie mnie zbiła z tropu.

—Zastanów się. S może oznaczać Sylvię, ale równie dobrze Sophię.

— W żadnym razie naszyjnik nie może być dla Sophii! — zaprotestowałam zbulwersowana.

— Skąd ta pewność? — zapytała Lauren, zniżając głos.

— Zapytam go — obiecałam.

—Nie rób tego — ostrzegła mnie Lauren. — Po pierwsze, to ma być niespodzianka, jeśli więc jest przeznaczony dla ciebie, to zepsujesz wszystko, przyznając, że myszkowałaś w jego komputerze. A po drugie, żona nie może niczego

niczego wytykać mężowi, jeżeli nie ma niezbitych dowodów jego winy. W przeciwnym razie on uzna cię za histeryczkę i panikarę i taki będzie koniec.

— Nie może być dla Sophii — powtórzyłam, już z mniejszą pewnością w głosie.

—Posłuchaj, to może ja histeryzuję, ale przypominasz sobie zdjęcie stopy Sophii w „New York”?

Nagle przypomniałam sobie, jak kartkowałyśmy pismo w drodze powrotnej z Moskwy, i zrobiło mi się niedobrze.

—Muszę z nim porozmawiać, i to jeszcze dziś wieczorem — postanowiłam.

—Nie — przerwała mi Lauren. — Jeden bucik od Bruna Frisoni to jeszcze niewystarczający dowód. Kiedyś, dawno temu, kiedy byłam żoną Louisa, a on spędzał dużo czasu z moją najlepszą wtedy przyjaciółką, Lucią, posądzałam ich o nie wiadomo co. Tymczasem oni spiskowali, jaki by tu efektowny prezent urodzinowy dla mnie wybrać. Byli zupełnie niewinni. Czasem wydaje mi się, że to moja podejrzliwość w końcu doprowadziła go do tego, że mnie oszukał. Zanim cokolwiek zrobisz, musisz mieć całkowitą pewność.]sfie możesz jeszcze pisnąć ani słowa. Obiecaj mi, że tego nie zrobisz.

Skinęłam głową z ociąganiem. Może Lauren miała słuszność.

— Dobrze. A jeżeli za jakiś czas przekonasz się, że on cię oszukuje — powiedziała Lauren z przewrotnym uśmiechem — przynajmniej pocieszysz się świadomością, że zachowałaś się godnie i nie wpadłaś w histerię ani panikę, zanim nie okazało się to całkowicie uzasadnione.

16

ŚWIĄTECZNA ZAZDROŚĆ

Świąteczna kartka od Valerie i Tomrniego Gervallów nie mogła nikomu nasunąć skojarzeń z Bożym Narodzeniem. Valerie uczyniła z kartki świątecznej rodzaj karnetu z zapisem jej snobizmów. Na frontowej stronie karty widniała fotografia jej uśmiechniętej córeczki, trzyletniej Celeste. Mała była ubrana w jasnoniebieski płaszczyk z tweedu od Emily Jane, który można dostać jedynie u Harrodsa w Londynie, na główce szary berecik, na nogach zaś wysokie sznurowane kamasze, jakby wzięte prosto z działu kostiumowego *Domku na prerii.* Obok niej na zdjęciu stał pomocnik kelnera w toczku na głowie, a w tle rysowały się schody hotelu Ritz na placu Vendôme. Pod zdjęciem widniał napis:

Celeste — Paryska Kolekcja Mody — Lato.

— Jej dzieciak wygląda jak kukła — zachichotał Hunter na widok tej kartki. Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu następnego dnia po jego przyjeździe i otwieraliśmy kartki świąteczne, których pokaźny stosik dostaliśmy z poranną pocztą. — Valerie — uznał —jest klasycznym przykładem nieskrywanego pięcia się po szczeblach drabiny społecznej.

— Masz, ty otworzysz ten list — oznajmiłam, wręczając mu czerwoną kopertę — a ja ten.

Po chwili Hunter podał mi kartkę od Salome, z jej zdjęciem w stroju ślubnym od Christiana Lacroix. Wyglądała na nim pięknie. Obok wykadrowany z tej fotografii osobno stał jej były mąż i ksiądz. Wewnątrz kartki widniał napis wykonany w stylu graffiti:

Wesołych Świąt!

Serdeczności,

Ja, ja i ja.

Potem otworzyłam przydzieloną sobie kopertę. Podobnie jak kartka Valerie, niewymagająca żadnych dodatkowych upiększeń, i ta, oprócz zdjęcia wystar-

czająco atrakcyjnych modelek, zawierała list. Kartka pochodziła od Sophii i jej pięciu sióstr (wszystkie w stylu Gwyneth Paltrow). Ustawione na tle ciężarówki z roku 1960 w Kolorado, machały do widzów radośnie.

— Jakie to ładne — powiedziałam szczerze. — Wszystkie są tu takie piękne.

— Nikt nie jest równie piękny jak moja żona — skomplementował mnie Hunter, patrząc na mnie z miłością.

Nie dopuściłam do tego, by atmosfera powrotu Huntera została zakłócona wątpliwościami, jakie Lauren zasiała w moim sercu. To nic, że Sophia przysłała niekonwencjonalną kartkę, to nie miało żadnego znaczenia. Postanowiłam z optymizmem patrzeć w przyszłość naszego małżeństwa i nie martwić się o naszyjnik. Hunter szykował mi niespodziankę pod choinkę, byłam tego pewna. Przyjechał późno wieczorem, wyglądał może trochę na zmęczonego dał mi cudowną etolę z kremowego futerka, którą kupi} w Kopenhadze, gdzie się zatrzymał na jeden dzień. Siedzieliśmy dość długo w nocy, oglądając talk-show Davida Lettermana i pieszcząc się co chwila.

W przerwach między pocałunkami zrelacjonowałam rnu dość chaotycznie naszą moskiewską wyprawę, opowiadając, jak to Lauren postanowiła zakochać się w mężczyźnie, który był zaręczony. Hunter wykazał duże zainteresowanie całą historią, zadawał mnóstwo szczegółowych pytań, na przykład dlaczego Giles jej się tak podobał i co ja myślę o tych dwojgu jako ewentualnej parze. Przypomniałam Hunterowi, że nie ma mowy o tym, by oni zostali parą, ponieważ Giles zamierzał się ożenić z kimś innym. Lauren miała rację, uznałam, kładąc się spać. Nie było sensu mówić czegokolwiek o zdjęciu Huntera z Sophią w Londynie. Zadowolona usnęłam w objęciach swojego męża. Okazało się też, że kartka świąteczna będąca dowodem szczęśliwego życia rodzinnego może wystawić na szwank dobre samopoczucie najweselszej nawet rozwódki. Mniej więcej tydzień po Święcie Dziękczynienia zadzwoniła Lauren kompletnie wytrącona z równowagi. Jej były rozsyłał wszystkim kartkę świąteczną z wizerunkiem jego samego, obcej kobiety imieniem Arabella i ich nowo narodzonego syna, Christiana. Lauren zobaczyła tę kartkę u Alixe Carter na kominku i dostała szału.

— Jesteśmy zaledwie cztery miesiące po rozwodzie! — krzyczała. — W tym czasie nie zdążyłby poznać nikogo, nie mówiąc już o dochowaniu się dziecka. To musiało się dziać, zanim się rozstaliśmy. Nie mogę w to uwierzyć.

Najbardziej rozzłościł Lauren fakt, że zdjęcie zostało zobione w komnatach królewskich pałacu Gritti w Wenecji. Louis, jego nowa żona i dziecko wyglądali jak rodzina królewska jakiegoś mniejszego państwa pozująca do magazynu „Hello".

— On zdecydował się na to dziecko po to, by zrobić mi na złość — twierdziła Lauren, owładnięta obsesją na własny temat. Ich rażące szczęście było dla niej nie do zaakceptowania. Uznała, że to przejaw ich bycia *nouveau riche.* Nadchodzące święta jawiły jej się jako katastrofa.

Dopadł ją kryzys rozwodowy. Tak dalece wyprowadziła ją z równowagi świąteczna kartka Louisa, że opowiadano, jak to którejś nocy w samym tylko szlafroku i skarpetkach wędrowała wzdłuż Gansevoort Street w poszukiwaniu byłego męża. Została zaproszona na święta na Kubę, do Radżastanu i Palm Beach i przyjęła wszystkie trzy zaproszenia. Jej kryzys pogłębiał fakt, że nie mogła wypełnić narzuconych sobie postanowień: znaleźć Macanka Numer Trzy ani ustawić samodzielnie kina domowego, chociaż pewnej soboty walczyła z tym sprzętem przez dziewięć godzin.

— Nawet mnie nie cieszy zgoda Sally Rotenburg na sprzedanie mi serduszka księżniczki Letycji — skarżyła się któregoś dnia, przebierając w stosie sukien wyszywanych paciorkami przed pójściem na koktajlowe świąteczne przyjęcie do swych bogatych znajomych. — Louis zmarnował mi tegoroczne święta. Nigdy się z tego nie podniosę! Naprawdę uważam, że taki stres jest nieuleczalny jak polio. Och, dajcie mi jeszcze jednego szampana.

*

Jak na kogoś, kto ma polio, Lauren ozdrowiała cudownie szybko. Następnego dnia po koktajlowym przyjęciu otrzymała przez posłańca liścik od Gilesa Montereya. Pisał:

Jestem w mieście. Spotkajmy się w Grand Central Oyster Bar w czwartek o pierwszej w celu dokonania wymiany. Pozdrawiam, G.M.

Spotkanie z Gilesem to było właśnie to, co mogło poprawić humor Lauren, choć miałam nadzieję, że jej zadurzenie mijało. On nie był do wzięcia, a nawet gdyby był, to jak na mój gust, pozostawał zanadto nieuchwytny.

Jej estetyczne przygotowania do spotkania biznesowego wymagały większego

nakładu czasu i pracy niż kiedyś do jej ślubu. Lauren najbardziej zależało na osiągnięciu efektu „oczu ladacznicy", do czego należało użyć sprowadzonego z Egiptu proszku antymonowego. Po długim namyśle co do wyboru najodpowiedniejszego stroju zdecydowała się na swoje ulubione obcisłe spodnie w kremowym odcieniu, lekki jak piórko żakiet wykończony futrem z norek, a pod nim top z tiulu cienki jak pajęczynka. Włosy rozpuściła swobodnie w naturalnych falach, doszła bowiem do wniosku, nie mając zresztą ku temu żadnych powodów, że natapirowana fryzura nie spodobałaby się Gilesowi. Tego przedpołudnia dzwoniła do mnie co pół godziny, składając mi meldunki na temat zmian zachodzących w jej ubiorze, makijażu i nastroju, który wkrótce miał zostać gwałtownie i brutalnie zrujnowany. Wyszła z domu piętnaście po dwunastej, strzeżona dyskretnie przez wynajętego ochroniarza, a to ze względu na klejnot, który miała przy sobie. Była przekonana, że za chwilę osiągnie sukces — zarówno biznesowy, jak i osobisty — dostanie spinki Faberge i zaliczy Macanko Numer Trzy.

Można sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy o piątej po południu do pracowni Thacka weszła Lauren, blada, ze śladami rozmazanego tuszu do rzęs.

—Tyle zachodu z „oczami ladacznicy". A teraz wyglądam jak pierwsza lepsza dziwka na telefon — powiedziała zaraz po wejściu.

— Boże, ależ dramatycznie się prezentujesz — zachwycił się Thack. — Jesteś moim natchnieniem. Mogę zaprojektować ci suknię specjalnie do płaczu. Emmy — zawołał do asystentki — zapisz: „oczy ladacznicy" na następny pokaz!

— Dzięki, Thack, jesteś kochany — westchnęła Lauren, osuszając łzy skrawkiem jedwabiu koloru fuksji, który wzięła ze stołu krojczyń. — Patrz, z tego byłyby śliczne chusteczki do nosa. Witajcie, wszyscy — pomachała do grupy stażystek zajętych w kącie haftowaniem. Nieśmiało skinęły głowami w odpowiedzi, pod wrażeniem, tak jak Thack, jej nieodpartego uroku.

— Co się stało? — zapytałam, wstając od biurka. Na blacie piętrzyły się stosy papierów, którymi miałam się zająć, ale teraz należała mi się przerwa. — Zamówię dla wszystkich herbatę — oświadczyłam, wykręcając numer kafejki na dole.

— Nie przyszedł — szepnęła słabym głosem Lauren. Klapnęła na jedyną kanapę, jaka znajdowała się w pracowni, zarzuconą próbkami materiałów, niewszytymi rękawami i pliskami.

— Możecie przysłać do pracowni herbatę dla nas wszystkich? Mówi Sylvie... Tak, dziękuję — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Teraz już mogłam zwrócić się do Lauren. — Co zamierzasz zrobić z serduszkiem?

Westchnęła ciężko. Na jej twarzy malowało się wielkie rozczarowanie.

— Och, dostał już to swoje serduszko. Domyślam się, że szczęśliwa narzeczona wkrótce będzie je nosiła.

Zabłąkana łza spłynęła jej po policzku, potem po nosie by zatrzymać się na wardze, gdzie osiadła, drżąc dramatycznie.

— Tak mi przykro, przegrałam — wyznała, na poły płacząc, na poły się śmiejąc. — Nawet nie zdążyłam dobrze poznać faceta, a spójrz, co ze mną zrobił!

Okazało się, że Monterey po odbiór klejnotu wysłał umyślnego. Kiedy popijałyśmy herbatę, Lauren opowiedziała, jak to nieokrzesany rusek w wieku lat dwudziestuparu zgłosił się do niej, mówiąc, że to on ma odebrać serduszko w imieniu Gilesa. Pokazał, że ma w kieszeni spinki Mikołaja II schowane w aksamitnym woreczku oraz list zawiadamiający o zmianie planów. Ochroniarz Lauren wydał tamtemu cenne serduszko. Cała transakcja trwała nie dłużej niż pięć minut, a Lauren nie dostała się za to nawet surowa ostryga, nie mówiąc już o Macanku Numer Trzy.

— Mam nadzieję, że przynajmniej Sanford będzie szczęśliwy z tak krótkiego romansu — wymamrotał Thack z ustami pełnymi szpilek. Przypinał pracowicie kawałki fioletowej tafty do krawieckiego manekina.

— To naprawdę okropne. Biorę na siebie wszystkie te kłopoty, potem pokazuję się w apartamencie Sanforda i... Nie, to było okropne, okropne.

Lauren, troszkę ubarwiając opowieść, zdała Sanfordowi relację ze swej wyprawy do Moskwy w celu zdobycia spinek, ale on uciął krótko jej opis wyczynów Montereya na meczu polo.

— Takie to było dziwne... jakby był zazdrosny czy co... — zastanawiała się Lauren. — Mogę zapalić?

— Tylko ten jeden raz — zezwolił Thack. — A przy okazji i ja bym zapalił.

Lauren wyjęła swoje zielone etui z krokodylczej skórki I poczęstowała Thacka cienkim papieroskiem,

— Co za rozkosz — powiedział, przypalając papierosa najpierw jej, potem sobie. Zaciągnął się z lubością i wrócił do tematu. — Oczywiście, że jest zazdrosny. Sanford jest tobą zauroczony, ty zaś zafascynowana kim innym, kto nie nazywa się Sanford. Grube ryby nie przyjmują odmowy, tak jak zwykli ludzie.

— Potem mnie pocałował — mówiła dalej Lauren, krzywiąc nosek na to niemiłe wspomnienie. — I to wbrew mojej woli. Trząsł się cały, tak jakby się bał. Domyślam się, że jak się jest żonatym od dwudziestu lat, to tych rzeczy od dawna się nie robi... i stąd ten strach. Takie to było żenujące. Przeciągnął językiem z prawej do lewej, później z lewej do prawej strony, po prostu mechanicznie, a ja nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, czy on jadł puree z czosnkiem na kolację. Myślę, że każda dziewczyna powinna przynajmniej raz zaliczyć grubą rybę, żeby wiedziała, czego nie traci.

W tym momencie wszyscy w pracowni wybuchnęli śmiechem. Tylko Lauren się zasępiła.

— Co się stało? — zapytałam.

— Powiedział mi jeszcze, że jeśli nie zechcę mieć z nim romansu, to nasza znajomość na tym się kończy.

— Przedziwne.

— I smutne — skwitowała Lauren. — Wydawało mi się, że to prawdziwy przyjaciel.

Tu Thack cmoknięciem wyraził swoją dezaprobatę, kręcąc przy tym głową.

Lauren zaciągnęła się głęboko. Popatrzyła na mnie ze smutkiem i podjęła znowu:

— Powiedział, że chciałby się rozwieść i ożenić ze mną. Mogę go już w ogóle nie widzieć. Byłam naiwna, umawiając się z nim w przekonaniu, że to mu wystarczy. To świetny facet, ale cóż, nie jest Gilesem Montereyem. Nie ma nic gorszego niż zawód miłosny. Miałam nadzieję na przytulanko w Grand Central z panem Moskwiczaninem, a musiałam się zadowolić marnymi spinkami i pocałunkiem z łóżkiem wodnym. To najgorsze święta w moim życiu.

*

Dla mnie natomiast święta zapowiadały się cudownie. To było coś nowego, bo zanim wyszłam za mąż, Boże Narodzenie napawało mnie melancholią, teraz zaś okres świąteczny wydawał się radosny, pełen magii. W tym roku korek w centrum spowodowany zakładaniem iluminacji na choince przy Rockefeller Center wzbudził mój zachwyt, a w nieskończoność powtarzana w telewizji melodyjka „jingle-bell, jingle-bell" wprawiała mnie w uduchowiony nastrój, do tego perspektywa obejrzenia programu Barbary Walters *Dziesięć najciekawszych osobowości* przydawała mi wewnętrznego ciepła. Kiedy jest się mężatką, na wszystko inaczej się spogląda, nie ma perspektywy pójścia w pojedynkę na przyjęcie świąteczne, pakowanie prezentów też nie odbywa się w samotności i wiadomo dokładnie, kogo się pocałuje, składając życzenia noworoczne. Jedyne, co mąciło mój beztroski nastrój, to szkic naszyjnika od S.J. Phillipsa. Hunter ani razu o nim nie wspomniał, nie zrobił nawet najmniejszej aluzji. Kiedy miasto rozjarzyło się światłami, migocząc bielą na Park Avenue i eleganckim różem w oknach wystawowych Bergdorfa Goodmana, jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że to ma być prezent dla mnie pod choinkę.

Chociaż było jeszcze trochę za wcześnie na choinkę, kupiłam dla nas drzewko od Vermontôw na Fifth Avenue. Pierwszą niedzielę grudnia spędziliśmy z Hunterem, stroiąc choinkę w rypsowe kokardki, staromodne jednokolorowe bombki i tradycyjne białe kaczuszki. Sklep ABC Dywanów ma teraz cały duży dział poświęcony starym choinkowym ozdobom. Oczywiście są bardzo kuszące. I oczywiście słono kosztują. Podczas ubierania drzewka przypomniałam sobie miłosny zawód Lauren.

— Teraz to mi jej trochę żal — powiedziałam do Huntera. — Wydaje mi się, że on naprawdę jej się podobał. Możesz mi podać ten srebrny łańcuch?

Hunter przysunął do mnie lśniącą ozdobę i skonstatował:

— To bardzo ciekawe. Jak myślisz, czy ona chciałaby wyjść za niego?

— Mówiła, że małżeństwo już jej nie interesuje i że teraz zależy jej tylko na wypełnieniu następnego punktu swojego programu, czyli zaliczeniu go jako Macanka Numer Trzy. Ale żebyś zobaczył ją, kiedy nie pojawił się w Oyster Bar. Nie panowała nad sobą. Naprawdę myślę, że wyszłaby za niego, gdyby nie był zaręczony.

Cofnęłam się parę kroków, by z pewnej odległości popatrzyć na choinkę.

— Czyż nie wygląda pięknie? — zapytałam retorycznie.

— Wygląda, kochanie. O ile dobrze pamiętam, że mówiłaś, że Lauren nigdy nie wyjdzie za mąż — wrócił do tematu.

— Ale z tym facetem jest inaczej. Wyobraź sobie: gdyby to on bardzo się nią zainteresował i nagle okazałoby się, że nie ma żadnych zobowiązań, pewnie by zmieniła front i zdecydowała, że jej ta sprawa nie interesuje.

— Co ty powiesz — zadumał się Hunter, wpatrując się w bombkę, którą właśnie powiesił na gałęzi. Wydawało się że ma uwagę zaprzątniętą czym innym, że coś w myślj rozważa. — Zatem Lauren to taki typ kobiety, dla której im mężczyzna mniej dostępny, tym bardziej ją pociąga.

— Właśnie — zgodziłam się.

— Nie sądzę, że powinna z niego rezygnować. Zaręczony nie znaczy jeszcze żonaty — powiedział Hunter. I zaraz dodał: — Och, zapomniałem, muszę do kogoś zadzwonić.

Wyszedł z pokoju, ale przez drzwi słyszałam, jak mamrocze do telefonu, by ktoś postronny go nie zrozumiał. Z pewnością to jakaś służbowa rozmowa. O siódmej w końcu pojawił się w drzwiach salonu, gdzie mocowałam ostatnią już kokardę. Miał przewieszoną przez ramię marynarkę, gotów do wyjścia.

— Słuchaj, Sylvie, coś mi nagle wypadło, w związku z czym muszę wyjść — powiedział.

— A Barbara Walters? — zapytałam zawiedziona. Mieliśmy spędzić wieczór w domu, przed telewizorem, a na kolację zamówić japońskie jedzenie. — Nie możesz tego odwołać? Co może być takiego pilnego do zrobienia w niedzielny wieczór?

— Przyjechał mój stary przyjaciel z college'u, a ja już dawno obiecałem pójść z nim na kolację. Chyba zapomniałem ci o tym powiedzieć.

— Czy to nie ten facet, z którym chciałeś swatać Lauren?

— Właśnie on — odpowiedział Hunter, wkładając już maiynarkę.

— W takim razie może zadzwonię do Lauren i razem wybierzemy się na kola-

cję? — zaproponowałam. — To ją na pewno trochę rozerwie. Odwróci jej myśli od Montereya.

— Nie sądzę, by to był dobry pomysł — szybko odrzucił moją propozycję.

Dlaczego Hunter tak dziwnie się zachowywał? Dlaczego nie chciał mnie zabrać na to spotkanie?

— Przecież mówiłeś kiedyś, że chcesz ich poznać ze sobą. A okres świąteczny to bardzo odpowiednia pora...

— Nie o to chodzi. Zresztą randki w ciemno to nie najlepszy pomysł. Ludzie, którzy mają się zakochać, zrobią to bez pomocy osób trzecich.

— Ale on wydawał się ciekawy. Kto to właściwie jest? — dopytywałam się.

— Przyjechał tu zaledwie na parę godzin. Muszę lecieć. Zobaczymy się później, przepraszam za dzisiejszy wieczór — powiedział Hunter i wyszedł.

*

Później, siedząc samotnie przed telewizorem nad japońskim jedzeniem, pomyślałam sobie, że wszystko stało się tak nagle. Program Barbary Walters zazwyczaj był frapujący. Jej wybory są tak kontrowersyjne (pamiętacie, jak któregoś roku Karl Rove został Najciekawszą Osobowością?), pytania zaś zawsze uprzejme, tak że smakujesz każdą minutę, jeżeli oczywiście wyobrazisz sobie, że to audycja na żywo. Fakt, że jej włosy nie zmieniają się w miarę upływu czasu, też wydaje się pocieszający. Tym razem jednak, mimo że fryzura pani Walters pozostawała wciąż taka sama, czułam się bardzo nieswojo.

Straciłam apetyt. Odrzucało mnie nawet od mojego ulubionego sashimi z tuńczyka. Dlaczego Hunter nagle postanowił nie przedstawiać Lauren swojemu przyjacielowi z college'u? Przed kilkoma tygodniami podniecała go myśl wyswatania tych dwojga. I dlaczego nie wyjawił mi jego nazwiska? A jeśli dobrze się zastanowić, to jego zachowanie w ciągu ostatnich kilku dni było naprawdę dziwne. Potrafił całymi godzinami ślęczeć przy komputerze. Rozmawia} szeptem przez telefon, a gdy wchodziłam do pokoju, przerywał rozmowę. Zbywał mnie, kiedy pytałam, co robi A co dziwniejsze, nie było żadnego śladu klejnotu od S.J. Phillipsa. Gdy tylko uczyniłam jakąś aluzję na ten temat, udawał, że nie wie, o co chodzi. Kiedy obchodziłam choinkę, potrząsając wszystkimi pudełkami (to mój doroczny obyczaj), nabrałam pewności, że w żadnym nie było naszyjnika. Do tej

pory Hunter przecież musiał go już odebrać. Ale gdzie go schował? A teraz jeszcze to: nad Barbarę Walters i żonę, której prawie nie widywał w^{r} ostatnich tygodniach, przełożył towarzystwo anonimowego „szkolnego kolegi". I to w niedzielę! Nikt nie ma nic ważnego do załatwiania w niedzielny wieczór.

W chwili gdy Barbara miała właśnie zapowiedzieć Najciekawszą Osobowość, postanowiłam wziąć do ust kęs sashimi z tuńczyka. Powstrzymywanie się odjedzenia mogło tylko pogorszyć sytuację. Wtedy zadzwonił mój telefon komórkowy.

— Przepraszam cię, Sylvie. Pewnie uważasz, że jestem najbardziej nieodpowiedzialną na świecie gwiazdą filmową.

To była Nina Chlore. Domyśliłam się, że nie może się wywiązać z ustaleń, jakie poczyniłyśmy w Paryżu, i przyjść na przymiarkę sukni, która czekała na nią gotowa w pracowni Thacka.

— Zdjęcia w Maroku zajęły nam dodatkowe dwa tygodnie, a stamtąd nie można nigdzie zadzwonić, bo na pustyni nie ma telefonów. Czy mogę więc przyjść na przymiarkę jutro? Razem z Sophią. Strasznie się za tobą stęskniliśmy!

Tuńczyk niemal stanął mi w gardle. Więc Sophia znów jest w mieście. A mój mąż pognał spotkać się ze „szkolnym kolegą"- Może święta wcale nie zapowiadają się tak radośnie, jak jeszcze niedawno myślałam.

*

— Sophia bardzo przeprasza, ale naprawdę nie może się wyrwać — powiedziała Nina, przyszedłszy nazajutrz do pracowni. Wcale się tym nie zmartwiłam. Była ostatnią osobą, z którą chciałabym się zobaczyć. — Taka jestem przemęczona! Dostałam siedem propozycji ról! Umieram ze zmęczenia! — Nina skarżyła się zza parawanu, gdzie przebierała się do przymiarki. — Mam dwadzieścia trzy lata, a czuję się, jakbym skończyła sześćdziesiąt cztery, taka jestem wykończona!

Po chwili Nina pokazała się w marszczonej sukience z szyfonu koloru ostryg, w jakiej występowała Grace. Suknia otaczała jej ciało naturalnie jak powietrze, Nina wyglądała w niej jak nie z tej epoki, a jednocześnie miękko i delikatnie. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i powiedziała:

— Tylko spójrzcie, to jest właśnie suknia na premierę. Mogę już ją zabrać?

Po tym jak paparazzo błysnął fleszem w chwili, gdy Nina wychodziła z pracowni, wydarzyły się dwie rzeczy: popularne tabloidy zaczęły do nas wydzwaniać z pytaniami o kreację, jaką aktorka włoży na premierę (nikt z nas tego nie wiedział, Nina bowiem wyszła z pracowni z czterema sukniami, z których dwie były od nas wypożyczone i miały zostać natychmiast zwrócone po uroczystości, dwie pozostałe zaś jej podarowaliśmy). Poza tym każda dziewczyna z Nowego Jorku chciała mieć suknię od Thacka na bal wydawany przez Ałixe, którego termin przypadał zaledwie kilka tygodni po świętach Bożego Narodzenia.

U Neimana zaczęto sprzedawać nasze modele, Bergdorf Goodman z kolei zadzwonił z propozycją zorganizowania pokazu. Jeżeli sprawiła to fotka ukazująca Ninę z naszą firmową torbą, to stało się jasne, że zdjęcie aktoreczki w sukni Grace radykalnie zmieni bieg kariery Thacka. Projektanci mody mają fioła na punkcie aktorek. Thack, dotychczas raczej zblazowany, teraz zaczynał dzień od wertowania magazynów w poszukiwaniu zdjęć Niny. Pocił się, słysząc w telewizji jej imię. Dostał wysokiej temperatury, kiedy zobaczył ją w kreacji od innego projektanta. Miał wszelkie objawmy Gorączki Niny, jak sam to nazwał, gorszej niż jesienna grypa.

TLR

17

IGRASZKI Z NIELETNIM

Mówię wam, nie ma nic bardziej szykownego niż jednoczęściowy biały kostium Eresa zakładany w szałasie z lat dwudziestych we francuskich Alpach. Co za luksus móc opalać się, mając pod stopami grubą warstwę śniegu, podczas gdy na intensywnie błękitnym niebie operuje słońce o temperaturze ponad 20 stopni. Biel na bieli. Bardzo to nęcące, zwłaszcza że tuż pod ręką znajdzie się złożone w schludny stosik kolorowe szlafroki frotte i pasujące do nich pantofle.

Kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem Hunter oświadczył, że jeden z jego francuskich partnerów zaproponował mu spędzenie świąt w jego góralskiej chatce w Megeve, natychmiast zabrałam się do pakowania. Malutka alpejska wioska Megeve sprawia, że Aspen przy niej zaczyna przypominać amerykański *mail.* Kręte brukowane uliczki, wspaniałe cukiernie, urocze butiki i nienagannie utrzymany plac, na którym stoi kościół. Podróż mieliśmy wyczerpującą — najpierw nocny samolot do Paryża, potem raniutko wylot do Genewy, ale kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, przekonaliśmy się, że warto było podjąć ten trud.

Oblodzony domek przypominał trochę chatkę Baby Jagj z *Jasia i Małgosi.* Wewnątrz salonik umeblowany kanapami pokrytymi wypłowiałą tkaniną i owczymi skórami, nasza sypialnia zaś wyglądała tak romantycznie, że zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zechcemy z niej wychodzić. Łóżko zasłane było staromodną pościelą, na którą rzucono niedbale futro. Lepiej niż na stronie ogłoszeniowej Ralph Lauren Ski. A poza tym nikogo nie obchodziło, że ja właściwie nie potrafię jeździć na nartach.

— Hunter, tu jest bosko — powiedziałam, gdy wreszcie mogliśmy rzucić nasze rzeczy na łóżko. Kiedy przyjechaliśmy, było już późne popołudnie i ostatnie promienie słońca oświetlały nieskazitelne zbocza gór.

Hunter uśmiechnął się uszczęśliwiony, objął mnie i zapytał:

— Cieszysz się, że wyjechaliśmy na święta z Nowego Jorku?

— Bardzo — odpowiedziałam, podekscytowana naszą eskapadą.

W ciągu ostatnich kilku dni Hunter był dla mnie tak miły i tak opiekuńczy, że incydent z Barbarą Walters wydawał się przy tym coraz mniej ważny. W tym pięknym miejscu bladły wszelkie troski. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła służąca, niosąc na tacy gorącą czekoladę i kopertę zaadresowaną do mnie.

Drodzy Sylvie i Hunterze,

nie uwierzycie, ale jestem niedaleko w góralskiej chatce Camille de Dordogne. Przyjdźcie wieczorem na koktajl,

Całusy. Lauren

Lauren, co było do przewidzenia, zlekceważyła wszystkie trzy zaproszenia na święta. W ostatniej chwili postanowiła spędzić tydzień z Camille, piękną, trzydziestosiedmioletnią francuską księżną. Camille była szczęśliwą żoną bankiera, Qavide de Dordogne, który pozbawił ją dziewictwa w Palące Hotel w Gstaad, kiedy miała siedemnaście lat. „Nigdzie indziej bym tego nie zrobiła", zarzekała się później. Po sześciu tygodniach już byli małżeństwem, ich troje dzieci to już praktycznie dorośli. Prowadziła w Paryżu elegancki sklep z porcelaną i uwielbiała swatać swoich przyjaciół. Z pomocą Camille Lauren miała duże szanse wypełnić na alpejskich stokach ostatni punkt swojego Planu Zaliczeniowego.

— Mam nadzieję, że Camille pozna mnie z młodym księciem Monako — Lauren zwierzała się przyjaciółkom. — Nie uważacie, że Andrea Casiraghi doskonale się nadaje na Kochasia Numer Cztery? Biorę nawet pod uwagę możliwość poślubienia go. Przecież nie zrezygnowałabym z tytułu Lauren księżnej Monako.

Wczesnym wieczorem, zmęczeni, pojechaliśmy z Hunterem do chatki Camille, i jeśli mam być szczera, to po wyczerpującej podróży miałam niewielką ochotę na dłuższe spotkania towarzyskie. Postanowiliśmy wpaść tam tylko na chwilę, a potem zaraz wrócić do domku i zagrzebać się w ciepłym łóżku pod futrem. Domek Dordogne'ow został zbudowany w latach dwudziestych przez rodzinę Davide, usytuowany przy biegnącej stromo, ledwo widocznej górskiej dróżce.

W drzwiach powitała nas Camille. Niewysoka, w obszernych spodniach z tweedu, miała na sobie bluzkę z jasno niebieskiej satyny, odsłaniającą obiecująco

dekolt. Patrząc jak wspaniale była ubrana, zastanawiałam się, jak Francuzki to robią, że wyglądają elegancko i jednocześnie seksownie Konserwatywna i zarazem prowokująca, jak nowoczesna wersja Romy Schneider.

— *Bon soir*. Cmok, cmok, cmok — przywitała się serdecznie, klepiąc mnie po plecach i całując w oba policzki Ten sam ceremoniał powtórzyła, witając się z Hunterem. —Witajcie.

Salon miał wygięty łukowato sufit z ozdobnymi balkonikami, które prowadziły do sypialni. W domu było pełno gości z dziećmi, a wszyscy tłoczyli się przy kominku w oczekiwaniu na powitalne drinki. Gdy tylko przyszliśmy, pojawił się mąż Camille, Davide. Starannie ubrany, w białej koszuli, moleskinowvch spodniach, z nieodłącznym komputerem kieszonkowym w ręku wyglądał na stuprocentowego bankiera z Europy na wakacjach.

— *Vin chaud?* — zapytał.

— Hmm, *merci* — odpowiedział Hunter.

Davide napełnił kilka szklaneczek, rozsiedliśmy się na kanapach przy kominku.

— Lauren przyprowadziła ze sobą przyjaciółkę, Marci, ale ona jest do niczego — powiedziała Camille, na moment się nachmurzając.

— Dlaczego? — zapytałam, popijając wino, które było ciepłe i doskonałe w smaku.

— Marci nie ma na nią dobrego wpływu. Tylko by imprezowała, jak nastolatka. Mówiłam Lauren, że już się dość nabawiła. Powinna w końcu zdecydować się i wyjść za bogatego mężczyznę. Przyjaciele nie chcą widzieć, jak cierpi.

— Lauren wcale by tak znowu nie cierpiała, gdyby nie wyszła za kogoś bogatego — zauważył Hunter.

— Nikt tak nie cierpi jak bogata kobieta, która poślubia niebogatego mężczyznę...

— Sylvie! Hunter! — dobiegł nas głos z góry.

Spojrzeliśmy w stronę balkonu. Marci stała przechylona przez poręcz i zawzięcie do nas machała. Wyglądała zjawiskowo, ale też całkiem nieodpowiednio

jak na to miejsce i porę — ubrana w pomarańczową suknię koktajlową z aksamitu od Leli Rose, z ogromną jedwabną kryzą przy szyi. — Świetnie się tu bawimy — powiedziała. — Nie ma tu żywej duszy z Nowego Jorku, bo wszyscy pojechali do Antiguy, biedacy.

Wtedy zstąpiła Lauren, prowadzona przez wysokiego przystojnego młodzieńca, jeszcze nastolatka. Miał na sobie spodnie narciarskie, z odpiętymi szelkami, które zwisały nonszalancko. Grzywa jasnych włosów wchodziła mu do oczu, zasłaniając pół twarzy, co tylko dodawało mu wdzięku. Nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat.

— Poznajcie Henri — przedstawiła go Lauren, mrugając do nas. Miała na sobie wyblakłe sztruksowe spodnie i wielki kaszmirowy sweter. Robiła wrażenie niezwykle zrelaksowanej, w porównaniu z ostatnimi czasy. — O, *Glühwein !* Henri pozna mnie ze wszystkimi zebranymi tu małolatami.

— Zabraniam — sprzeciwiła się Camille.

— *Maman* — naburmuszył się Henri. Nalał Lauren i sobie *vin chaud*, po czym wyciągnął się leniwie w fotelu. Stamtąd spoglądał na Lauren wzrokiem pana i władcy, przygryzając jasny kosmyk swych włosów.

— Sylvie, chodź na górę, to zobaczysz mój nowy strój narciarski — zaproponowała Marci z wysokości balkonu

— Chętnie — zgodziłam się. — Hunter, wytrzymasz beze mnie pięć minut? — zapytałam męża.

— Może przeżyję, ale niech to będzie najwyżej pięć minut — przekomarzał się.

Poszłam na górę do Marci. Kiedy byłyśmy już w jej sypialni, zapytała:

— Co przygotowujecie na urodziny Huntera?

Racja! Urodziny Huntera! Przypadały w Wigilię, a ja o nich kompletnie zapomniałam. Poczułam się okropnie. Początkowo planowałam z grubsza urządzić jakieś party w Nowym Jorku, ale pomysł z wyjazdem w góry zupełnie wyparł te projekty.

— Może tutaj urządzę jakieś przyjęcie, które będzie niespodzianką — powiedziałam. — Nasza chatka doskonale się do tego nadaje.

— Byłoby fajnie. Pomogę ci — zaofiarowała się Marci. Do dwudziestego czwartego zostały jeszcze trzy dni, to powinno wystarczyć. Będzie fantastycznie. Już poznałam tu tylu nowych ludzi.

Martwiłam się o Marci. Była ożywiona, ale jakby sztucznie. Na pewno brakuje jej Christophera.

— Jak ci się podoba ta kurtka narciarska w kolorze wanilii? — zapytała Marci, demonstrując fragment ekwipunku narciarskiego, który kupiła w St. Moritz w Jet Set. Zmięła kurtkę w palcach. — Wewnątrz ma takie wypełnienie... Patrz, tu na kołnierzyku jest czerwona gwiazdka, znak rozpoznawczy Jet Set, a na spodniach od kompletu jest taka sama gwiazdka, w strategicznym miejscu, na dupci...

— Marci, wszystko dobrze u ciebie? Widziałaś się może z Christopherem?

— Jestem pewna, że w stroju Jet Set musiałam widzieć szwedzką księżniczkę Wiktorię. Tylko tutaj robią eleganckie rzeczy na narty. Nigdzie indziej nie dostaniesz butów na śnieg z futrem z szynszyli — trajkotała dalej, trzymając w ręku buty na futerku w kolorze pochmurnego nieba.

— Marci, co z tobą i Christopherem? — zapytałam całkiem serio.

— Sylvie, kochana jesteś, że się tym interesujesz, ale wszystko jest na dobrej drodze, powoli się układa...

— Co to znaczy: układa się?

— Zmieniłam zdanie co do rozwodu. Wystarczy popatrzeć na zdjęcia gwiazd, jak się kurczą z niedoli, kiedy zostają same. To mnie odrzuca. Uwierzysz, że próbuję teraz przytyć? Christopher mówi, że chce być znowu ze mną. Tak więc jesteśmy na etapie... negocjacji. Sophia się tym zajęła. Słodka jest, że wzięła na siebie rozmowy z nim i tak dalej.

— Sophia? — zdziwiłam się niemile, mając nadzieję, że Marci nie wyczuje mego braku entuzjazmu.

— Aha. Namówiła mnie, żebym to wzięła. Popatrz.

To mówiąc, wetknęła na nos ogromne okulary przeciwsłoneczne, w stylu Jackie O. Wyglądały nawet na większe niż te, które nosi Nicole Richie, o ile to w ogóle możliwe.

— Kupiłam w sklepie Hermesa na Place de l'Église. To jedyne okulary przeciwsłoneczne z filtrem w stylu Jackie. Można w nich jeździć na nartach. Widzisz w nich na pięć kilometrów. Czterysta pięćdziesiąt euro. Ale tak dobrze się w nich zjeżdża. Nie żałuję, że je kupiłam, wcale a wcale.

— Czterysta pięćdziesiąt euro to kupa pieniędzy jak na okulary przeciwsłoneczne.

— Jestem tego warta. — Nagle zdjęła z nosa okulary i popatrzyła na mnie z przebiegłym uśmieszkiem. — Coś ci powiem, ale nikomu nie powtarzaj. Sophia mówiła mi w sekrecie, że ma romans.

Uniosłam brwi.

— Sophia zawsze ma jakiś romans — powiedziałam siląc się na obojętny ton.

— Z żonatym mężczyzną. — Marci wróciła do okularów by teraz podziwiać w lustrze swoje odbicie. — Ona ma bezbłędny gust, prawda?

*

To nic, że nie potrafię jeździć na nartach, znów powtórzyłam do siebie, spoglądając z werandy domku na Alpy. Rzeczywiście, wyglądają równie świeżo i nieskazitelnie jak na nalepkach butelek z wodą Évian. Nie mogłam się doczekać, kiedy znajdę się w tej przejrzystej atmosferze.

— Zobaczysz, zakochasz się w górach — powiedziała Hélène instruktorka jazdy na nartach, którą wynajął Hunter. Miała dwadzieścia trzy lata, ciemne włosy i piegowatą cerę. Zjawiła się już o dziewiątej rano, ubrana w jaskrawożółtą kurtkę, jaką noszą instruktorzy, i chusteczkę na głowę we wzorek w truskawki.

— Taka jestem podekscytowana — przyznałam.

Umówiliśmy się, że potem spotkamy się z Hunterem, który z samego rana poszedł szusować na nieprzejeżdżonych terenach, w restauracji La P'tite Ravine, gdzie zjemy razem lunch.

Trzy godziny później, z szarpiącym bólem w nodze, ze skręconą kostką, mogłam tylko marzyć o zejściu ze stoku. Nie mogłam pojąć, dlaczego ludzie nazywają jazdę na nartach wakacjami. Byłam jak ten chłopiec z *Czekając na Joe*, który nieomal umarł, chodziło mi po głowie, gdy bezskutecznie próbowałam się poruszać do przodu. Dwa maluchy śmignęły koło mnie na swych dziecinnych

nartach. Jak one to zrobiły, dlaczego się przy tym śmiały? Czy nie wiedziały, że śmierć czyha na nie przy każdym skręcie?

O Boże, to straszne być mężatką, myślałam, czując w kostce przeszywający ból. Przecież tylko dlatego, że ma się męża, trzeba robić to, co on, i jechać z nim na narty, choć grozi to śmiercią lub kalectwem, podczas gdy mężczyźni wcale nie muszą robić tego, co ich żony, na przykład uczęszczać na zajęcia z gimnastyki pilâtes.

— Musimy iść — przypomniała mi Hélène. — Pani mąż czeka na nas, inaczej go nie znajdziemy.

— Nie mogę—jęknęłam żałośnie. Może miałam złamaną kostkę.

— To będziemy musiały zjechać na dół samochodem — powiedziała Hélène.

— Nie możemy tu zostać i zaczekać, aż... — Wybuchnęłam płaczem.

Nagle poczułam, że ktoś mnie kelpie po ramieniu. Odwróciłam się, choć kark miałam ścierpnięty, i zobaczyłam lustrzane szkła okularów Pierre'a, byłej sympatii Sophii z Paryża.

— Pierre — jęknęłam.

— O Boże, co się stało? — zapytał z troską w głosie.

— Ona nie może wstać — wyjaśniła Hélène z ciężkim westchnieniem.

— Boli cię?

— Tak. A jesteśmy umówieni z Hunterem na lunch w P'tite Ravine. Tymczasem nie mogę się ruszać.

Podniósł mnie z pomocą Hélène. Udało mi się stanąć na drżących nogach.

— Powinnaś iść do domu. A ja znajdę Huntera.

— Naprawdę? — ucieszyłam się.

Skinął głową. Trudno mi było zrozumieć, czemu Sophia zrezygnowała z takiego chłopaka dla żonatego mężczyzny.

— Przyjdź na urodziny Huntera do naszego domku — powiedziałam, biorąc się w garść. — Przypadają dwudziestego czwartego.

— Z przyjemnością — powiedział Pierre. — A teraz już idźcie.

*

Melania Trump cienko by przędła, gdyby jej powodzenie finansowe zależało od mieszkańców Megeve. Są tylko dwa dni w roku, kiedy można się tu wystroić: Boże Narodzenie i Nowy Rok. Poza tym obowiązuje ubiór dowolny i swobodny. Jak wkrótce miałam się o tym przekonać, na przyjęciach w Megeve najważniejszym sprzętem okazał się telefon komórkowy z wmontowanym aparatem fotograficznym. Kiedy w dniu urodzin Huntera salon zapełnił się gośćmi, wszyscy popijając szampana i pogryzając *raclette* pokazywali sobie ujęcia swoich skoków na średniej skoczni, zarejestrowane przez komórki. O dziesiątej wieczorem chatka była pełna gości, a Hunter wydawał się być bardzo zadowolony z przyjęcia. Brakowało tylko jednej osoby: Marci. Ciągle się nie pojawiała, a coraz to nowe osoby wypytywały, gdzie ona jest. Właśnie, gdzie się podziała Marci?

Zobaczyłam Camille i Eugenie, jej siedemnastoletnią córkę, oraz Lauren, wyciągniętą teraz na futrzanym dywaniku przed kominkiem, dłubiącą we *flocon de Megeve.* Może one będą wiedziały coś nowego o Marci. Podeszliśmy do nich z Hunterem.

— Mamy nawrót mody z lat osiemdziesiątych na buty „po nartach” — mówiła właśnie Camille. Paradowała w ogromnych i kosmatych białych botach. Wyglądała, jakby zanurzyła stopy w galaretce, która zastygając, oblepiła jej nogi.

— Mamo, one są trochę niemodne — sprzeciwiła się Eugenie, spoglądając na matkę jak na mniej udaną kuzynkę. — Młodsze pokolenie książąt Monako nosiło takie różowe i fioletowe buty „po nartach” rok temu, teraz nastała nioda na lata siedemdziesiąte.

To powiedziawszy, wstała i skierowała się w stronę swoich koleżanek, ubranych w obcisłe dżinsy, futrzane kamizelki i buty z minionych lat ze skóry źrebiąt lub brązowego zamszu. Wyglądały jak Ali MacGraw w *Colorado.*

— Świetna dziewczyna — powiedziałam, gdy odeszła. Usiadłam obok Camille.

— Prawda? — ucieszyła się Camille, popatrując czule na córkę. — Ale ty, Sylvie, musisz wpłynąć na swojąprzyjaciół- kę, by wyszła powtórnie za mąż.

— Nie jestem pewna, czy w obecnych okolicznościach mogę to zrobić. Mężowie zmuszają cię do takich rzeczy jak narty — zażartowałam.

— Racja, mężowie są okropni — wtrącił się Hunter, całując mnie czule w rękę.

Wszyscy się roześmiali. Moja kostka tak mi dokuczała, że następne popołudnia spędziłam w uzdrowisku Les Fermes de Marie na zabiegach fizjoterapii. A dziś wstąpiłam do butiku Hermesa, gdzie — podobnie jak przedtem Marci — teraz i mnie urzekły okulary Jackie O. Kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że Marci zaniżyła cenę, i to sporo; okulary kosztowały w rzeczywistości sześćset pięćdziesiąt euro, w myśl zasady Hermesa, że u niego wszystko powinno kosztować siedem razy więcej niż gdzie indziej. Ale okulary wyglądały bajecznie, więc uznałam, że przyczynią się do mojego szybszego powrotu do zdrowia, dlatego je kupiłam.

— Lauren — ciągnęła temat Camille — jesteś rozpuszczona. Jesteś bogata. Lubisz wspaniałe domy, podróże, powinnaś wyjść za jakiegoś starszego pana. Inaczej się zanudzisz...

— Camille, mnie małżeństwo nie interesuje. Starzy, bogaci faceci to nudziarze. Wyjątek mogłabym zrobić tylko dla Barry'ego Dillera — odpowiedziała żartem Lauren

Wzięła pod rękę Henri i westchnęła z udawanym zapałem. — Albo dla tego Henri, jest taki zabawny!

Pociągnęła go ku sobie, na co Camille zareagowała nieprzyjaznym pomrukiem.

— Camille, widziałaś gdzieś Marci? — zapytałam.

— Jest na kolacji z Pierre'em — odpowiedziała. — Potem mają się spotkać z Sophią D'Arlan i przyjść tutaj razem.

—Ale ja nie zapraszałam Sophii na dzisiaj — wpadłam jej w słowo zniecierpliwiona.

— Pierre nie przyjdzie bez Sophii — wyjaśniła Camille,

I właśnie wtedy zauważyłam Marci, jak przeciska się przez tłum na drugim końcu sali. Miała zaróżowione policzki od wieczornego chłodu i podniecenia. Za nią szedł Pierre, a następnie Sophia. Dlaczego ona zawsze musi kręcić się gdzieś w pobliżu? Gdzie tylko pojawił się Hunter, zaraz podążała za nim Sophia. Ale może przesadzałam. Może to przypadek, a ona przyszła z Pierre'em. W końcu

sama zaprosiłam tu Pierre'a. Jak się zresztą zaraz okazało, Sophia natychmiast zniknęła z nim w sypialni dla gości. I przez cały wieczór nikt już nie widział tych dwojga. Nawet nie musiałam się z nią witać tego wieczoru, co przyjęłam z wielką ulgą.

*

Święta w Megève przypominały scenerię z *Królowej Śniegu.* Nocna śnieżyca sprawiła, że cała wioska wyglądała, jakby ktoś unurzał ją w kremie Chantilly, a kościół pokrył beżową kopułą. Po nastrojowej mszy Hunter i ja kupiliśmy w rynku *chocolats chauds,* a następnie poszliśmy do domu, ky spędzić popołudnie w gorącej kąpieli.

Dziękuję za zorganizowanie mi urodzinowego przyjęcia, Sylvie — powiedział Hunter, kiedy siedzieliśmy zanurzeni w parującej wodzie. — Było cudownie i zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku.

.— Mnie też bardzo się podobało — przyznałam, obejmując go za szyję i całując. Wszystko było tu takie romantyczne i seksowne. — Jesteś najlepszym mężem...

W tym momencie usłyszałam pikanie mojego kieszonkowego komputera. Położyłam go wcześniej obok wanny, wiedząc, że moja rodzinka zechce wysłać dziś parę e-maili. Ostrożnie, by go nie zamoczyć, wzięłam komputer i zaczęłam na głos czytać.

Do: Sylvie@hotmail.com

Od: Lauren@LHB.com

Temat : uwodzenie nieletniego

Kochana Sylvie,

Henri jest taki porywczy i młodzieńczo - niezgrabny. Ten palancik jest kapitalny. Wydawało mu się, że się we mnie wczoraj zakochał, co może być trochę kłopotliwe dla jego mamy i taty. Ja się nie zakochałam, ale mogę wszystkim polecić pieszczoty z kimś, kto jest o połowę młodszy, przynajmniej raz w życiu.

Jeśli mam się pokusić o uogólnienia, co jak wiesz bardzo lubię, to o piętnastolatkach można bez pudła powiedzieć, że jedyne, o co im chodzi, to dym. . . , bo są tacy młodziutcy i niezepsuci, a poza tym nie wiedzą, co innego można by robić.

Wszystko się zaczęło w tańcu. Henri jest taki wysoki, że trzymał moje ręce wysoko nadraoją głową, aż się zorientowałam, co się dzieje, i zawołałam: „Przestań się gapić na moje piersi !" . Ale zaraz sobie pomyślałam, jakie to urocze, że tak go zaintrygował mój biust i że właściwie nie miał jsszcze okazji, by sobie go obejrzeć, i nie minęło wiele czasu, jak znaleźliśmy się na werandzie, leżąc na sobie. Po pięciu minutach chłopak już doszedł, po czym zaraz zemdlał. Właściwie mi to pochlebiło. Kiedy byłam w jego wieku, zawsze mdlałam w Studiu 54, kiedy najlepiej się bawiłam. Dzięki za wspaniałe przyjęcie. Numer Czwarty zaliczony!

— O Jezu — śmiał się Hunter. — A co z wielką miłością do Gilesa Montereya? Zapomniała o nim?

— Słuchaj tego — powiedziałam. Przeczytałam zakończenie jej e-maila.

Pewnie się ucieszysz na wieść, że zgrabny tyłeczek Henri zatarł nieco moje wspomnienie Pana Moskwiczanina i jego pięknych oczu. Jeśli wkrótce nie dostanę od niego wiadomości, to istnieje poważna szansa, że go zapomnę na dobre. A teraz pomyślmy o Numerze Pięć.

—Coś mi się wydaje, że on powinien się pospieszyć i zrobić następny krok — orzekł Hunter.

— Zapominasz, kochany, że on jest zaręczony — przypomniałam mu.

— To co. A teraz — dodał, przysuwając się do mnie — chyba powinniśmy zrobić dobry użytek z tej pięknej sypialni, jaka nam została dana.

Później wieczorem wylegiwaliśmy się przed kominkiem, gawędząc o reszcie naszego pobytu. Urlop mieliśmy idealny, pełen intymności i w ogóle. Camille miała rację. Powinnam zachęcić Lauren do małżeństwa. Bo tylko w ten sposób można osiągnąć podobne przeżycia.

— Może otwórzmy teraz prezenty — zaproponowałam tuż przed kolacją. — Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć swoje skarby.

— Ojej, kotku, nie obiecuj sobie za wiele. Mój prezent jest bardzo skromny.

Jakie to miłe ze strony Huntera udawać, że go to mało interesuje. Nie mogłam się doczekać naszyjnika. Podczas gdy Hunter zniknął w gościnnej sypialni, gdzie trzymał prezenty, ja poszłam po swój, który schowałam pod naszym łóżkiem. Zapakowałam dwie książki i nasze zdjęcie z Paryża, oprawione i wygrawero-

wane. Wróciłam do salonu i czekałam.

Położyłam prezent przed Hunterem, który usiadł po turec- ku na dywaniku przed kominkiem, on zaś postawił obok mnie nieduże pudełeczko w kształcie sześcianu, zawinięte w lśniący czerwony papier ze srebrną kokardą. O tak, to mogło być tylko pudełeczko z biżuterią.

— Najpierw ty otwórz prezent ode mnie —powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie.

— Och, jakie to wspaniałe — rzekł Hunter na widok fotografii. Pocałował mnie w usta. — Wzruszyłem się A teraz ty otwórz swój prezent.

Wręczył mi pudełeczko. Wyglądał na lekko stremowanego To dobrze. Powinien być niepewny, czy spodoba mi się wybrana przez niego biżuteria. Zaczęłam zdejmować opakowanie. Spod warstw papieru ukazało się następne pudełeczko z czarnej skórki.

— Och — westchnęłam, spoglądając na Huntera.

Przełknął ślinę, podenerwowany. Było to ujmujące. Uniosłam pokrywkę wyłożoną wewnątrz aksamitem, dalej znajdowało się jeszcze kilka warstw białej bibułki.

— Kochanie, taka jestem przejęta... — powiedziałam, odsuwając bibułkę. Na spodzie coś połyskiwało. Wyjęłam I zobaczyłam...

Usiłowałam nadać swemu głosowi ekstatyczny ton.

— Pomyślałem sobie, że spodobają ci się wygrawerowane na nim różyczki — powiedział Hunter. Wyglądał na zmieszanego. Może zauważył mój zawód.

Nie chciałam, żeby mu było przykro, więc wyciskając pocałunek na czubku jego nosa, dodałam z udawaną radością:

— Są takie... romantyczne... na tym kółeczku.

O Boże, a gdzie jest mój naszyjnik?

— Nie doprowadzaj do konfrontacji — radziła mi Lauren. — To jeszcze nie jest niezbity dowód niewierności.

— Niewierności — powtórzyłam ze zgrozą. To słowo zupełnie wytrąciło mnie

z równowagi.

— Niezbitym dowodem zdrady mogą być znalezione majtki, które nie należą do ciebie. A nieotrzymanie biżuterii, jakiej się spodziewałaś, dla sądu nie byłoby przekonującym dowodem. Może on po prostu zapomniał o naszyjniku.

Z Lauren spotkałam się nazajutrz na lunchu na tarasie hotelu L'Idéal. Słońce przygrzewało tak mocno, że narciarze siedzący nad talerzami *peli* rozebrali się do podkoszulków. Prawdę mówiąc, nie było to idealne miejsce na tego typu rozmowy, bo wszyscy z całego Megève schodzili się tu na lunch, jeżeli tylko mogli zdobyć wolny stolik.

— Lauren, ciszej — mitygowałam ją, rozglądając się wokół z niepokojem. Nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. — Wiesz, co zamierzam zrobić...

W tej samej chwili, załóżmy, że był to czysty zbieg okoliczności, w drugim końcu tarasu pojawiła się Sophia, ubrana w kremowy strój narciarski. Kiedy schyliła się, by poluzować zapięcie butów, zauważyłam czerwoną gwiazdkę na jej pupie. Kupiła więc identyczny komplet co Marci. Zdjęła kurtkę i owinęła ją wokół bioder. Pod spodem ukazała się cienka różowa bluzeczka, odsłaniająca jej piękną opaleniznę. Gdy już miała siadać, od sąsiedniego stolika rozległo się wołanie siedzącej tam szóstki Francuzów.

— Sophia! *Viens nous voir!* — zapraszali ją. Sophia pomachała i skierowała się w ich stronę.

— O Boże, ona idzie w naszą stronę — spanikowałam.

— Spokojnie, powiedz jej „cześć", możesz okazać jej nawet nadmiar przyjaźni — poradziła mi Lauren. — Jak się masz, Sophia — zawołała głośno.

Sophia odwróciła się i wtedy nas zobaczyła. Podeszła z uśmiechem do naszego stolika.

— Cześć, Lauren. Cześć, Sylvie — przywitała nas. — Wielkie dzięki za ostatni wieczór. Pierre'owi bardzo się podobało... Świetne miejsce... Słyszałam, że Eugenie zrobiła striptiz w waszej wannie...

Coś przykuło moją uwagę. Jeżeli mnie wzrok nie mylił to tuż nad piersiami Sophii kołysał się wisiorek. Za każdym jej poruszeniem widziałam, jak odbijał się na tle jej opalonej skóry. Naszyjnik składał się z platynowego łańcuszka i sporego

kamienia. Bez wątpienia otaczała go literka S wysadzana brylancikami. Piękna robota. To niemożliwe, pomyślałam sobie. Spojrzałam raz jeszcze, tym razem Sophia pochwyciła mój wzrok. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Chcesz zobaczyć prezent, który dostałam pod choinkę? — Kiedy raczyła nas jeszcze szczegółowym opisem z wyskoków Eugenie, obracała jednocześnie naszyjnik w palcach, a w końcu włożyła go do ust i zaczęła ssać. Czy to nie było jawne szyderstwo?

Z nadzieją, że zdołam ukryć widoczny w moich oczach żal, chwyciłam leżące na blacie nowe okulary włożyłam je na nos. Przez polaryzujące szkła jeszcze wyraźniej ujrzałam rysunek naszyjnika. Tak jak się obawiałam, był identyczny z tym, który widziałam na rysunku S.J. Phillipsa. Jakże wtedy pożałowałam, że kupiłam te okulary za sześćset pięćdziesiąt euro.

TLR

18

DOLINA LALEK, CIĄG DALSZY

— Boże wielki, Sylvie, kiedy ty ostatni raz jadłaś? — lamentowała Tinsley. — Wyglądasz, jakby cię z więzienia wypuszczono.

Tinsley nie przeszkadzało to, że wykrzykuje na prywatnym pokazie filmu w Soho House, bo w Nowym Jorku wszyscy tak się zachowują. Uważne oglądanie filmów na takich pokazach nie uchodzi za coś wyszukanego. Wszyscy znacznie bardziej interesują się tym, w co kto jest ubrany, nawet jeśli w sali panuje mrok.

— Jestem po prostu zmęczona, cicho bądź, Tinsley — odpowiedziałam szeptem, wskazując wymownie na ekran.

Prawdę mówiąc, prawie nie spałam po naszym powrocie z Megève. Ostatnie dni stały się dla mnie koszmarem. Podczas gdy Hunter miał coraz lepsze samopoczucie, ja ukrywałam się za tymi strasznymi okularami. Byłam absolutnie zdruzgotana tym, co zaszło wtedy w L'Idèal, ale wolałam zaczekać, aż wrócimy do domu, by zastanowić się, co począć. Lot powrotny bardzo mnie męczył, kiedy więc w końcu dotarliśmy do Nowego Jorku, czułam się tak zmordowana, że wyglądem musiałam przypominać narzeczoną Frankensteina.

Tego wieczoru, w pierwszych dniach stycznia, Thack był gospodarzem pierwszej projekcji filmu *Kobiety*. Była to komedia o rozwódkach, czyli ostatnia rzecz, jaką miałabym ochotę oglądać. Nie mogłam jednak się od tego wykręcić. Dla Thacka było to wielkie wydarzenie, chciałam więc przyjść w ostatniej chwili, kiedy światła już zgasną, i usiąść gdzieś w kąciku, gdzie nikt by nie zwrócił uwagi na mój wygląd. Niestety, jedynym wolnym miejscem okazał się skórzany fotel z tyłu sali. Po prawej stronie siedziała Tinsley, po lewej — Marci. Phoebe zajęła miejsce nieopodal.

— Martwisz się? — zapytała Tinsley teatralnym szeptem, tak że wszyscy ją mogli usłyszeć.

Skinęłam głową. Wtedy Phoebe wychyliła się zza pleców Marci i powiedziała:

— Weź xanax. Zawsze to biorę w takich sytuacjach i mi pomaga. Spróbuj i ty.

— Moim zdaniem atavan jest lepszy na zmartwienia — orzekła Marci. — Spójrz na mnie. Sytuacja jest fatalna, ale ja czuję się świetnie.

— Raz wzięłam ambien, a potem następnego dnia valium — opowiadała Tinsley. — W ten sposób nie uzależniasz się od żadnego z nich. — Na jej twarzy malował się zachwyt, jakby właśnie wyjawiła nam tajemnicę życia.

Wtedy ruda dziewczyna siedząca w przednim rzędzie odwróciła się do nas i powiedziała rzeczowym tonem:

— Jeśli nie możesz spać, nie bierz ambienu. Działa jak budzik. Po czterech godzinach będziesz wybudzona. Ja przed pójściem do łóżka liżę tabletkę remeronu. To najsilniejszy lek antydepresyjny, jaki obecnie znajduje się na rynku. Jedno liźnięcie i jesteś wyłączona na dwanaście godzin.

— Kiedy weźmiesz atavan, poczujesz się jak zawinięta w całun miłości — wyznała Marci. Śmiała się przy tym do rozpuku, a jej oczy rozbłysły niezwykłym blaskiem.

Czy wszyscy w Nowym Jorku byli na prochach, zastanawiałam się ze grozą. Czy to dlatego Phoebe zawsze jest taka dziarska? Jak inaczej można pogodzić opiekę nad trójką dzieci z aktywnością zawodową? Kate Spade pewnie też jest na prochach, pomyślałam, zawsze pełna wigoru, nawet jej fiyzura zdaje się nie poddawać prawom grawitacji. W gruncie rzeczy wszystkie nowojorskie żony powinny wyglądać jak narzeczone Frankensteina. Czułam się tak zmęczona, że bolały mnie nawet włosy. Czy inni też tak się czują? A może lekarstwa załatwiają te sprawy? Miałam wrażenie, że dostałam się na karty *Doliny Lalek.*

*

Po skończonej projekcji wymknęłam się pospiesznie do szatni i szybko otuliłam futrem. Na zewnątrz było zimno. Miałam nadzieję, że uda mi się wymknąć niepostrzeżenie.

— Sylvie, czy to ty, czy yeti?

To była Marci. Jęknęłam w duchu.

— Ja — mruknęłam, mijając Marci i kierując się w stronę windy. — Muszę już iść.

— Zaczekaj — powstrzymała mnie. Potem popatrzyła na mnie z dziwnym

wyrazem twarzy. To mnie zaniepokoiło. — Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć.

— Co takiego? — zapytałam.

Marci rozejrzała się podejrzliwie wokół. Nikt jeszcze nie wyszedł z sali projekcyjnej.

— Nie znoszę przekazywać złych wieści, ale... to Hunter... to on.

— O czym ty mówisz?

—Żonaty mężczyzna Sophii. To twój mąż. Ona mówi, że on ją kocha do szaleństwa, tak jak dawniej, w Dalton.

Popatrzyłam na nią niedowierzająco. Co ona opowiada?

—Skąd wiesz? — wychrypiałam. Mogłam już tylko szeptać łamiącym się głosem.

Marci wbiła wzrok w podłogę, jakby podziwiając rysunek stokrotek na dywanie w Soho House, a potem znów popatrzyła na mnie.

—Tak mi przykro, nie masz pojęcia. Sophia u mnie spała. Posłyszałam jej rozmowę telefoniczną.

—Ale co dokładnie powiedziała? — próbowałam wyciągnąć z Marci szczegóły.

—Coś na temat biżuterii, którą od niego dostała, a potem że razem odchodzą.

—Odchodzą? Dokąd? — Z wrażenia nie mogłam złapać tchu.

—Nie wiem, ale jestem na nią wściekła... żeby tak się zachowywać. Po tym, jak jej pożyczyłam, co było z mojej strony aktem wielkiej hojności, mój komplet narciarski z Jet Set z czerwoną gwiazdką. Tylko Athina Roussel ma drugi taki komplet, nikt więcej. Sylwetka wygląda w nim, jakbyś była Giselle. Poświęciłam to wszystko dla Sophii, a teraz ona mi odpłaca czymś takim... Żeby zabierać mężów moim najlepszym przyjaciółkom, kiedy ja jej zaufałam. Możesz sobie wyobrazić coś podobnego?

Spojrzałam na Marci przerażona.

—Widzisz? Mnie też odjęło mowę. Żeby tak kogoś potraktować po tym, jak się pożyczyło świętego Graala śnieżnego wyglądu.

— No dobra — przerwałam. — I tak powinnam już iść jo domu. Muszę się zastanowić... Czyja wiem... — Zbierałam się do wyjścia.

—- Poczekaj, mam coś dla ciebie — zawołała Marci, chwytając mnie za ramię. — Nie myśl sobie, że jestem dealerem narkotyków czy coś w tym rodzaju, ale to dla ciebie.

Usiłowała wetknąć mi zawiniętą w białą chusteczkę tabletkę. Zacisnęłam dłoń w pięść, nie chcąc tego przyjąć.

— No wiesz, Marci!

— To klonopin. Nic takiego. Mówi się też na to gejowskie valium. Na wszelki wypadek.

— Marci, ja nie biorę prochów — broniłam się.

— Kochanie, daj spokój. Każdy w Nowym Jorku bierze, na okrągło — nalegała szeptem Marci, ciągnąc mnie w ciemny kąt. — To nie jest żaden botox, który wygładzi ci zmarszczki, to lekarstwo na nerwicę.

— Idziecie na górę? — zapytała śpiewnie Phoebe zza naszych pleców. — Mamy stolik przy oknie...

Nie zwracając uwagi na Phoebe, rzuciłam się do zapasowego wyjścia, a stamtąd do schodów przeciwpożarowych. W głębi duszy byłam teraz zadowolona, że dostałam od Marci ten jej klonopin, bo jak się przeżywa załamanie, to nie ma nic złego w tym, by się otulić całunem nasyconym chemiczną miłością.

*

— Uwierzysz, że Henri przysłał mi lamę? I co ja zrobię z tą lamą? Ona tu umrze z tęsknoty za domem. Z kolei Juan bez przerwy przesyła faksem zdjęcia swojego ogiera, którego przeznaczył dla mnie. Trzyma go na pastwisku w Hiszpanii. Mam już tego dość. — Lauren ciężko westchnęła, sugerując w ten sposób głęboką frustrację. — Wygląda na to, że rozwódki dostają lepsze prezenty od mężatek. Pan Pięć Orgazmów przesłał mi płaszcz od Yves Saint Laurenta z lamówką futra z norek. — Lauren bawiła się koloratką z ponadwymiarowych pereł, złota i turkusów, leżącą płasko na jej szyi, jakby sprawdzając, czy jeszcze tam jest. Kamienie były tak wielkie i szlifowane w tak oryginalne wzory, że nasunęły mi skojarzenie z rysunkami Picassa. — Tony Duquette — wyjaśniła Lauren — To

prezent, który sobie zrobiłam za Uwiedzenie Nieletniego i Pieszczoty z Grubą Rybą. Muszę się pocieszać po tym, co zrobił mi Sanford. Jak ci się podoba?

— Niesamowity — powiedziałam, starając się, by ton mojego głosu brzmiał odpowiednio entuzjastycznie.

— Czy nie uważasz, że wyglądam jak Elizabeth Taylor, nosząc ten naszyjnik do koronkowej sukni? Chcesz pożyczyć? W każdej chwili dam ci ponosić, wystarczy tylko słowo.

Ja i Lauren siedziałyśmy w podwójnej kabinie na pedikiu- rze w następny wieczór po pokazie filmowym w Soho House. Opowiedziałam jej o tym, co Marci mi doniosła, i teraz, jak sądzę, Lauren chciała mnie trochę pocieszyć. Wróciłam wtedy do domu, widziałam się z Hunterem i udawałam, że nic się nie stało. Musiałam mieć czas do namysłu, jak dalej postępować. Gdy Hunter zapytał mnie, dlaczego wyglądam na tak zmęczoną, skłamałam, że wyczerpały mnie przygotowania do przymiarek na zimowy bal Alixe, który miał się odbyć za parę dni. Tymczasem zamartwiałam się przez całą noc, obsesyjnie rozpamiętując całą sytuację i zadręczając się nieuniknioną konfrontacją z Hunterem. Dziwne, ale był wobec mnie tak samo czuły jak przedtem, co tylko pogarszało moje samopoczucie. Bo w gruncie rzeczy przecież go kochałam.

Nie rozumiem, dlaczego tak mi nadskakuje. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu i on zauważył, że jestem zmarznięta, zaraz mi przyrządził herbatę imbirową. Dlaczego to robi, skoro spotyka się z Sophią? Kocham go, naprawdę go uwielbiam — powiedziałam bezradnie.

— Nie daj się zwieść — rzekła ponuro Lauren. — Mężowie już tacy są; jeśli mają coś na sumieniu, nadrabiają udawaną troskliwością i serdecznością.

— Może powinnaś mnie skontaktować ze swoim prawnikiem od rozwodów — powiedziałam.

— Jeszcze nie teraz. Nie powinnaś rozmawiać z prawnikami, zanim nie wyjaśnisz wszystkiego z własnym mężem — podsumowała Lauren, zmieniając taktykę.

— Ale...

— Może wcale nie musi dojść do rozwodu — przerwała mi Lauren. — Rozwód to przereklamowana sprawa. Niewykluczone, że Marci popełnia błąd.

— Ale ty, Lauren, korzystasz teraz z życia. A ja tylko się zamartwiam. Ja też chcę znów się cieszyć.

— Powinnaś najpierw posłuchać, co Hunter ma do powiedzenia. Nadszedł czas zapytać go o to. Zrób to dziś wieczorem — odpowiedziała Lauren. — Zdarza się, że czasem mężowie wyznają prawdę.

Chyba wszystko zepsuję, pomyślałam ponuro, wracając do domu po pedikiurze. Hunter na parę tygodni naprzód zarezerwował bilety na koncert piosenek Earthy Kitt. Kiedy mi o tym powiedział, uznałam, że to będzie bardzo romantyczny wieczór. Mieliśmy się spotkać na miejscu o ósmej wieczorem. Gdy wkładałam czarną aksamitną sukienkę, odzwierciedlającą mój nastrój, zastanawiałam się jeszcze, czyby nie odłożyć tej rozmowy na inny dzień. A może lepiej byłoby mieć to już za sobą? Nie potrafiłam dłużej udawać że nic się nie stało, tylko dlatego, że akurat robimy coś czego lepiej nie psuć. Jadąc taksówką na spotkanie z Hunterem, próbowałam się przygotować na to, co miało się wkrótce zdarzyć, czyli przejście przez piekło, ale jeśli z nim nie porozmawiam, to przecież piekło i tak mnie nie minie, a to będzie jeszcze gorsze.

Kiedy pojawiłam się w Carlyle, Hunter już siedział przy zamówionym stoliku, a na mnie czekała lampka szampana, którą wychyliłam duszkiem. Mimo przygnębienia dostrzegłam przyjemną atmosferę, jaka tu panowała, wnętrze było eleganckie, ale przytulne, co stanowiło miły kontrast ze styczniową pogodą panującą na zewnątrz.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — zapytał Hunter, od razu odgadując mój nastrój.

— Właściwie to nie — powiedziałam, spuszczając oczy. Czy powinnam zrobić to teraz? A może powinniśmy najpierw złożyć zamówienie? O Boże, Boże.

— Wydaje mi się, że mogę cię rozweselić...

— Nie sądzę — odpowiedziałam ze smutkiem. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam: — Hunter, ja...

W tym momencie Hunter położył na moim talerzu małe pudełeczko z czerwonego zamszu. Na wieczku widniał napis: S.J. Phillips. Patrzyłam na nie zdumiona. Co to ma znaczyć?

— Nie otworzysz, kochanie? — zachęcił mnie Hunter. Na jego twarzy pojawił

się szeroki uśmiech.

Ostrożnie uniosłam wieczko. Na jasnoniebieskiej satynowej poduszeczce umoszczony był wisiorek, taki sam jak na znanym mi rysunku. Wyjątkowej urody ametyst jaśniał pysznym, jakby emanującym od środka blaskiem, a otaczające go rauciki połyskiwały niczym cała galaktyka gwiazd.

To taki romantyczny prezent. Ale... czy taki sam wisiorek widziałam u Sophii? Niemożliwe! W takim razie jednak dlaczego Hunter nie dał mi go pod choinkę? Czy powinnam powiedzieć coś na ten temat czy to przemilczeć? Może Marci się pomyliła... O Boże, naprawdę nie wiem, co robić.

— Nie podoba ci się? — zapytał Hunter ze zmartwioną miną.

— Ależ tak, jest... fantastyczny — odpowiedziałam. — Naprawdę kunsztowna robota.

— Zamierzałem dać ci go na święta, ale zapięcie nie działało jak należy i musieli to poprawić.

Mówił prawdę? Zatem Sophia dostała go najpierw. Wszystko to było takie zagadkowe.

— Nie przymierzysz?

Wyjęłam naszyjnik z pudełeczka i założyłam na szyję. Odwróciłam się, by zobaczyć swoje odbicie w lustrze za moimi plecami. Ametyst znajdował się dokładnie w tym miejscu, w którym powinien, trochę poniżej obojczyków. Chciałabym go założyć na bal u Alixe.

— Hunter, on jest piękny, ale...

— Grrr... — właśnie zaczęła Eartha Kitt.

Hunter wstał ze swojego miejsca, by usiąść obok mnie na ławeczce. Otoczył mnie ramieniem i pocałował. To na pewno nie był stosowny moment do wytaczania oskarżeń. Chyba je odłożę na później.

*

Kiedy opowiedziałam Marci i Lauren, co się wydarzyło, były równie zdziwione jak ja. Następnego ranka jadłyśmy razem śniadanie u Jacka na West Tenth Street.

— Ale ja widziałam Sophię wczoraj wieczorem u Alixe. I ona miała na sobie ten wisiorek — powiedziała Marci.

— Nie — wzdrygnęłam się, nie mogąc ukryć niepokoju. — To niemożliwe. No popatrz — dodałam pokazując ametyst, który nadal wisiał na mojej szyi.

— Dokładnie taki sam, jaki ona miała — orzekła Marci. — Bardzo to dziwne. Bardzo.

— Marci, musisz dowiedzieć się, co to wszystko znaczy — poleciła Lauren. — Zadzwoń do Sophii. I to teraz.

Marci wstała od stołu, by znaleźć spokojne miejsce, gdzie mogłaby swobodnie porozmawiać. Obserwowałyśmy ją pilnie, gdy wybierała numer Sophii. Parę sekund później Marci dała nam znak, że już z nią rozmawia, po czym szeptały przez następne pięć minut. Tak się denerwowałam, że poczułam wyraźnie ból pulsujący nad moim lewym okiem.

Wreszcie skończyła rozmowę i wróciła do stolika. Miała zakłopotaną minę.

— No i co? Mów — rozkazała władczo Lauren.

— No więc... ona powiedziała — Marci była wyraźnie zmieszana. Przyłożyła do czoła dłoń, jakby w ten sposób chciała skupić się nad trudnym równaniem algebraicznym. W końcu była gotowa. — OK, to było tak. Powiedziałam Sophii, że bardzo mi się podobał naszyjnik, który miała wczoraj. Zapytałam ją więc, skąd go ma. Powiedziała: „On mi go dał”. Chyba tak to ujęła. A może...

— Wykrztuśże wreszcie — ponagliła ją Lauren.

— Nie stresuj mnie — broniła się Marci. — Próbuję dokładnie wszystko przytoczyć.

Wciągnęłam powietrze do płuc i wstrzymałam oddech.

— Więc powiedziałam Sophii: „on dał swojej żonie taki sam naszyjnik”. Na co ona, że musiał, skoro żona widziała u niej ten naszyjnik w Megeve. Jej się wydaje, że ty o niczym nie masz pojęcia, i mówi, że jest jej ciebie żal. Kazała mi obiecać, że tego nie powtórzę, ale że naszyjnik od samego początku miał być dla niej.

— Nie mogę w to uwierzyć — szepnęłam. — Skąd masz pewność, że to

prawda?

Marci popatrzyła ponuro.

— Ponieważ, moja kochana, Sophia pojechała z nim po ten naszyjnik. Poszli razem do sklepu jubilerskiego... zaraz, gdzie to było? W Rzymie. Nie, nie, w Londynie, tak, w Londynie! Tę jubilerską firmę lubi królowa angielska...

— Daj sobie spokój z tą królową — zirytowała się Lauren. — Co dalej?

— Powiedziała, że on od ciebie odchodzi dla niej, że Hunter kochał się w niej jeszcze w szkole średniej i że trudno ci współzawodniczyć z nią, skoro znałaś go tylko dwa miesiące... A może wspomniała o sześciu miesiącach? — Marci zamilkła, jakby zgubiła wątek. Ale zaraz podjęła: — Czy coś w tym rodzaju. Nie pamiętam dosłownie, co mówiła. Tak mi przykro, Sylvie. Nie wiem też, jak mam od niej wyciągnąć z powrotem mój strój narciarski Jet Set, bo nie zamierzam więcej z nią rozmawiać.

Poczułam, że robi mi się słabo. Lauren jeszcze zapytała:

— Czy powiedziała coś jeszcze?

—Tak, zapytała mnie, czy widziałam już stronę szóstą z notką o niej i Hunterze.

Lauren zamilkła. Ja byłam w szoku. Tylko Marci nieoczekiwanie porwała z sąsiedniego stolika porzucony egzemplarz „New York Post". Otworzyła na wskazanej stronie szóstej. Pochyliłyśmy się wszystkie nad gazetą. Pod niewielkim nagłówkiem; „Czyj mąż..." znalazło się rozwinięcie pytania: „...lubi dawać ten sam klejnot swojej żonie i kochankom?".

— Kochankom! — wykrzyknęłam. — To jest ich więcej niż jedna? O Boże!

— Sylvie, to ty musisz być tą stroną, która odchodzi — powiedziała z mocą Lauren. — Nie pozwól, żeby on cię zostawił. Lepiej być tą, która odchodzi, niż tą opuszczoną, to sprawa honoru.

— Zgadzam się — powiedziała Marci. — Ja sama poczułam się dobrze, kiedy mogłam dać kopa Christopherowi. Naprawdę dobrze. Patrz, jaka teraz jestem szczęśliwa.

— Przestań, Marci — zmitygowała ją Lauren. — Teraz powinnyśmy odwieźć

Sylvie do hotelu. Nie możesz rozmawiać z Hunterem przez co najmniej następny tydzień. Zastanów się nad swoim odejściem. Spotkaj się z nim, kiedy opadną trochę twoje emocje. A potem zacznij myśleć o rozwodzie.

Mogłam tylko, z oczami pełnymi łez, bełkotliwie wyrazić na to zgodę.

*

– Jezu, jesteś blada jak ściana — zatroskała się Lauren, gdy mnie zobaczyła. — Masz cerę tego samego koloru co farba Limewash, którą wszyscy sprowadzają teraz z Londynu. Pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić, kiedy rozstaniesz się z mężem, to zafundować sobie nielegalną kurację witaminową od doktora Bo Morgana. A wiesz, jakiego kopa dostaje się po zakupie futerka? To jest znacznie lepsze niż to, co teraz przeżywasz. A jak wpływa na cerę! Będziesz wyglądać jak Sophie Dahl. Już do niego dzwonię — dodała, wyciągając komórkę i wybierając numer.

Pucci Suite w hotelu St. Regis na East Fifty-fifth Street nie jest wymarzonym miejscem dla dziewczyny o cerze przezroczystej z żalu. To miejsce odpowiednie dla bogatych i beztroskich opalonych Włochów, w wieku do dwudziestu pięciu lat, jak siostry Brandolini, które widuje się wszędzie, gdzie tylko zwrócić wzrok.

Ściany salonu wychodzącego wprost na Fifth Avenue wyłożone są słynnym wściekle różowym jedwabiem Venus. Nawet kolejna pastylka klonopinu od Marci nie utuliła mnie od snu. Wyglądałam już nie jak narzeczona Frankensteina, ale byłam nawet bledsza od bohaterki *Klątwy*.

Wyjście z domu z podręczna torbą przed pow'rotem Huntera nie nastręczało pod względem logistycznym większych trudności. Emocjonalnie jednak kosztowało mnie to bardzo wiele. Gdy wymykałam się z domu, mając nadzieję, że portier nie zauważy mojej zapakowanej torby i śladów łez na policzkach, czułam się jak ktoś cierpiący na nieuleczalną chorobę. W miarę upływu czasu dostawałam coraz więcej SMS-ów od Huntera, zaniepokojonego moją nieobecnością, z pytaniem, kiedy wrócę do domu. Nie zadzwoniłam jednak do niego. Czułam się okropnie winna, ale uznałam, że Laursn ma rację i że nie powinnam rozmawiać z Hunterem, dopóki się nie uspokoję. Ale jakże można się uspokoić po tym wszystkim, zadawałam sobie to pytanie, rozpakowując rzeczy w pokoju hotelowym. Jak uda mi się wymazać z pamięci Sophię i jej naszyjnik? Czyżbym do tego stopnia nie znała Huntera? Czyż Phoebe nie powiedziała kiedyś, że z niego

był niezły zawodnik? Jedyna rzecz, która do mnie dotarła tego wieczoru, to film *Prawdziwa hollywoodzka historia bliźniaczek Barbi.* Nocne programy w telewizji ustawiają różne sprawy we właściwej perspektywie — może byłam o krok od rozwodu, ale przynajmniej nie byłam siostrą aktorki porno cierpiącą na bulimię i za to powinnam być wdzięczna losowi.

— Taka jestem rozgorączkowana — zwierzyłam się Lau-ren. Leżałam na obitej cytrynowym lnem kanapie w hotelowym salonie. Czułam się jak pijana. Całe moje ciało pulsowało od emocjonalnych uniesień. Byłam jednocześnie wściekła i przybita. A najważniejsze: nie wiedziałam, co z tym wszystkim począć.

—Najpierw zjesz śniadanie, następnie przyjdzie Bo i da ci zastrzyk, a potem pójdziesz do biura, jak co dzień — odpowiedziała Lauren, dzwoniąc do hotelowej restauracji. — Dwie porcje jajecznicy i sałatki owocowej... Nie, z żółtkami, do tego tosty w stojakach na tosty... Dziękuję, to wszystko. — Stanęła nade mną. — Znalezienie srebrnych stojaków na tosty w hotelu graniczy z cudem; z równym powodzeniem można by szukać demokraty w Teksasie.

—Chyba zadzwonię do Huntera — powiedziałam. — Na pewno odchodzi od zmysłów.

—W żadnym razie. Sprowadzę ci prawnika, który będzie obecny przy rozmowie — upierała się Lauren.

—Czy nie powinnam dowiedzieć się. co właściwie zaszło?

Lauren pominęła milczeniem moje pytanie i zarządziła:

— Powinnaś wstać i zacząć szykować się do wyjścia.

—Nie mogę iść do pracy — sprzeciwiłam się. W stanie takiego wyczerpania nerwowego nie nadawałam się do pracy.

—Sylvie, tuziny dziewczyn udają się dziś na przymiarkę przed balem Alixe. Musisz tam być. Zwłaszcza przy mojej przymiarce.

Lauren trafiła w sedno. Znaczący bal u Alixe stał się równocześnie pokazem mody. Poza tym należało przypilnować sukni dla Niny na zbliżającą się premierę jej filmu. Premiera *Fatalnej blondynki* miała się odbyć dziś wieczorem i choć Nina dostała cztery suknie, mogła jeszcze w ostatniej chwili zwrócić się z prośbą o coś zupełnie innego.

—Nie mogę. Thack będzie musiał sam sobie dać z tym radę. Masz jeszcze te tabletki klonopinu?

— Czekaj! — wykrzyknęła podekscytowana. — Mam lepszy pomysł. Sprowadzimy tu Thacka i niech przymiarki odbywają się tutaj. Przecież jesteśmy w najlepszym apartamencie hotelowym w Nowym Jorku. Wszyscy będą myśleli, że Thack jest taki wytworny... — To mówiąc, wręczyła mi dwie pastylki. — Weź to i popij — zarządziła.

*

— Ja nie mogę! — zawołała Marci. — To mi się podoba. Czuję się w tym jak C.Z. Guest. — Miała na sobie jasnocyt- rynową długą i prostą suknię z koronki, która u jej stóp wydymała się w wielką kulę. Z uwagą przyglądała się swemu odbiciu w lustrze w złoconych ramach, wiszącym nad kominkiem, podczas gdy ja upinałam plisę na dole. — Wyglądam jak... Palm Beach w dobrym znaczeniu tych słów. — Następnie dodała cicho: — Sylvie, dobrze się czujesz?

Potrząsnęłam przecząco głową i upinałam dalej.

— Lauren załatwiła mi nielegalną kroplówkę z witamin. Czuję, jakby krew we mnie wrzała — powiedziałam.

Wspomniany doktor Bo Morgan przyszedł do hotelu o dziewiątej rano ubrany jak gwiazdor: w dżinsach marki Paper Denim & Cloth i białej koszuli tak mocno wykroch- malonej, że szeleściła przy każdym jego ruchu. Z walizeczki Goyarda wyciągnął kroplówkę i butelkę z etykietą: Pirateum. Kiedy podłączył mnie do kroplówki i płyn zaczął spływać od moich żył, rozgadał się o swoich klientkach rekrutujących się z artystycznych sfer. W ogóle nie przypominał lekarza. Kiedy powiedziałam mu, że wygląda bardzo młodo, odrzekł z uśmiechem:

— Bo stosuję się do własnych rad.

— Ach, Bo! Uwielbiam go! — entuzjazmowała się Marci. — Czy powiedział ci, że twój system odpornościowy jest w rozsypce?

— Tak, oraz że mój system nerwowy odpowiedzialny za wydzielanie adrenaliny jest przepracowany, ale ja wiem dlaczego jestem taka wypluta. Wściekam się na wszystko Lauren nie daje mi nawet zadzwonić do męża — wyjaśniłam

— Ma rację. Niech on wie, co traci...

— Czy ta suknia wygląda na mnie wystarczająco aktorsko? — przerwała nam Tinsley. Sunęła w naszym kierunku | w podskokach, furkocząc falbankami u ramion czerwonej sukni balowej. — Skąd ludzie będą wiedzieli, że postanowiłam zostać aktorką? Wyglądam niczym tancerka flamenco.

— Wszystkie aktorki ubierają się jak tancerki flamenco, więc akurat z tym nie będzie problemu — zbyła ją Marci.

— W tym... czymś... moje nadgarstki wyglądają strasznie... grubo — skarżyła się Salome. Stanęła w drzwiach wiodących do łazienki ubrana w srebrzystą satynową suknię 1 *charmeuse* z długimi bufiastymi rękawami, które były zebrane w mankiety z czarnego rypsu. — Fuj, okropnie mi w tym...

— W nadgarstkach się nie tyje — zauważyła Tinsley, odpychając Marci od lustra, by móc się lepiej przyjrzeć sobie. — Wyglądasz świetnie. Sylvie, a co z moją...

— Sylvie, ja chcę tę suknię, którą przymierzałam wcześniej. Tę z czarnej satyny — oświadczyła Salome.

Ach, tę ma właśnie Nina w LA. Ale, skoro dziś mamy I środę, dzień premiery, a bal Alixe odbędzie się w piątek, to zdążę jeszcze na czas sprowadzić tę suknię.

— Ona została... wysłana na zdjęcia kolekcji — skłamałam.

— No trudno — powiedziała Salome niechętnie. Skiero- j wała się do sypialni, gdzie Thack pracował z Alixe, która zastrzegła sobie odosobnienie potrzebne jej do niekrępującej przymiarki.

— Co wy tutaj robicie? — dopytywała się Tinsley trochę podejrzliwie. Weszła za Salome do sypialni, za nią podążyła fyiarci, tak że w końcu zostałam sama.

Suknia, nad którą pracowałam, wysunęła mi się z rąk na podłogę; zapatrzyłam się nieruchomo w przestrzeń. Wszystko wydało mi się tak błahe i nieistotne. W końcu kogo obchodzi jakieś głupie przyjęcie albo czy nadgarstki Salome stały się grubsze, czy nie? Jak zdołam przetrwać bez swojego męża? Otarłam z policzka łzę. Muszę jeszcze wytrzymać kilka następnych godzin. Czasem nawet najbardziej ekskluzywne zakazane witaminy nie mogą przywrócić uśmiechu.

*

JAK SIĘ MASZ!

MISCHA! BARTON!

WYGLĄDASZ ZACHWYCAJĄCO! — wykrzykiwała Nancy O'Dell z *Access Hollywood* grzmiącym głosem, takim, jakim na czerwonym dywanie ogłasza się zwycięzcę. Miało się wrażenie, że gdzieś tam na karku zainstalowano jej głośnik.

Oglądałam cały show z okna pokoju hotelowego. Thack był tak przejęty faktem, że Nina wystąpi w sukni zaprojektowanej przez niego, że zorganizował dla całego personelu

— przyjaciół oglądanie imprezy w jego pracowni. Ja byłam tak przygnębiona, że wolałam zostać sama. Hunter przysłał mi dziś jeszcze więcej SMS-ów, ale Lauren i Marci przekonały mnie, że dzwonienie do niego teraz byłoby nierozsądne. Może powinnam poprosić Marci, by dała znać Hunterowi, że nic mi się nie stało, bo dręczyła mnie myśl, że Hunter martwi się o mnie. Marci jednak na pewno by mu powiedziała, gdzie jestem. Nie potrafiła utrzymać niczego w sekrecie. I to było okropne. Zmusiłam się, by patrzeć w telewizor. Może *Access Hollywood* odwróci moją uwagę od zmartwień.

— NIESAMOWITE! — ryczała Nancy, ubrana w niebieską suknię wyszywaną białymi kryształkami. Wyglądała jak żyrandol z holu St. Regis. — Powiedz nam, skąd masz ten strój!

— Z kolekcji Chanel — odpowiedziała Mischa ze znudzonym wyrazem twarzy.

— Kolekcja!!! Chanel!!! — darła się Nancy. — Nie-sa- mo-wi-te! Wyglądasz pięknie! Domyślam się, że koronki pochodzą od... O, patrzcie, a oto i Nina Chlore! Nadchodzi! — Teraz Nancy straciła zainteresowanie dla Mischy Barton. — Dziękujemy ci, Mischa, i do widzenia — powiedziała tonem zarezerwowanym dla schodzących ze sceny.

Na ekranie pojawiła się Nina sunąca jak błękitny szyfonowy obłok w stronę Nancy. Tym razem nie mogłam opanować podniecenia. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ekran, śledząc każdy szczegół wyglądu Niny.

— Oto Nina Chlore! Gwiazda *Fatalnej blondynki'.* — Nina zbliżała się do niej. — Nina! Chlore! Wyglądasz! Wspaniale!

— Daj spokój — odezwała się słodko Nina, kiedy doszła do sceny *Access Hollywood.* — To ty wyglądasz zachwycająco. Jak się masz?

— Dobrze. A kto jest autorem tej czarownej sukni, jaką masz na sobie?

— Została zaprojektowana specjalnie dla mnie — odrzekła Nina z tajemniczym uśmiechem.

— Cudownie! — wrzeszczała Nancy, a za plecami tłum wiwatował na cześć Niny.

— Versace — odpowiedziała Nina. — Uwielbiam Dona- tellę najbardziej ze wszystkich.

Nie wierzyłam własnym uszom. Thack się załamie, a ja nie będę w stanie podnieść go na duchu. Wtedy zadzwonił mój telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. To była Alixe. Postanowiłam nie odbierać. Ostatnią rzeczą, jaką chciałabym się zajmować, była zmiana modelu sukni przed piątkiem. Po kilku sekundach jej telefon został zapisany w skrzynce.

Po chwili odezwał się następny dzwonek. To pewnie Alixe nie dawała za wygraną.

Tym razem odebrałam. Odniosłam wrażenie, że Alixe nie mogła mówić z wrażenia.

— Jak tam suknia? — zapytałam. — W porządku?

— Świetna... — wyjąkała. O rany, czyżby płakała?

— Alixe? Co się dzieje?

— Sanford... Sanford nie żyje.

— To straszne.

Nie miałam pojęcia, że Sanford był jej bliski. Wydawała się taka przybita.

— O Boże, Alixe, tak mi przykro. Chyba jesteś tym wstrząśnięta — powiedziałam.

— Jestem — zawyła. W jej głosie pobrzmiewały histeryczne tony. — Jak on mógł! W takim momencie! Dwa dni przed moim wymarzonym balem! Nie mógł umrzeć w sobotę? Wtedy bal by się odbył. A tak to w piątek wszyscy pójdą czuwać przy jego zwłokach — szlochała. W słuchawce usłyszałam dźwięk przypominający świńskie chrząkanie. Alixe z hałasem wytarła nos. Po chwili

znacznie pogodniejszym już tonem zapytała: — To kiedy będziemy mogły omówić mój strój na pogrzeb.

TLR

19

POKAZOWY POGRZEB

— Cudowne miejsce dla nieboszczyka — westchnęła rozmarzona Lauren.

Elegancka msza żałobna w kościele Świętego Tomasza, gotyckiej strzelistej budowli na rogu Fifth Avenue i Fifty- third Street, odprawiana przez duchownego, który akurat był podobny do Orlanda Blooma, wystarczy, by najbardziej powierzchowną dziewczynę z Nowego Jorku ogarnął religijny nastrój. Zwłaszcza że kościół znajduje się naprzeciw sklepu Gucciego, co jest bardzo wygodne, a ponadto zgromadził więcej śmietanki intelektualnej (Charlie Rose, Bloomberg, Oprah) niż którykolwiek ze szczytów Ruperta Murdocha w Sun Valley.

Przyczyną śmierci Sanforda była próżność. W jednej minucie siedział jeszcze u dentysty, który wprawiał mu złotą koronkę na prawy dolny ząb trzonowy, do czego miał estetyczną słabość, w następnej krztusił się nią, zaczął dławić i padł martwy na skutek uduszenia.

Lauren ubłagała mnie, bym poszła z nią na pogrzeb.

Dopadł ją głęboki żal — żal, że się sprzeczała z Sanfordem, że nie zostali przyjaciółmi, że się z nim nie pożegnała, że nie miała z nim romansu (wręcz żałowała, że nie przespała się z tym łóżkiem wodnym). Swój smutek mogła porównać tylko z kacem, jaki miała po Marquee Club. W dniu pogrzebu dręczył ją tak straszny ból głowy, że nie była w stanie zdecydować się, czy wybrać czarny strój Chanel czy też czarny komplet od Diora, choć prawdę mówiąc, niczym się one od siebie nie różniły. W końcu zdecydowała się na Diora, uzupełniając ten strój olbrzymią broszą z szafirem. Ja z kolei cierpiałam z powodu braku kontaktu z Hunterem, co trwało już trzy dni i stało się absolutnie nie do zniesienia. Tylko pogrzeb mógł mnie wyciągnąć z mej ponurej kryjówki. Nawet wpięłam we włosy czarną woalkę, mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże widocznej w moich oczach udręki. Ostatecznie dotarłyśmy do kościoła tak późno, że nie starczyło już dla nas kartek z porządkiem mszy.

Nic dziwnego, że Sanford życzył sobie, by uroczystości pogrzebowe odbyły się właśnie tu, pomyślałam, kiedy znalazłyśmy się wewnątrz świątyni. Miejsce było

tak przepastne, że z łatwością pomieściłoby nie tylko cały Disneyland, ale też sześciuset zgromadzonych tu przyjaciół. Gdy zatrzasnęły się za nami głucho ciężkie dębowe drzwi, wrzawa Fifth Avenue ustąpiła dyskretnym szmerom przyciszonych głosów, też niezwykłych w kościelnych wnętrzach.

— Tutaj — doszedł nas głos z lewej strony.

Marci, Salome i Alixe trzymały dla nas miejsca w ławce. Wcisnęłyśmy się, by usiąść obok nich. Salome wyglądała zabójczo w kostiumie z czarnego jedwabiu z plisowaną spódniczką od Rolanda Mouret. Miała nawet do kompletu czarne rękawiczki i czarną koronkową chusteczkę. Marci założyła luźną krepdeszynową suknię z podwójnym marszczeniem, Alixe natomiast pudełkowy żakiet od Thacka i krótką spódniczkę, w klapę wpięła zaś czarną różę. Wyglądały jak trzy gracje z *Ojca chrzestnego*.

—Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, powiada Pan. Kto we Mnie wierzy, to choćby umarł, żyć będzie — rozpoczął uroczystości duchowny.

—Ten ksiądz mógłby mnie zbawić w każdej chwili — wyznała Marci, oblewając się rumieńcem.

— Każdy, kto żyje i wiarzy we Mnie, nie umrze na wieki...

—Jak myślicie, czy pastor może mieć dziewczynę? — spytała Marci przyciszonym głosem.

—Myślałam, że schodzisz się z Christopherem — zauważyłam szeptem.

—Ależ tak — odpowiedziała niemal dotknięta Marci. — Mówiłam ci przecież, że negocjujemy na ten temat.

— Aha, to dobra nowina.

Pastor dalej odprawiał modły.

—Nic nie przynieśliśmy ze sobą na ten świat, to pewne... — Zatrzymał się, by ogarnąć spojrzeniem zgromadzonych, i sprawdzić, czy z należytą uwagą słuchają słów, które ich dotyczą. — I powtarzam, to pewne, że nic ze sobą nie zabierzemy...

—Szkoda, że nie mówią tego, zanim nie zejdzie się z tego świata — powiedziała Alixe. — Bo to dobra rada. Co ja zrobię ze wszystkimi swoimi klamotami, kiedy wykituję?

— Módlmy się — zarządził pastor.

Wszyscy uklękli jak jeden mąż i w kościele zaległa cisza. Nagle usłyszałam skrzypienie drzwi wejściowych. Kto to mógł być? Odwróciłam się. Ubrana w długą szyfonową suknię sunęła Sophia D'Arlan. Poczułam, jak ściska mnie w dołku na jej widok. Klepnęłam Lauren po ramieniu, teraz już obie odprowadzałyśmy Sophię wzrokiem. Szła godnie wzdłuż nawy, z tyłu romantycznie powiewała jej suknia. Chyba wszyscy zgromadzeni w kościele patrzyli na nią.

— To nie jest jej ślub — powiedziała Lauren z dezaprobatą. — Bardzo niestosownie. — Westchnęła z przejęciem i opuściła głowę, by się pomodlić.

Ja natomiast nie mogłam nie śledzić jej bezwstydnego przemarszu do ławki w pierwszym rzędzie. Wszyscy musieli wstać i pozwolić jej przejść. Ależ z niej egoistka! Zajęła miejsce obok mężczyzny w ciemnym garniturze, który z tyłu wydawał mi się jakby znajomy, ale dzieliła nas zbyt duża odległość, bym mogła go rozpoznać. Pochylił się do niej, coś powiedział. A może jednak mogłam go rozpoznać. Nie do wiary. Czy to był...

— Lauren — trąciłam ją w bok. — Czy to... Giles?

Lauren wyprostowała się natychmiast. Jak urzeczona wpatrywała się we wskazanego mężczyznę.

— A co on tam robi... przecież to ławka zarezerwowana dla rodziny. A Sophia? Co ona mu szepcze do ucha? — zapytała ze złością.

— Amen — rzekł pastor. — Teraz dokończmy nasze pierwsze czytanie, psalm przeczyta pan Giles Monterey.

— Co? — zdumiała się Lauren, podczas gdy Giles szedł dostojnie do mównicy.

— Patrzcie, mamy i pasierba — zachichotała Salome. — Całkiem niekiepski.

— Salome, czy ty powiedziałaś, że to pasierb Sanforda? — zapytała Lauren. — Jesteś tego pewna?

— Jego matka, Isabel Clarke Monterey, tak jak moja, była modelką w Londynie w latach siedemdziesiątych. Bawiliśmy się razem, kiedy mieliśmy trzy latka. Już wtedy prezentował się całkiem, całkiem. To był wielki skandal. Jak mówi moja mama, Giles nigdy nie wybaczył Sanfordowi, że rozbił małżeństwo jego matki, by dwa lata później ją porzucić. Powinien być teraz z nią. Tak, o tam ona siedzi.

Salome wskazała na kobietę siedzącą w ławce Gilesa. Kiedy Isabel Clarke Monterey się obejrzała, spostrzegłam, że jest piękna, choć robiła wrażenie delikatnej. Lauren tymczasem pobladła jak płótno, jakby krew z niej uciekła. Było jasne, że kocha go do szaleństwa. Nie odrywała od niego wzroku, gdy czytał: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego."

Przerwał, rozejrzał się po zgromadzonych, jak gdyby szukał kogoś wzrokiem.

— Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

Znów przerwał, wydawało się, że napotkał wzrok Lauren.

Przez chwilę miałam wrażenie, że ich spojrzenia przywarły do siebie.

Bum!

— Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć.

Lauren zemdlała.

—No tak — westchnęła Salome, ale w jej głosie nie było współczucia. — Już w przedszkolu dziewczyny mdlały na jego widok.

*

—Wygląda, jakby tu się nic nie zmieniło od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku — uznała Salome, kiedy weszłyśmy do Swifty's. — Widok Ivany mamy zapewniony. Czy to Bill Clinton?

Swifty's usytuowane na rogu Lexington i Seventy-second Street nie jest miejscem najbardziej odpowiednim na stypy Sanford jednak przychodził tu trzy razy w tygodniu na lunch i w swoim testamencie zastrzegł sobie, by jego stypa odbyła się właśnie tutaj, uważał bowiem, że podawany tu kawior poprawi humory żałobników.

Podczas gdy Lauren dochodziła do siebie w łazience po miłosnym omdleniu, Marci, Alixe, Salome i ja miałyśmy w jej zastępstwie obserwować Pana Nie-do-wygoogle'ania i Sophię D'Arlan. Lauren była przekonana, że Sophia zagięła parol na Gilesa. Kłopot w tym, że wszystkie straciłyśmy ich z oczu. W restauracji panował taki tłok, że nie sposób było zlokalizować kogokolwiek.

— To prawie lepsze niż mój bal — powiedziała nabzdyczona Alixe, lustrując tłum. — Gdyby nie żałobna okazja, całkiem dobrze bym się bawiła. O, a tam jest

Margarita Missoni. — Patrzyła na wiotką dziewczynę ubraną w długą do ziemi czarną suknię zrobioną na szydełku, z wyhaftowanymi na brzegach srebrnymi listkami. Kobietę otaczali starsi panowie. — Muszę się z nią skontaktować — postanowiła Alixe — i nakłonić do zażywania kąpieli z bąbelkami Arancia. Jak wam się wydaje, czy to ciężki grzech nawiązywać kontakty podczas stypy? — I nie czekając na odpowiedź, Alixe zaczęła przepychać się przez tłum wprost do upatrzonego celu.

— Patrzcie, dziewczynki, ona jest tam! — zawołała nagle Salome. Ruchem głowy wskazywała dyskretnie wnękę w odległym końcu pomieszczenia, gdzie rysowały się sylwetki Sophii D'Arlan i Gilesa. — Oni... ze sobą gawędzą. — Była wyraźnie zniesmaczona. — To oburzające. Flirtować przy trumnie, to niewybaczalne.

— Co Sophia ma na sobie? Cekiny do szyfonu? — zapytała Marci z dezaprobatą. Wyciągnęła szyję, by móc się dokładnie przyjrzeć ubiorowi Sophii. — Tej kobiecie zależy tylko na tym, by wmówić wszystkim, że nosi Valentino.

W tym momencie Marci z pewnością nienawidziła Sophii. Ja tymczasem w zadumie przyglądałam się całej scenie. Co ona sobie myśli, flirtując jawnie z Gilesem, a jednocześnie planując odejście z moim mężem? Ta dziewczyna była nieodgadniona.

— Dość tego — włączyła się Salome. — Idę położyć temu kres. — Ruszyła zaraz w stronę Gilesa i Sophii. Była uśmiechnięta od ucha do ucha, jakby cały incydent sprawiał jej niewymowną radość.

— Możemy usiąść na chwilę? — zapytała Marci z poważną miną. — Muszę z tobą porozmawiać.

Wyszłyśmy z głównego pomieszczenia i skręciłyśmy w boczny korytarz. Na jego końcu stały dwa foteliki.

— Ach — westchnęła głęboko Marci, opadając na jeden z nich. Zaczekała, aż i ja się usadowię, po czym zaczęła: — Wiesz, dowiedziałam się czegoś, co moim zdaniem powinno cię zainteresować. Hunter i Sophia mają się jutro spotkać w MOMA*[8]

— Naprawdę? — zapytałam szeptem. — Jesteś tego pewna?

[8] Skrót od Museum of Modem Art — Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Skinęła głową.

— Sylvie, naprawdę jest mi bardzo przykro. Ale wczoraj coś przypadkiem usłyszałam. Sophia była na podwieczorku z Phoebe w The Mark, kiedy zadzwonił do niej telefon. Powiedziano mi, że umówiła się z jednym żonatym mężczyzną na randkę erotyczną. Na spotkanie wybrała najbardziej romantyczne miejsce w całym muzeum, mają się zobaczyć o szóstej na półpiętrze przed obrazem Moneta.

TLR

20

SZALEŃSTWO W MOMA

Dochodziła już czwarta, kiedy Hunter ostatecznie zdołał złapać mnie przez telefon. Nie zamierzałam odbierać telefonów, ale gdy usłyszałam głos Huntera, zaczęłam dygotać i poczułam, jak ciarki mnie przechodzą.

—Kochanie, gdzież ty się podziewasz? Odchodzę od zmysłów.

Nie mogłam uwierzyć, że Hunter mnie odnalazł. Moje przyjaciółki przysięgły, że nie zdradzą mej kryjówki, a w ciągu ostatnich dni prawie nie używałam komórki. Ale gdzieś w głębi duszy ucieszyłam się, że w końcu mój mąż mnie odszukał.

— Z dala od ciebie! — krzyknęłam

— Sylvie, o co ci chodzi?

— Wiesz dobrze, o co chodzi — odpowiedziałam. — Sophia...

— O czym ty mówisz? — nie pojmował Hunter.

Zamilkłam na chwilę. Jak to ująć? W końcu wzięłam głęboki oddech i ciągnęłam ze złością:

—Marci powiedziała mi, że to tajemnica poliszynela, że ty i Sophia macie romans.

Hunterowi na moment odjęło mowę.

— Co takiego?

— Przecież faktem jest, że tamtego weekendu byłeś z Sophią w Londynie. Poszedłeś z nią do sklepu jubilerskiego. Ona się tym przechwalała przed Marci i pewnie przed co najmniej połową Nowego Jorku. Zresztą widziałam ją w tym naszyjniku w Megeve. Już ci nie wierzę!

— Nigdy nie dawałem Sophii żadnego naszyjnika. Mogę ci wszystko wyjaśnić...

— Nadal go nosi. — Mówiłam teraz podniesionym głosem, a moje zdenerwowanie sięgało zenitu. — Dość mam twoich tłumaczeń. Wiem, co jest grane. Od miesięcy mnie okłamujesz.

— Kochanie, nie jest tak, jak myślisz...

— Zostaw mnie w spokoju, Hunter. Mam już dość. — Mówiłam coraz szybciej, jakbym bała się, że nie zdążę wszystkiego powiedzieć. — Nigdy jeszcze nie byłam tak nieszczęśliwa jak teraz. Chcę rozwodu. Wolę pierwsza odejść, niż czekać, aż ty odejdziesz — dodałam, powtarzając słowa Lauren.

— Co wolisz?!

— Odejść! — wrzasnęłam i odłożyłam słuchawkę wściekła i nieszczęśliwa.

Wpatrywałam się w swój telefon komórkowy. Teraz ogarnęły mnie wątpliwości. Hunter robił wrażenie naprawdę zaszokowanego. I ani trochę winnego. Na pewno jednak — pomyślałam sobie — mężczyźni, którzy są winni, starają się, by ich słowa brzmiały niewinnie. Poza tym Lauren powiedziała coś przerażającego o mężczyznach, którzy okazującej uczucia swoim żonom, kiedy je zdradzają. Muszę to odnieść do siebie.

*

Możecie sobie wyobrazić, jak się czułam, kiedy za dziesięć szósta przyszłam pod MOMA i zobaczyłam długą kolejkę wijącą się wzdłuż Fifty-third Street aż do Sixth Avenue. Setki spragnionych obcowania ze sztuką stały kamie, jeśli nie radośnie, czekając na wejście do szklanego przybytku. Następnie zajechał autokar, z którego wysypała się na ulicę duża grupa turystów. Spojrzałam na zegarek: była 17.55.

—Ile czasu zajmie, zanim cała ta kolejka wejdzie do środka? — z nadzieją w głosie zapytałam strażnika.

— Czterdzieści pięć minut — odpowiedział jak automat. Ale ja muszę przyłapać swego męża na oszustwie — chciałam krzyknąć. O Boże, jakież to było stresujące.

— Czy mogę gdzie indziej kupić bilet? — zapytałam. Na dworze panował przenikliwy chłód. Ręce miałam sine z zimna. Nie ma nic bardziej przejmujacego niż styczeń w Nowym Jorku, kiedy pogasną już bożonarodzeniowe lampki, a

ludzie chodzą skostniali. Zwłaszcza gdy twój małżonek zabawia się z łowczynią mężów.

— Tak, w Internecie — odpowiedział strażnik.

Wielka mi pociecha. Popatrzyłam na strażnika błagalnie.

—Albo w Ticketmaster, pod numerem dwa, jeden, dwa-pięć, pięć, pięć-sześć, zero, zero, zero.

— Dziękuję — odpowiedziałam.

Chwała Bogu. Mogę zadzwonić do Ticketmaster i zamówić bilet na szóstą. Zostały mi jeszcze dwie minuty. Wybrałam numer na klawiaturze komórki. Oczywiście otrzymałam odpowiedź z komputera. Och!

— Witaj w Ticketmaster. Proszę. Słuchać. Uważnie. Menu. Zostało. Zmienione...

Jak wolno! Zniecierpliwiona wybrałam zero. Może w ten sposób uda mi się połączyć z operatorem.

— Nie. Rozumiem. Zadania. Witaj w Ticketmaster.

Tym razem wysłuchałam uważnie i wcisnęłam piątkę, by połączyć się z działem sprzedaży.

—Dzień dobry. Na jaki spektakl? — zapytał głos. Hurra! Wreszcie jakaś żywa osoba.

— MOMA — wyjąkałam.

— Czy to grają na Broadwayu?

O Jezu.

— Muzeum Sztuki Nowoczesnej — odpowiedziałam, starając się panować nad głosem, by nie brzmiał histerycznie. W końcu nie była to wina tej wynagradzanej byle jak pani, że ja się spóźnię na sesję szpiegowania kochanki mojego męża.

—Proszę zadzwonić pod numer: dwaj jeden, dwa-pięć, pięć, pięć-siedem, osiem zero zero.

Spojrzałam na zegarek. Szósta już minęła. Beznadziejna sprawa. Mimo to

jednak zaczęłam wybierać numer. Wtedy poczułam, że ktoś mnie klepie w ramię. To była Marci.

— Nie mogę się tam dostać — jęknęłam.

Marci, dziś wyjątkowo ponura, pomachała mi przed nosem kartą, na której widniał napis: CZŁONEK MOMA. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła wprost do wejścia.

— Pomyślałam sobie, że będziesz potrzebowała moralnego wsparcia — powiedziała.

MOMA zawsze kojarzyło mi się z gigantycznym szklanym słojem, w którym brzęczały muchy. Dzieła sztuki jawiły się tam jak wielkie cukierki unoszące się w powietrzu, a zwiedzający niczym małe czarne punkciki, którzy brzęcząc, przesuwają się od de Kooninga do Warhola i Le Witta. Gdzie się podział ten wyciszony świat o nastroju zen, o którym czytało się w „New York Timesie"? To miejsce przypominało raczej Times Square.

— Marci, jest już dziesięć po szóstej — powiedziałam z pretensją w głosie.

Stałyśmy w przestronnym białym atrium, które rozciągało się od Fifty-third Street, aż do następnej przecznicy i dalej do Fifty-fourth. Przed nami pięły się szerokie schody wiodące na półpiętro, gdzie wbrew logice, jak utrzymują ci, dla których kontrowersja w sztuce stanowi pewien problem, wystawia się Moneta *Odbicie obłoków w stawie z liliami wodnymi.* Stojący na dole mogą widzieć zebrane na szklanym balkonie tłumy i podziwiać zawieszony nad ich głowami wielki plastikowy helikopter.

— Sophia zawsze się spóźnia, to część jej uwodzicielskiego czaru, który tak działa na mężczyzn.

To mówiąc, Marci ruszyła wraz z tłumem pnącym się gigantycznymi schodami wiodącymi na antresolę. Podążyłam za nią, otępiała strachem przed tym, co miało się za chwilę okazać. Cokolwiek się stanie, będzie to stra^znp Po raz pierwszy byłam zadowolona ze swej anonimowości w tłumie turystów i szkolnych wycieczek. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie tu zauważył i rozpoznał. Trudno bowiem o bardziej żałosny i ośmieszający wizerunek niż oszukiwana żona. Postanowiłam, że odtąd będę żyć w ukryciu, na marginesie, jak przybysze spoza Nowego Jorku, którzy wstępują do muzeum na chwilę, by wkrótce rozpłynąć się

gdzieś w nieznanym terenie. Oczywiście nigdy już nie odzyskam pogody ducha, będę zgorzkniała i ponura.

Poszłam za Marci na półpiętro, gdzie na środku znajdowały się dwie stalowe szpile gigantycznych rozmiarów. Ukryłyśmy się za nimi jak uczennice na wagarach. Stamtąd mogłyśmy obserwować zarówno Moneta, jak i dwie czarne ławki ustawione przed obrazem.

— Jest — szepnęła mi do ucha Marci. — Sama. Dziwne.

Siedziała na ławce tyłem do nas, ale bez wątpienia była to ona. Któż inny mógł ubrać się w żakiet ze złotej satyny wyszywany cekinami, idąc o szóstej po południu do publicznej galerii sztuki?

— Bardzo dziwne — powiedziała Marci. — Jest piętnaście po szóstej. Ale czekaj, odbiera telefon.

Rzeczywiście Sophia zaczęła rozmawiać. Wstała i skierowała się w stronę stalowej szpili. Zatrzymała się dokładnie z drugiej strony dzieła sztuki. Mogłyśmy pochwycić fragmenty jej rozmowy.

— Tak, kochanie... Widziałam ją na pogrzebie, biedactwo... Tak, trzy minutki... W ogrodzie rzeźb? Tam jest upiornie zimno. Wiesz, że nie znoszę tych wielkich niebieskich trójkątów... Nie, spotkajmy się raczej przy Mathew Bameym...

To mówiąc, zamknęła z trzaskiem telefon, obróciła się na pięcie i zaczęła się oddalać od nas, zmierzając ku galerii nowoczesnego malarstwa.

— Nie wiem, czy powinnam iść za nią — zawahałam się. Poczułam się tak strasznie zraniona, kiedy powiedziała o mnie „biedactwo", że nie chciałam niczego innego, tylko iść stąd jak najdalej. I tak wiedziałam już dostatecznie dużo, więc czy musiałam wystawiać się na jeszcze większe tortury?

— Sylvie, musisz przez to przebrnąć. No, chodź, popatrzymy zza Dana Flavina. Idziemy — zarządziła, posuwając się dyskretnie za Sophią.

Na swoją schadzkę Sophia wybrała najbardziej popularną galerię w całym muzeum. Pomieszczenie było tak zatłoczone, że ledwie mogłyśmy ją dostrzec. Z kolei ona nie miała szans zauważyć nas, gdyż byłyśmy bezpiecznie skryte za wielką kolorową ścianą Dana Flavina. Kiedy już się tam wygodnie ulokowałyśmy, mogłyśmy zerkać na nią z lewej strony. Sophia wpatrywała się w dziwaczną

instalację Matthew Bameya *The Cabinet of Baby Fay La Foe 2000,* przedstawiającą trumienkę z pleksiglasu, a w niej cylinder i stół operacyjny. Dość makabryczne miejsce jak na romantyczną schadzkę.

— Gdzie on się podziewa? — szepnęła Marci.

—Może... nie przyjdzie — odpowiedziałam z nadzieją w głosie.

Nagle Sophia pomachała ręką. Przy tym ruchu jej bransoletki zadźwięczały uwodzicielsko, ale dla mnie przede wszystkim boleśnie. Ledwo mogłam na nią patrzeć. Mimo to nie odwróciłam wzroku. Zaparło mi dech w piersi. Po kilku sekundach zobaczyłam, jak rudy, raczej przysadzisty i lekko łysiejący mężczyzna podszedł do Sophii. Marci jęknęła.

—Wielki Boże — zawołała, widząc, jak mężczyzna bierze Sophię w objęcia i całuje w sposób, w jaki ludzie na ogół nie całują się w galeriach.

Bezwiednie uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Poczułam się tak mocna, że mogłabym brać się za bary z całym światem.

—Jakie to szczęście! — westchnęłam z ulgą. — Ponad wszelką wątpliwość to nie jest mój mąż. Nie mogła mi się zdarzyć lepsza pomyłka.

Obróciłam się do Marci. Była blada jak ściana.

—Co jest? — nagle oprzytomniałam. — Wiesz, kim jest ten chłopak?

—Tak... — Marci nie mogła wydobyć z siebie głosu. W końcu wyszeptała ochryple: — To mój mąż.

— Christopher? — zapytałam.

— Popełniłam największy w życiu błąd —jęknęła Marci.

— Ja też — przyznałam. — Ale namieszałyśmy.

Marci rzuciła się do wyjścia. Popędziłam za nią. Kiedy dotarła na szczyt schodów, zatrzymała się na moment, spojrzała w górę na zawieszony wysoko helikopter, przeżegnała się dwukrotnie i wypowiedziała życzenie:

—Dobry Boże, kiedy wrócę do domu i się zastrzelę, proszę, nie ratuj mnie.

—Marci, uspokój się i nie rób nic głupiego — zawołałam, chwytając ją za rękę.

— Zabiję go. Powiedz, to jak się nazywał prawnik Ivany?

TLR

21

ZNIKAJĄCY MĄŻ

Marci została ocalona wbrew swej woli przez Salome, która jak święta patronka znalazła się przy niej w odpowiedniej chwili i zabrała ją z muzeum. Ja tymczasem złapałam taksówkę i pędziłam wzdłuż Fifth Avenue. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się w domu, by móc zobaczyć się z Hunterem i wszystko naprawić. Dlaczego byłam dla niego taka wstrętna? Dlaczego nie chciałam go wysłuchać? Jak mogłam tak mu nie ufać? Jakaż byłam głupia, teraz czyniłam sobie wyrzuty. Dlaczego uwierzyłam, że sprawy miały się tak, jak wyglądały z pozoru; przecież Sophia była zbyt cwana na to, by robić tak, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Dręczyła mnie, flirtując z Hunterem, a jednocześnie odwracając uwagę Marci od prawdziwego celu swoich zabiegów: usidlenia Christophera. Może zanadto przylgnęłam do środowiska początkujących rozwódek i poddałam się ich złemu wpływowi. Ich stosunek do mężczyzn trącił paranoją, a mnie się to udzieliło. Wprawdzie zachowanie Sophii wobec Huntera nie było moim czczym wymysłem i grą wyobraźni, o coś na pewno jej chodziło ale podobnie uganiała się za każdym żonatym mężczyzną w Nowym Jorku. Biedna Marci. Ależ ta Sophia prowadziła wredną grę.

I co ja teraz powiem Hunterowi? Zastanawiałam się nad tym nerwowo, podczas gdy taksówka gwałtownie skręcała, mijając róg Fifth i Twenty-third Street. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze przed trzema godzinami domagałam się od niego rozwodu, a teraz była to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła. We wszystkim się myliłam, ale zawsze trudno jest przyznać się do tego. „Przepraszam” to niewiele jak na usprawiedliwienie żony, która dopiero co oskarżyła męża o najcięższe małżeńskie przestępstwo. Poczułam się nieskończenie zawstydzona. Zdenerwowana i przejęta czułam, iak mi brakuje tchu, bliska byłam uduszenia się ze wstydu i zakłopotania.

Kiedy wreszcie dojechaliśmy do One Fifth, szybko zapłaciłam za taksówkę i pędem pobiegłam do domu. Teraz już lodowaty, marznący deszcz zacinał bezlitośnie, kiedy więc znalazłam się wewnątrz budynku, byłam przemoczona i zadyszana.

— Czy pan Mortimer j est w domu? — zapytałam portiera Luccia, mijając go w pędzie.

— Przed godziną pojechał na lotnisko — powiedział Luccio. — Ale nie wiem, dokąd leci.

Zmartwiałam i zatrzymałam się w pół kroku. Hunter wyjechał? Czy doprowadziłam go do tego swoimi oskarżeniami? Jeśli tak, to nawet nie mogę mieć do niego o to pretensji.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał Luccio.

— Tak... nie... właściwie...

Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. Kiedy w końcu udało mi się go znaleźć, zadzwoniłam do Huntera na komórkę. Od razu odezwała się skrzynka głosowa. Zostawiłam mu rozpaczliwy wiadomość, że bardzo go kocham i błagam, by odezwał się do mnie. Następnie zadzwoniłam do niego do pracy. Może ktoś jeszcze siedzi w biurze o tej porze? Po kilku sygnałach telefon odebrał Danny, jeden z praktykantów.

— Gdzie jest Hunter? — zapytałam. — Mówi jego żona.

—Pojechał do... — głos Danny'ego odpłynął. — Chwileczkę, proszę poczekać, zaraz kogoś zapytam.

Usłyszałam w tle jakieś głosy, a po chwili Danny znów[7] wrócił na linię.

—Nie jesteśmy pewni, gdzie on teraz jest. Wyjechał przed kilkoma godzinami. Powiedział, że leci do Zurychu... a może to była Genewa? Eee...

—A kiedy ma wrócić? — zapytałam, porządnie już spanikowana.

—Zabrał swój kalendarz z biurka... Właściwie to nie wiemy, na jak długo wyjechał.

Wyłączyłam się. Gdzie jest Hunter? Jak mam go odnaleźć? Czy po tym wszystkim zostanę porzucona? Możliwe...

Wybiegłam na ulicę. Nadal lało. Może powinnam pójść do Lauren. Ona będzie wiedziała, co robić. Łzy spływały mi po policzkach, kiedy szłam po Fifth Avenue w poszukiwaniu taksówki. Nagle usłyszałam znajomy głos:

— Sylvie! Sylvie!

Odwróciłam się i zobaczyłam Miltona. Był opalony, miał na sobie afgański kapelusz i płaszcz z sierści jaka. Widocznie już wrócił ze swego Jedwabnego Szlaku.

— Cześć — powiedziałam słabym głosem.

— Co się stało? Sylvie, czy ty płaczesz?

—To przez Huntera. Gdzieś wyjechał — odpowiedziałam, drżąc na całym ciele.

— W takim razie chodźmy do domu — poradził, otaczając mnie przyjaźnie ramieniem.

Pół godziny później siedzieliśmy w moim mieszkaniu, podjadając belgijskie trufle zamówione w Chocolate Bar. Streściłam Miltonowi całą historię, wypłakując mu się w mankiet. W trakcie opowiadania uświadomiłam sobie, że nadal niewyjaśnione pozostaje istnienie dwóch jednakowych naszyjników. Dlaczego mój małżonek dał nam obu takie same wisiorki? To było dziwne, zwłaszcza że Sophia kombinowała z Christopherem. Bardzo współczułam Marci! Miałam nadzieję, że Salome uda się jakoś ją rozweselić.

— Sophia D'Arian jest niemożliwa. Gdybym był tu na miejscu, powiedziałbym ci, jak sprawy się mają — odparł Milton, wygodnie rozparty na kanapie, demonstrując czerwoną jedwabną kamizelę, niewidoczną przedtem pod paltem.

— To znaczy? — zapytałam, ocierając łzy chusteczką. Siedziałam po turecku na podłodze przed kominkiem, chcąc się osuszyć.

— Sylvie, Hunter kupił ten naszyjnik specjalnie dla ciebie i tylko dla ciebie.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ, moja kochana, byłem przy tym. Tamten weekend wszyscy spędziliśmy w Londynie, nocowaliśmy w Blakes...

— Ależ Milton — przerwałam mu, rozeźlona. — To dlaczego mi nie powiedziałeś? Przecież pytałam cię, czy czasem nie spotkałeś wtedy gdzieś Huntera, w tamten weekend, kiedy nie mogłam go złapać telefonicznie, a ty utrzymywałeś, żeś go nigdzie nie widział.

Milton uniósł się z kanapy, szeleszcząc swoim egzotycznym strojem, usiadł i

nachylił się w moją stronę, jakby za chwilę miał mi zdradzić największy sekret. I rzeczywiście, szeptem zarezerwowanym do przekazywania najważniejszych ploteczek wyjawił:

— Nawet tego nie powinienem ci mówić, bo wszyscy zostaliśmy zobowiązani do zachowania tajemnicy. To było takie romantyczne.

— Ale co było takie romantyczne? Dlaczego Sophia dostała taki sam naszyjnik?

— Hmm, jak by ci to powiedzieć. Ten naszyjnik to był pomysł Sophii.

— No nie, co ty mówisz? — Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam przemierzać pokój w jedną i drugą stronę.

— No więc tamtego piątkowego wieczoru siedzieliśmy wszyscy przy kolacji w londyńskim Le Caprice — uwielbiam Le Caprice, uwielbiam — a Hunter, który jest naprawdę uroczy, a do tego kocha cię do szaleństwa, zapytał nas, co ma zrobić, by ci jakoś wynagrodzić odwołany miesiąc miodowy. Na to Sophia wrzasnęła: „Biżuteria!". Hunter uznał, że nie wiedziałby, co ci kupić. Wtedy Sophia wyciągnęła spod bluzki ten naszyjnik z literą S i powiedziała, że coś takiego byłoby dobre, i żeby ci zamówił taki sam naszyjnik.

— Taki sam?! — Mój głos wzniósł się o co najmniej trzy oktawy.

— To była moja rada. A Sophia zapewniła Huntera, że ty się nigdy o tym nie dowiesz. Hunter wszedł w to, bo tak bardzo mu zależało, by zrekompensować ci fiasko z miesiącem miodowym. A Sophia nawet go sama zabrała do S.J. Phillipsa, by zamówił u niego to cacko.

To by wyjaśniało fotografię w magazynie „New York". Jednak Milton jeszcze nie skończył.

— To taki naiwny, ale uroczy sposób, w jaki mężczyzna usiłuje przeprosić kobietę. Wiesz, jacy są mężowie. Nigdy nie wiedzą, co kupić żonie. A już na biżuterii w ogóle się nie znają.

— Ale w takim razie dlaczego Sophia powiedziała Marci, że Hunter jej podarował ten naszyjnik? — Tego jeszcze nie rozumiałam.

— Ponieważ, kochana, Sophia chciała zdobyć Huntera dla siebie — wyjaśnił Milton. — Chciała, żebyś myślała, że naszyjnik był przeznaczony dla niej, a machając ci nim przed nosem, osiągnęła zamierzony cel — wprowadzenie za-

mętu. I sytuacji bynajmniej nie poprawia fakt, że Marci to taka beznadziejna plotkara. Sophia grała na niej jak na organkach.

— Co w takim razie z Christopherem? — zapytałam, mając już niezły mętlik w głowie.

— Wygląda na to, że polowała na obu mężów, a zadowoliła się łatwiejszym łupem.

— Dosyć już! —zawołałam, zdobywając się wreszcie na uśmiech. — A jak wytłumaczysz notkę na stronie szóstej w „New York Post"?

— Sophia uwielbia prokurować informacje o sobie w plotkarskich kącikach. Możesz mi wierzyć, że każda pogłoska na jej temat pochodzi od niej samej. Opowiada, że wszyscy są w niej zakochani, szczególnie żonaci mężczyźni. Nawet słyszałem, że leczono ją z tego powodu. A naszyjnik był od początku przeznaczony dla ciebie.

— Och, Milton, wszystko sama zepsułam — powiedziałam, czując się beznadziejnie. — Co mam zrobić?

— Weź jeszcze jedną truflę.

*

— Nie uwierzysz, jak ci powiem, gdzie jestem!

Była czwarta nad ranem. Lauren znajdująca się po drugiej stronie telefonu, a najprawdopodobniej i po drugiej stronie świata, nie wydawała się ani trochę śpiąca.

— Gdzie? — dopytywałam, ciągle jeszcze zaspana.

— W Tokio, na lotnisku Narita.

Usiadłam na łóżku i zapaliłam lampę. Może przygody Lauren odwrócą moją uwagę od własnych zmartwień.

— Co ty robisz w Tokio? — zapytałam.

—G.M. Co więcej mogę powiedzieć? Całowaliśmy się w centrum odnowy biologicznej japońskich linii lotniczych. Zupełnie jak w filmie *Między słowami.* Myślę, że on jest szaleńczo we mnie zakochany. Jak myślisz?

TLR

— A ty jesteś w nim zakochana?

—Boże, nie! Pamiętasz, jakie było moje zobowiązanie? Pięć numerków do Dnia Pamięci Poległych i zero zaangażowania. — Zachichotała. — Ale to było Superzaliczanie, wiesz, o co chodzi. W porównaniu z innymi to było jak pocałunek Boga, wierz mi. Giles umie całować najlepiej ze wszystkich znanych mi mężczyzn. To było tak cudowne, że da się porównać tylko z przeżyciem bliskim śmierci. Wszystko nagle zbladło, chyba straciłam przytomność na jakieś dwie sekundy. Znasz to uczucie?

—Tak jakby. — Ucichłam. Nie zdołałam wykrzesać z siebie dość energii, by śmiać się razem z Lauren. Stać mnie było najwyżej na ciężkie westchnienie.

— Co się z tobą dzieje? Co się stało?

Opowiedziałam jej całą smutną historię: o Marci i Sophii, Christopherze i Sophii oraz o mnie i Hunterze.

—Ale się porobiło, o Jezu. Jutro wracam. Giles namawia mnie, abym jeszcze została, ale... Nie chciałabym się rozczarować. Przecież on ma narzeczoną, nie mogę o tym zapominać.

Wielka bańka mydlana miłości Lauren nagle prysła. Teraz ona wydawała się klapnięta jak przekłuty balonik.

— Myślałam, że nie chcesz żadnych zobowiązań.

— To prawda, ale teraz, kiedy wypełniłam już swoje postanowienie, nie jestem tego pewna, czuję się taka pusta w środku. Bo właściwie co mi to dało? Jak się tak dobrze zastanowić, to wprawdzie osiągnęłam cel, ale zaprowadziło mnie to donikąd.

— Przynajmniej dobrze się bawiłaś — usiłowałam ją rozweselić. — Nie jesteś zdruzgotana, jak ja. Nawet nie wiem, gdzie Hunter się podziewa.

Poczułam, jak ogarnia mnie narastająca panika. Co mam robić?

— Znajdziemy Huntera. Mój ojciec potrafi namierzyć każdego. Jest zaprzyjaźniony ze wszystkimi w FBI. Nie martw się. Zobaczymy się jutro. Salome powiada, że organizuje jakieś przyjęcie, na którym powinnyśmy być obie. Bez żadnych wykrętów'.

22

LUKSELA

„Luksela” to przydomek Pameli Grigione, kruczowłosej włoskiej contessy osiadłej w Nowym Jorku. Przydomek ten zyskała dzięki nurzaniu się w luksusie od lat, czego niezbitym dowodem był fakt, że jeszcze jako nastolatka często gościła na pokładzie *Stealth,* ulubionego jachtu Gianniego Agnelli. Luksela jest jedną z najbardziej niekonwencjonalnych kobiet Nowego Jorku. Kiedy dzwoni się do niej i pyta na początek, jak się miewa, Luksela udziela jednej z dwóch odpowiedzi: „Bosko” albo „Obłędnie”. Może pojawić się na przyjęciu koktajlowym w olśniewającym klasycznym stroju od Mis- soniego albo Pucciego, ale zawsze zaczyna od słów: „Jestem brzydka, zabierz mnie do domu”, co natychmiast zjednuje jej wszystkich, mimo że uroda w stylu Moniki Bellucci i takiż biust wzbudzają powszechną zazdrość.

Salome sprytnie wybrała właśnie ją na gospodynię „przyjęcia odwetowego”, jak je nazwała, chcąc się zemścić na Sophii w imieniu Marci. Ledwie upłynęły dwadzieścia cztery godziny od skandalu, jaki wybuchł na wieść afery miłosnej na linii Sophia — Christopher, a Salome już zorganizowała imprezę w mieszkaniu Lukseli na Grand Street Jej dom był słynny z powodu zgromadzonych tam dzieł sztuki współczesnej, nikt więc nie śmiałby ani nie chciałby nie przyjąć zaproszenia, nawet Sophia. Pretekstem stało się wydanie koktajlu na cześć księcia Angusa, modnego artysty awangardowego z Glasgow, znanego ze swych śmiałych projektów. Otwarcie jego nowej instalacji miało się odbyć następnego dnia w Gagosian. Nikt nie wiedział, jak naprawdę brzmiało nazwisko księcia Angusa, ale nowojorczyków nie obchodzi, jak Brytyjczycy oficjalnie się nazywają.

— Co za niezwykłe miejsce — zawołałam zachwycona, kiedy następnego dnia Luksela zaprosiła mnie do środka. Może nawet przesadzałam w swoich reakcjach, chcąc ukryć ogarniającą mnie desperację: minęła już doba od chwili zniknięcia Huntera, a on jeszcze nie dał żadnego znaku życia. Kiedy dziś rano powtórnie zadzwoniłam do jego biura, Danny powiedział, że Hunter jeszcze nie pojawił się w hotelu w Zurychu, gdzie miał się zatrzymać. Nikt nie wiedział, gdzie on się podziewa.

— Prawda, że wesolutkie? — zagadywała mnie Luksela, oprowadzając po mieszkaniu. Miała na sobie szyfonową suknię w tureckie wzory, ciągnącą się za nią po ziemi, kiedy przemierzała boso pokoje. Z biżuterii nosiła tylko złotą bransoletkę ze szmaragdem, którą włożyła na lewą kostkę jak hinduska księżniczka. — Uwierzysz, że były tu kiedyś magazyny Manhattanu?

Łatwo mi było w to uwierzyć, na takiej powierzchni dałoby się przechować całe wybrzeże. Salon tutaj miał przynajmniej piętnaście metrów długości, a z okien sięgających od podłogi do sufitu rozciągał się przyjemny widok na dachy SoHo. Gdzie spojrzeć, wszędzie napotykało się dzieła sztuki — ogromny pudel Jeffa Koonsa, obraz olejny Cecily Brown, dywan Tracey Emin. To pomieszczenie o ciemnych podłogach i jasnych lakierowanych ścianach było idealnym miejscem na eksponowanie dzieł sztuki. Jedyne sprzęty, jakie się tu znajdowały, to dwa skórzane taborety i biały buduarowy fortepian.

— Wszyscy zgromadzili się w bibliotece — powiedziała Luksela, szeleszcząc szyfonowym trenem.

„Biblioteka” okazała się znacznie przytulniejsza od reszty mieszkania, choć też bardzo nowoczesna. Wszystkie „książki”, obłożone w nieskazitelny brązowy papier, po bliższym przyjrzeniu się im ujawniały inną zgoła zawartość: były to wideokasety z filmami o starych mistrzach. W pokoju roiło się od artystycznych typów.

— Tutaj! — zawołała Tinsley.

Wsparta na ogromnej kanapie pokrytej kozią skórą Tinsley prezentowała czerwoną aksamitną sukienkę z bufiastymi rękawkami, taką, jakie noszą czteroletnie dziewczynki. Prowadziła szczebiotliwą rozmówkę z księciem Angusem. On z kolei ubrany w pocięte na kawałki i pospinane agrafkami rurkowate spodnie, z jasną grzywą tlenionych włosów, przedstawiał sobą typ pośredni między Sidem Viciousem a Davidem Hockneyem. Na swój dziwny sposób był bardzo seksowny, tak jak seksowny jest niemal każdy artysta, mimo cudacznego wyglądu. Podeszłam do nich, biorąc po drodze lampkę szampana.

— Ello — przywitał mnie książę Angus, kiedy usiadłam obok Tinsley. Mówił dokładnie tak samo jak jeden z Beatlesów.

— Czy on nie jest boski? — zapytała Tinsley, oplatając swe długie ramię wokół jego szyi. — Salome już się w nim zabujała.

— Apetyczna z niej babeczka — przyznał książę.

— Prawda? — zgodziłam się. — O czym ma być twój pokaz?

— Przetransportowałem starą ruderę w stylu Tudorów z Penrith do Nowego Jorku, po czym pomalowałem ją z zewnątrz, by wyglądała jak dworek w stylu naśladującym gotyk z epoki Tudorów, jak rezydencje w Beverly Hills. Nazwałem ją: naśladownictwo naśladownictwa Tudorów. Ha, ha, ha! — zaniósł się czkającym śmiechem. — Czy urocza Salome jest wolna?

— Mogłaby... dla uczciwego muzułmanina — wyjaśniła Tinsley, patrząc na księcia z powątpiewaniem. — Postanowiła teraz umawiać się z mężczyznami tego samego wyznania. Inaczej grozi to dużymi komplikacjami ze strony jej rodziców,

— O — westchnął książę z pewnym rozczarowaniem.

Wtedy właśnie spostrzegłam kątem oka Sophię. Ach, jakże nienawistny był mi jej widok! Jednakże, by nie zepsuć planu Salome, który, jak się domyślałam, miał być diabolicznie przebiegły, udawałam spokój. Sophia stała w drugim końcu pomieszczenia z ręka wspartą o półkę kominka. Spowita w biały kaszmir od stóp do głów, a do tego futrzaną kremową kamizelę. Śmiała się histerycznie wraz z... Salome. Co ta Salome kombinuje? W niewielkiej odległości od nich stały pogrążone w rozmowie Alixe i Valerie. Co jest grane? I gdzie się podziała Lauren? Przecież miała tu być.

Podeszłam do Alixe i zapytałam ją szeptem:

— Co Salome knuje?

— Masz świetny naszyjnik — wtrąciła się Valerie, zanim Alixe zdołała cokolwiek mi odpowiedzieć.

— To od Lanvina. Ale jestem nieoryginalna. Teraz to już wszyscy takie noszą — powiedziała Alixe, obracając w palcach motek czarnych pereł owiniętych delikatną siateczką. — Kłopot w tym, że jak kupuję naszyjnik, muszę mieć do niego od razu pierścionek, prócz tego bransoletkę oraz kolczyki. Nigdy nie ograniczam się do samego naszyjnika. Nie wyobrażasz sobie, ile z tym zawracania głowy — westchnęła. — Ale suknię masz wspaniałą.

— Chciałam dziś pozostać w cieniu, więc to, co włożyłam, noszę zazwyczaj

pod kołdrą— odpowiedziała Valerie.

Było to okropnie nieszczere wyznanie ze strony Valerie. Ubrała się bowiem w niesamowicie obcisłą czarną suknię koktajlową z białą kokardą przewiązaną w talii. Nie miało to nic wspólnego ze strojem do łóżka, to więcej niż pewne.

Nagle rozległo się głośne wołanie od strony kominka.

— Fajsal, kochanie! Chodź tutaj! — wołała śpiewnie Salome i machała w czyjąś stronę. Miała na sobie koktajlową suknię w kolorze czekolady w białe grochy.

Przywoływała kogoś gestami. Wszyscy obejrzeli się, by zobaczyć kogo. Niezwykłej urody Pers, ubrany w idealnie skrojony ciemny garnitur i czerwoną kamizelkę, zmierzał w stronę biblioteki. Wyglądał jak współczesny Omar Sharif. Oczy miał jak czarne diamenty. Mogę przysiąc, że gdy przechodził, wszystkie panie wstrzymały oddech.

— Salome. Najpiękniejsza — powiedział, składając na jej dłoni pocałunek. — A kim jest ten kwiatuszek? — zapytał, zwracając się ku Sophii.

— Jestem Sophia D'Arlan — przedstawiła się Sophia, demonstrując Fajsalowi swą najbardziej uwodzicielską minę.

Nie rozumiałam, co to mogło mieć wspólnego z ukaraniem Sophii, na razie wszystko przybierało całkiem miły obrót. Co Salome obmyśliła? Czy to jej były mąż? No i gdzie jest Lauren? Tymczasem Sophia, w sobie tylko właściwy sposób, jak tygrysica sposobiła się do skoku na swoją ofiarę. Dwadzieścia minut później obydwoje opuścili przyjęcie. Jedyną osobą, która nie wydawała się tym zbulwersowana, była Salome. Wygodnie rozparta na kanapie tuliła się do księcia Angusa. Kiedy drzwi zamknęły się za Sophią i Fajsalem, Salome dosłownie spadła z kanapy i tarzała się po podłodze, zwijając się ze śmiechu, jak egzotyczna nakręcana lalka.

— Jestem genialna! Ha, ha, ha! — zanosiła się szaleńczym śmiechem.

— O co chodzi? — nie rozumiałam.

— Poczekaj, hi, hi, hi, sama zobaczysz i się przekonasz Ale numer wykręciłam!

*

Pomijając osobliwy charakter przyjęcia w intencji zemsty, coś jeszcze uderzyło

mnie tego wieczoru: tajemnicza nieobecność Lauren. Zwłaszcza że na pewno była wprowadzona w plan Salome, cokolwiek to miało być. Z drugiej jednak strony Lauren często nie pojawiała się na imprezach, na których się jej spodziewano. Ale kiedy następnego dnia nadal nie miałam od niej żadnej wiadomości, i co gorsza nie przyszła do pracowni Thacka do umówionej przymiarki, zaniepokoiłam się nie na żarty. Lauren została zaproszona przez któreś z dzieci Warnera na uroczystość wręczenia Oscarów, zamówiła już suknię, jaką chciała mieć na tę okazję, wypisując Thackowi czek na bajońską sumę. Oscarowy wieczór nawet na Lauren robił wrażenie, nie wyobrażałam sobie, by kreacja na tę okazję nie zaprzątała jej uwagi. Poza tym tak bardzo potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o Hunterze, a Tinsley czy Marci były ostatnimi osobami, z którymi chciałabym analizować swoją sytuację. Minęły już dwa dni i nadal nie dostałam żadnej wiadomości od Huntera. Nawet w jego biurze zaczęto się niepokoić. Co się z nim stało?

Zadzwoniłam do Lauren na komórkę. Nie odpowiadała. Kiedy zatelefonowałam do niej do domu, połączenie od razu zostało przekierowane do skrzynki głosowej. Dziwna była też reakcja Thacka. Jak na kogoś, kto znajdował się w trudnej sytuacji finansowej, kto bardzo liczył na to, że ukażą się zdjęcia Lauren w jego kreacji na oscarowej gali, nie wydawał się szczególnie zmartwiony, nawet po fiasku z Niną.

— Popatrz, czy to nie wspaniała toaleta? — pytał, spoglądając na suknię Lauren z zachwytem w oczach. — Sylwetka jak z portretu Johna Singera Sargenta.

Toaleta miała bardzo romantyczny charakter. Biust podkreślony gorsecikiem, w talii mocno zebrana, przechodziła w sutą spódnicę, która spływała do ziemi. Była znacznie bardziej szykowna niż to, co dotychczas oglądało się podczas oscarowych wieczorów.

— Thack, ale jej tu nie ma — protestowałam słabo.

— Za to suknia jest bombowa! — odpowiadał ze śmiechem.

— Nasze rachunki za to wcale nie przedstawiają się bombowo — przypomniałam mu.

— Wszystko będzie dobrze, Sylvie, nie panikuj. No, to kogo jeszcze mam ubrać na rozdanie Oscarów?

Nie miałam serca powiedzieć mu, że nikogo więcej.

*

— Miss Sylvie! Miss! — zawodziła Agata, pokojówka Lauren, dzwoniąc do mnie dwa dni później. Mówiła, z trudem hamując łzy. — Odeszła! Odeszła!

—Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałam. Agata robiła wrażenie zupełnie zdesperowanej.

—Lauren wróciła do domu z Tokio. Potem powiedziała, że wychodzi na pięć minut i... i już nie wróciła. Nie ma jej paszportu i... — tu zaniosła się płaczem.

—Może pojechała na wakacje — podsunęłam, starając się nie zdradzać własnego niepokoju.

—Nigdy nie wyjeżdża, jak jej nie zapakuję. Nigdy. Ona nawet nie wie, jak się pakuje walizkę. Och! Ona chyba nie żyje!

— Agato! — jęknęłam. — To niemożliwe!

—Ale proszę pani, ona zostawiła biżuterię — wyjąkała Agata. — A biżuterię zawsze bierze ze sobą na wakacje!

Jeśli się było Lauren Blount, to wakacje bez biżuterii nie były wakacjami. Agata miała rację. Biżuteria była ostatecznym dowodem. Lauren przepadła.

TLR

23

ZEMSTĄ JEST IRAN

POZNALI SIĘ NA PRZYJĘCIU KOKTAJLOWYM, a po trzech dniach wzięli ślub. W sobotę Sophia D'Arlan, mieszkająca w Paryżu i Nowym Jorku, oraz szejk Fajsal Al-Firaih, z Jeddy w Arabii Saudyjskiej i Genewy w Szwajcarii, którego majątek ocenia się na siedemnaście miliardów dolarów, wzięli ślub cywilny w małym okręgu w Luksemburgu. Fajsal ma już cztery żony, więc najprawdopodobniej było to jedyne miejsce w Europie, gdzie mógł legalnie wziąć kolejny ślub. Małżonkowie planują mieszkać w jego pałacu w mieście Jedda oraz na wakacyjnym ranczo w Iranie.

— Nie wytrzymam! Udało mi się wyswatać Łowczynię Mężów z jedynym znanym mi mężczyzną, który oprócz niej jest mężem jeszcze czterech innych kobiet! — Salome zaśmiewała się kilka dni później, czytając głośno komunikat w rubryce „Śluby" w „New York Timesie". — Ranczo w Iranie? A co powiecie o haremie w Iranie? Nie słyszałaś o muzułmańskim prawie, Sophio?

Fajsal Al-Firaih był wujem byłego męża Salome (wszyscy w tej rodzinie, nawet córki, nosili imię Fajsal, wyjaśniła nam). Widać było, że jest zachwycony swoją nową żoną z Zachodu. Tymczasem Salome zachwycała się samą sobą. Udało jej się osiągnąć cel. Była przekonana, że Sophia już nigdy więcej nie zdoła wejść na ścieżkę niewierności. Marci natomiast najęła adwokata Ivany i oświadczyła, że chce dostać rozwód. Jej życie seksualne nabrało szaleńczego tempa. Postanowiła, że wypełni plan zaliczeń erotycznych jeszcze bardziej ambitny niż ten, który wytyczyła sobie Lauren.

Wiadomości o Lauren nie były takie optymistyczne. Dosłownie zniknęła z pola widzenia. Pisały o tym gazety, a Lauren zyskała nowy przydomek: Znikającej Początkującej Rozwódki. Stało się o niej głośno, niemal tak samo jak o księżnej Dianie, przypisując jej miłosną tragedię, jaka może się wydarzyć w ciągu jednej nocy. Nawet Dominiek Dunne w felietonie w „Vanity Fair" starał się wytropić miejsce jej pobytu, ale bez powodzenia. Niektóre gazety sugerowały, że widziano ją przed kilkoma dniami, jak wsiada na pokład małego samolotu w Teterboro, inne donosiły, że widziano ją pijaną, jak włóczyła się po sklepach bezcłowych na

lotnisku w Genewie, kupując szwajcarskie zegary z kukułką. Można sobie tylko wyobrazić szepty pełne grozy powtarzane na przyjęciach: „Była tak strasznie nieszczęśliwa", „Miała za dużo pieniędzy", „Nie, to brylanty; jak ma się za dużo brylantów w młodym wieku, przynosi to wczesny obłęd", „Gdyby chodziła na gimnastykę pilates, nic podobnego by się nie zdarzyło", „Louis porwał ją i teraz więzi w swej chacie na Alasce. Nie mógł znieść, że ona się dobrze bawiła", „Piła za mało wody. Gdyby wypijała dwa litry wody Evian dziennie, byłaby teraz razem z nami". A moim ulubionym komentarzem było: „Ona ukrywa się w domu Brigitte Bardot we Francji".

Byłam bardzo przygnębiona jej zniknięciem. Mogła być rozpieszczona, mogła być narwana, i to najbardziej ze wszystkich dziewczyn w Nowym Jorku, ale okazała się świetną przyjaciółką, a do tego miała złote serce. Naprawdę przejmowała się losem Salome, Marci i innych koleżanek, mnie zaś egoistycznie brakowało jej troski. Co będzie, jeśli stało się jej coś strasznego? Nie mogłam przestać o tym myśleć. Poza tym niepokój o nią tylko wzmagał mój niepokój o Huntera. Wczoraj zadzwoniono do mnie z jego biura z pytaniem, czy nie miałam od niego jakichś wiadomości. Znaleźli jego kieszonkowy komputer pod stosem papierzysk i zaczęli się poważnie martwić. Upłynęło już pięć dni, od kiedy ostatni raz z nim rozmawiałam. Nawet zapewnienia Miltona, że Hunter ukrył się w jakiejś jaskini, jak prawdziwy mężczyzna, nie przynosiły mi pociechy. Czułam się bardzo samotna i nawet zaczęłam trochę zazdrościć Sophii, która przynajmniej wiedziała, gdzie znajduje się jej mąż.

*

W następny poniedziałek rano powlokłam się smętnie do Café Rafaella na śniadanie, żałując, że nie ma tam ze mną Huntera. Kiedy kelnerka przyniosła dwie kawy z mlekiem i dwa rogaliki, co zwykle oboje zamawialiśmy, zrobiło mi się tak smutno, że nie mogłam jej powiedzieć, aby już więcej nie przynosiła dwóch porcji. Kiedy piłam swoją kawę i spoglądałam na sąsiednią filiżankę, czułam, jakbym się łamała chlebem z duchem. Bezwiednie wzięłam do ręki gazetę, gdy nagle mój wzrok przykuła zapowiedź wydrukowana na pierwszej stronie czerwoną czcionką:

POTAJEMNY ŚLUB POCZĄTKUJĄCEJ ROZWÓDKI!

O szczegółach ubioru i stołu czytaj na str. 3

Przewróciłam kartkę na stronę trzecią. Na czarno-białym zdjęciu Lauren uśmiechała się promiennie. Wokół niej wirowały płatki śniegu, a suknia ślubna z białej organdyny powiewała za nią. Gdzie to było? W Rosji? Przyjrzałam się uważniej fotografii. W tle widać było pękate złocone wieżyczki... Egzotyczny, zimowy pejzaż. Suknia był dopasowana w biuście, ale suta i bujna w'okół jej nóg i stóp, dalej przechodząc w długi tren... Nie do wiary! Przecież to był model Thacka! Zabójcza suknia! Czyżby o wszystkim wiedział? Najwyraźniej tak! Nic dziwnego, że taki był spokojny i wyluzowany tego dnia, kiedy Lauren nie pokazała się w pracowni. Teraz przyjrzałam się uważnie twarzy Lauren. Jej oczy obwiedzione były czarnym eye-linerem, trochę w stylu lat sześćdziesiątych, włosy spływały jej wokół policzków w łagodnych falach. Na szyi miała jakiś wielki klejnot, choć trudno było dopatrzeć się jego kształtu. W jednej ręce trzymała bukiet białych kamelii, a w drugiej papierosa. Cała Lauren! Oczy jej błyszczały, jakby za chwilę miały wybuchnąć szczęściem. Ale gdzie jest pan młody?

Szybko przebiegłam wzrokiem cały tekst:

Najbardziej wytworna rozwódka z Nowego Jorku Lauren ' Blount, córka Hamilla, która kiedyś oświadczyła, że nigdy nie wyjdzie już za mąż, autorka określenia: „początkująca rozwódka", które stosowała wobec siebie i swoich lubiących rozrywki przyjaciółek, wstąpiła jednak w związek małżeński w katedrze Świętego Izaaka w Sankt Petersburgu. Panna młoda ubrana była w suknię z białej organdyny i jedwabiu, uszytej przez młodego nowojorskiego projektanta Thackeraya Johnstona. Powiada się, że suknia miała sto osiemdziesiąt dwa metry ręcznie zwijanego obrąbka, a tren — siedemnaście tysięcy naszytych perełek. Panna młoda nosiła etolę z białych gronostajów, na szyi zaś błękitne brylantowe serduszko, uważane za słynny klejnot należący do księżniczki hiszpańskiej Letycji. Serduszko było prezentem od pana młodego, Gilesa Montereya, o którym niewiele wiadomo. Uważa się, że para spotkała się z okazji spinek Faberge na pokazie w Ermitażu w Sankt Petersburgu. Para znała się od pięciu tygodni. Przed kilkoma dniami panna Blount zniknęła ze swojej rezydencji w Nowym Jorku. Zachodziła obawa, że nie żyje lub została porwana. Poproszona o komentarz nowa pani Monterey, promieniejąca mimo ponaddwudziestos- topniowego mrozu, powiedziała: „Proszę pozdrowić ode mnie wszystkie moje nowojorskie przyjaciółki" — po czym zniknęła za zaciemnionymi szybami mercedesa.

Para wyjechała natychmiast w podróż poślubną, która ma trwać cztery miesiące.

Łza stoczyła się po moim policzku, wszyscy brali ślub, co tylko uwypuklało moją żałość. Patrzyłam, jak na gazetę kapią następne łzy. Ale nagle coś białego weszło w pole widzenia; ktoś podsuwał mi chusteczkę do nosa. Co za wstyd! Zaczerwieniona podniosłam głowę: obok mnie stał Hunter.

— Zrobiłem coś okropnego — powiedział. — Wybacz mi.

TLR

24

NIE MA TEGO ZŁEGO

— Nie — zaprotestowałam, ocierając łzy chusteczką Huntera. — To ja zrobiłam coś okropnego. Kochanie, popełniłam straszny błąd. Myślałam, że masz romans z Sophią, a potem okazało się, że ona uwodzi męża Marci, i... Och, wprost nie mogę uwierzyć, że ci nie ufałam. Taka byłam głupia, żądając rozwodu, a przecież to ostatnia rzecz, której bym chciała. Czy możesz mi wybaczyć?

— Nie — odpowiedział Hunter, patrząc mi prosto w oczy.

Zmartwiałam. Miałam to, na co zasłużyłam. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, przerażona tym, co zrobiłam.

Ale zaraz nastąpiło coś dziwnego. Hunter usiadł przy stole i wziął mnie za rękę. Po czym powiedział:

— Nie muszę ci niczego wybaczać... To nie twoja wina. To ja popełniłem idiotyczny błąd.

Na jego twarzy malował się dziwny wyraz. O Boże, chyba nie chce mi powiedzieć, że jednak miał z Sophią romans? To by było zbyt straszne. Znów nie spuszczałam z niego wzroku, z trudem przełykając ślinę i czekając, co powie.

— Jaki? — zapytałam wreszcie.

— W ogóle angażując Sophię. Wspomniałem jej, jadąc do Londynu, że chciałbym dać ci coś wyjątkowego, co by mogło ci wynagrodzić zepsuty miesiąc miodowy, a ona zaraz zaofiarowała się, że mi pomoże wybrać coś odpowiedniego. Powiedziała, że jeśli skopiuję jej naszyjnik, nie będzie w tym nic niewłaściwego. Byłem głupi. Wiem, jaka ona jest. Powinienem się domyślić, że wszystko będzie aranżowała na swoją korzyść. Żałuję, że ją zatrudniłem. Jeszcze w czasach szkolnych latała za chłopakami. Zawsze wymyślała jakieś historie o sobie i swoich romansach, które przeważnie były kłamstwami.

— Cśś... — przerwałam mu, kładąc palce na jego ustach. — Wolę już nigdy o niej nie słyszeć.

TLR

Chociaż poczułam wielką ulgę, odzyskując Huntera, nadal na samą wzmiankę o Sophii opanowywał mnie gniew. Tyle napsuła. Jedyną pociechą dla mnie była myśl, że już nie wymknie się z więzów życia w Arabii Saudyjskiej.

— Obiecuję ci, że Sophia już nigdy nie będzie mogła się do nas zbliżyć — powiedział Hunter.

— Naprawdę? Rzeczywiście tak myślisz? — odpowiedziałam trochę sztywno.

Mimo że bardzo chciałam uściskać swojego męża, jeszcze nie mogłam dojść do siebie po wszystkim, co zaszło. Hunter wyczuł natychmiast moją rezerwę. Chcąc mnie upewnić, dodał z błyskiem w oku:

— Czy ja kiedykolwiek mówiłem coś, czego nie myślę?

Zastanowiłam się. Prawdę mówiąc, Hunter nigdy nie złamał danych mi obietnic. W końcu odpowiedziałam:

— Nie, nigdy.

Hunter odetchnął z ulgą. Pogładził mnie po policzku. Potem powiedział:

—Nie mogę tego znieść, że widziałaś Sophię z tym samym pięknym wisiorkiem na szyi. Dostaniesz, kochana, ode mnie coś jeszcze piękniejszego.

— Właściwie ten mi się bardzo podoba...

—Szkoda, bo ja już zdążyłem zamówić dla ciebie coś tak wyjątkowego, że nie uwierzysz.

Topniałam jak lody w upalny dzień. Nagle poczułam, jak wzbierają we mnie śmiech i łzy, wspaniała mieszanka. Hunter pochylił się przez stół, by wycisnąć mi na ustach długi pocałunek. Potem wstał, usiadł bliżej mnie na ławeczce I zarzucił mi rękę na szyję. W drugiej ręce trzymał chusteczkę, którą osuszał mi łzy. Czułam się bosko, tak właśnie powinno być.

—Gdzie byłeś w ostatnich dniach? — zapytałam, chociaż już się tym nie zamartwiałam.

— Myślałem.

— Ale gdzie?

— Nieważne.

—Kochanie, muszę cię o coś jeszcze prosić. Żadnych wymijających odpowiedzi, dobrze?

—OK. Odtąd będę wyrażał się jasno i precyzyjnie. Co chcesz wiedzieć? Pytaj o wszystko.

—Dlaczego jesteś taki skryty? Dlaczego znikasz? Te wszystkie tajemnicze telefony, buszowanie po Internecie. I nie mówisz mi, czym jesteś zajęty. Skoro nie miałeś romansu z Sophią to co cię tak absorbowało?

Hunter uśmiechnął się w odpowiedzi i sięgnął do walizeczki. Wyjął z niej płaską brunatną kopertę i wręczył mi ją. Na wierzchu widniał napis: MIESIĄC MIODOWY NUMER 2.

— Jejku! — zawołałam, zachwycona. Oddałam mu zaraz kopertę.

—Nie zajrzysz nawet, żeby zobaczyć, dokąd jedziemy? — zapytał.

—Nie. Panna młoda nigdy nie wie, dokąd pojedzie w swoją podróż poślubną. To powinna być niespodzianka.

—Masz rację. Cieszę się, że ufasz mi na tyle, by wierzyć, że zabiorę cię w jakieś miłe miejsce.

—Pewnie, że ci ufam, kochany — zapewniłam go. Nie mogłam jednak powstrzymać się, by mu nie wetknąć szpilki. — Nawet po tym, jak odwołałeś nasz pierwszy miesiąc miodowy.

—Jesteś bardzo dzielna — rzekł, wkładając mi do ust kawałek rogalika. — Wyglądasz, jakbyś nie jadła od tygodni.

—Nie mogłam jeść, kiedy zniknąłeś — powiedziałam z pełnymi ustami. — A propos, uwierzysz, że Lauren właśnie wyszła za mąż?

Pokazałam mu gazetę z tą informacją. Nie wydawał się specjalnie zdziwiony.

—Nieraz ci mówiłem, że ani się obejrzymy, a ona wyjdzie za mąż i będzie miała trójkę dzieci — przypomniał mi.

— Ale... za Gilesa Montereya? Przecież on był zaręczony.

— Mówiłem ci, że będzie z nich idealna para.

Rzeczywiście Hunter bezbłędnie wyczuwał miłosne ciągoty Lauren, których

nawet ja nie potrafiłam odgadnąć.

—Kochany, zadam ci jeszcze jedno pytanie, przyrzekam, że to będzie ostatnie, dobrze?

— Śmiało — odpowiedział. — Pytaj, o co tylko chcesz.

—Kim jest ten twój koleżka z college'u, do którego wymykałeś się na spotkania? To mnie naprawdę dręczy.

— Ach, ten... A czy nie możemy zaczekać z tym do miodowego miesiąca? Wtedy wszystko ci opowiem, obiecuję. Zresztą poznasz go.

— To jeszcze lepiej — zgodziłam się. — Mam tylko nadzieję, że nie będzie to miesiąc miodowy ze wszystkimi twoimi kolegami ze szkoły?

Hunter przysunął się bliżej. Przytknął usta do mojego ucha i szepnął:

— A teraz, kochanie, ponieważ nie widzieliśmy się od kilku dni, to może byśmy tak poszli do domu i... wiesz co...

— Mamy dziś poniedziałek, a co z pracą?... — zaprotestowałam bez przekonania. Ale... Hunter wyglądał tak pociągająco. Prosto z samolotu, trochę rozczochrany, wydał mi się niezwykle seksowny. Zresztą tak mi go brakowało. Kusił mnie.

— Właściwie uważam, że powinniśmy... ty też wiesz co.

25

MIESIĄC MIODOWY — PRAWDZIWY

W swoim dzienniczku każdego dnia podczas naszej podróży zapisywałam niemal to samo:

Miesiąc miodowy. Łódź. Mąż. Bosko.

Miesiąc miodowy to rozkosz. Tak po prostu jest. Od świtu do zmierzchu, od kolacji do śniadania i cały czas w przerwach, czujesz się jak para z „Eternity Bride". W przeciwieństwie do pierwszego miesiąca miodowego, ten był cudowny. Pod koniec stycznia ja i Hunter zostawiliśmy za sobą zasypany śniegiem Nowy Jork i po siedmiu godzinach, które minęły tak szybko, jakby to było siedem minut, mogliśmy zrzucić buty i wstąpić na tekowy pokład pięknej żaglówki, nazwanej bardzo odpowiednio — *Szczęście*. Zacumowana była w Gustavia Harbor w St. Bart, małej zatoczce otoczonej zielonymi wzgórzami, upstrzonymi tu i ówdzie żółtymi i różowymi letnimi domkami.

Przywitał nas kapitan Antonino, ogorzały Włoch. Ubrany był w bermudy i nieskazitelnie białą koszulkę polo, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne w szylkretowej oprawie. Idealnie pasował do łodzi, tak samo zresztą jak pozostałych sześciu członków jego załogi. Każde krzesło, każdy leżak obciągnięto płótnem w tym samym kolorze co bermudy Antonina, części drewniane albo polakierowano na lśniącą biel, albo wypolerowano i pomalowano na kolor ciemnego orzecha. Nie sposób było obejść tych dwóch kolorów, człowiek czuł się jak otoczony zewsząd lodami kawowymi. Szlafroki frotte też miały kolor opalenizny, naznaczone białą literką H, do tego pasująca zastawa stołowa w paski, nawet klapki do kąpieli utrzymane były w tej samej kolorystyce.

Przez następnych kilka dni pływaliśmy leniwie po zatoce

i mniejszych zatoczkach St. Bart. Codziennie robiliśmy to samo: pływanie, pieszczoty, opalanie. Naprawdę, niczym innym się nie zajmowaliśmy. Zresztą nie potrzebowaliśmy większej odmiany. Zarzucaliśmy kotwicę w jakiejś uroczej zatoczce, schodziliśmy na ląd, spacerowaliśmy po miasteczku, następnie wypijaliśmy *citron presses* w kawiarnianym ogródku, czytając „Herald Tribune". Po południu żeglowaliśmy dalej w jakieś ustronne miejsce, by tam popływać i po-

szaleć na nartach wodnych.

Czasem jakaś inna łódź przybijała do tej samej zatoki i kotwiczyła w przyzwoitej odległości, byśmy sobie nawzajem nie przeszkadzali, ale na tyle blisko, by móc się obserwować przez lornetkę. Mogliśmy godzinami tak patrzeć, co się dzieje na innym pokładzie, bo na wodzie uznawane jest to za dopuszczalny sport. Bez końca oddawaliśmy się fascynującym spekulacjom, kim mogą być te czarne punkciki na odległym pokładzie i co tam robią.

Oprócz tego uprzyjemnialiśmy sobie czas poprzez mnóstwo jedzenia i częste popołudniowe kochanie się, co jest obowiązkowym zajęciem podczas miodowego miesiąca, i co, stwierdzam to z całą stanowczością, smakuje znacznie lepiej niż seks uprawiany kiedy indziej. Po tym następowała herbata ze świeżo pieczonymi ciasteczkami, które byty wyborne. Herbata i te ciasteczka stały się moim najbardziej ulubionym posiłkiem podczas całego miesiąca miodowego. Jest coś wygodnego, a przy tym niepozbawionego pewnej elegancji, w obyczaju zarzucania na wściekle różowe bikini kaftana w kolorze szmaragdów sygnowanego przez Allegrę Hicks, by spocząć w cieniu, popijać herbatę i pogryzać świeżo upieczone imbirowe ciasteczka, a wszystko to bez schodzenia z pokładu. Podczas takiej sjesty oddawaliśmy się beztroskim, romantycznym pogawędkom. Nasze rozmowy w czasie podwieczorku dotyczyły na przykład moich zachwytów, jak to Hunter świetnie wygląda w swoich nowych villebrequin- sach, albo rozważań, jakie ciasteczka dostaniemy nazajutrz do herbaty, czy jego wyznań, że ja, nabrawszy trochę ciała, prezentuję się jeszcze lepiej.

Któregoś popołudnia wydarzyło się coś nowego. Zakotwiczyliśmy w zatoczce w pobliżu wioski rybackiej o nazwie Corossol. W przybrzeżnych skałach aż gęsto było od kolibrów, które obsiadły wszystkie gałęzie drzew i krzewów uroczymi, a woda jarzyła się na niebiesko jak neonówka, jednym słowem, było to idealne miejsce. Po przeciwnej stronie zatoki znajdowała się zupełnie pusta kamienista plaża. Po lunchu odpoczywałam z zamkniętymi oczami, wyciągnięta na leżaku, Hunter natomiast pogrążył się w lekturze książki. Było cicho, jeśli nie liczyć łagodnego pluskania wody o burtę łodzi i brzęczenia cykad. Cała zatoka należała do nas; trudno sobie wyobrazić bardziej prywatną plażę. Od czasu do czasu przelatywała mewa, jakby sprawdzając, co się dzieje na naszym pokładzie. Jedyny ludzki głos, jaki mogliśmy tu usłyszeć, to dyskretne pytanie któregoś z załogantów, czy mamy ochotę czegoś się napić.

— O, cześć — nagle odezwał się Hunter.

—Co mówisz? — zapytałam niespiesznie. Nawet nie chciało mi się otwierać oczu w tym upale. Tak przyjemnie było leżeć jakby w półśnie i rozkoszować się tym stanem.

— Może chciałabyś to zobaczyć — zauważył Hunter.

Z trudem otworzyłam powieki i zaraz sięgnęłam po okulary przeciwsłoneczne. Usiadłam. Trochę dalej, w okolicach plaży, zobaczyłam duży jacht zmierzający do przystani.

—Czy nie za blisko podpłynęli? — zapytałam, słysząc szczęk łańcucha i plusk wrzucanej do wody kotwicy. Wystarczy, jeśli pięć minut przebywa się w zatoce, już zaczyna się ją uważać za swoją prywatną własność.

—Piękna łódź — zachwycił się Hunter, przyglądając się jej przez lornetkę. Po chwili podał mi ja. — Popatrz tylko.

Przez szkła widać było wyraźne zarysy jachtu — musiał mieć około czterdziestu pięciu metrów długości. Z przodu dwa wielkie maszty. W eleganckim, błyszczącym niebieskim kadłubie połyskujące fale oceanu odbijały się jak w lustrze.

—Nie mam nic przeciwko udostępnieniu zatoki temu jachtowi, jest wspaniały — powiedziałam po bliższym przyjrzeniu się łodzi.

Jacht był nowiutki, miał dwa pokłady, na nich granato- wo-białe obicia mebli z bawełny. Skierowałam lornetkę na rufę, by przeczytać imię jednostki.

—*Au Bout de Souffle* — przeczytałam głośno. — „Do utraty tchu”. Świetne imię dla jachtu.

—Prawda? — zgodził się Hunter. — Co jeszcze tam mamy ciekawego?

—Widzę załogantów uwijających się na pokładzie — wypatrzyłam spod zmrużonych powiek. — O, patrz, a tam, na dolnym pokładzie chodzi mężczyzna... O, a tam jego żona... Ależ ona elegancka, niesamowicie. Ma na sobie nieprawdopodobnie króciutki kaftan haftowany złotem. A jakie ma opalone nogi i zgrabniutki tyłeczek.

Skierowałam lornetkę na twarz dziewczyny. Ogromne okulary przeciwsło-

neczne niemal całkowicie ją zasłaniały, na głowie miała zamotany jedwabny szal w turkusowym kolorze, tworzący coś w rodzaju turbanu. Wyglądała jeszcze bardziej wytwornie niż Lee Radziwiłł spędzająca w latach sześćdziesiątych wakacje na Capri. Wdałam się w dalsze komentarze na temat jej stroju i wyglądu, co nieco rozbawiło Huntera.

— Patrz, teraz zapala papierosa. O rany, ale ma piękne złote bransoletki, bardzo lubię, jak dziewczyny noszą na plaży biżuterię. To takie dekadenckie. Zabawne, ona ma na szyi przepiękne perły... Czekaj! Hunter! — zawołałam, podając mu lornetkę. — Czy to nie Lauren? I Monterey? Tak, to na pewno ona.

Hunter uśmiechnął się i wziął ode mnie lornetkę.

— Uhm. To z całą pewnością ona, w dodatku z jakimś mężem — orzekł.

W ogóle nie wydawał się zdziwiony. Ja natomiast wychodziłam ze skóry z ekscytacji.

— Chodź — powiedział wreszcie Hunter, biorąc mnie za rękę. — Przywitajmy się z nimi.

Dwadzieścia minut później francuski kapitan jachtu *Au Bout de Souffle* pomagał nam wejść na pokład. Lauren I Giles stali obok siebie, czekając na nas. Nie do wiary: Lauren wyszła za mąż! Świeżo poślubieni małżonkowie promienieli szczęściem. Giles, niesamowicie opalony, miał na sobie różowe kąpielówki, Lauren zdążyła już się przebrać I zmienić biżuterię. Teraz miała na sobie biało-czekoladowy kostium kąpielowy w paski i bez pleców. Na serdecznym palcu nosiła wielki pierścień z kości słoniowej z topazem, włosy zaczesała gładko w koński ogon. Małżeństwo najwyraźniej jej służyło. Wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco niż zazwyczaj, szczególnie na tle najelegantszego jachtu, jaki kiedykolwiek w życiu oglądałam.

—Cześć! — zawołała Lauren, ściskając mnie serdecznie. Do Huntera zwróciła się ze słowami: — Hunter, jesteś gwiazdorem.

Tymczasem Hunter i Giles uściskali się jak starzy przyjaciele. Wydało mi się to dziwne.

—Cieszę się, Hunter, że cię znów widzę — powiedział Giles.

—Stanowczo za długo to trwało — odpowiedział Hunter, klepiąc go po ple-

cach, jak to mężczyźni mają w zwyczaju.

Dziwne. Przecież nie mogli być przyjaciółmi. Nawet się nie znali, o ile mi wiadomo. Spojrzałam pytająco na Huntera.

—Czekaj, czy wy się znaliście już przedtem? — zapytałam podejrzliwie.

Hunter uśmiechnął się przebiegle.

—Kochanie, powiem ci coś zabawnego. — Mrugnął do mnie. — Giles i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi z college'u, już kiedyś ci o tym wspominałem.

— Co?! — wykrzyknęłam.

—Najlepszymi przyjaciółmi — dodała Lauren, roześmiana od ucha do ucha. — Jeden za drugiego w ogień by wskoczył, aż mnie to czasem niepokoi. On ci jeszcze nie mówił?

Popatrzyłam na Lauren. Potem na Gilesa, a później znów na Huntera. Byłam kompletnie zbita z tropu. Widząc na mej twarzy niezmierne zdziwienie, obaj wybuchnęli gromkim śmiechem.

—Mówiłem ci, że ich skojarzę, nie pamiętasz? — przypomniał mi Hunter.

Giles Monterey miał być tym tajemniczym szkolnym kolegą? Teraz nie posiadałam się ze zdziwienia, że nie odkryłam tego już dawno temu.

— Ależ Hunter, pamiętasz, jak na Boże Narodzenie mówiłeś, że twój przyjaciel przyjechał do miasta, a ja sugerowałam, żebyśmy się wszyscy razem spotkali, i chciałam zaprosić Lauren, a ty byłeś temu zdecydowanie przeciwny — zauważyłam urażona.

To było wtedy, gdy moje podejrzenia w związku z Sophią sięgały zenitu. Pamiętam, jak myślałam, że to z nią Hunter ma się spotkać. Całą sytuację oceniałam najzupełniej fałszywie.

— Było już na to za późno, kochanie. Oni zdążyli się już poznać w Moskwie. Giles i ja parę miesięcy wcześniej obmyślaliśmy odpowiednią strategię. Przyjście Lauren właśnie wtedy zrujnowałoby nasz misternie obmyślony plan.

— To prawda — zachichotała Lauren. — To by mogło okazać się dla nas okropne! — Weszła na kręte schody, znajdujące się na środku pokładu. — Chodźcie na górę. Tam jest wspaniały hamak.

Poszliśmy za nią. Górny pokład okazał się bardziej awangardowy, pod jego zadaszoną częścią stały białe rozłożyste kanapy. Hamak, usytuowany bliżej dziobu, kołysał się łagodnie na wietrze. Było tu niemal tak samo romantycznie jak na naszym *Szczęściu*, chociaż, jak uznałam w cichości ducha, *Au Bout de Souffle* wydawał się zbyt rozległy, by czuć się tam przytulnie i intymnie. Wszyscy rozsiedliśmy się na kanapach, z wyjątkiem Gilesa, który zapytał:

— Ktoś się czegoś napije?

— Ja z przyjemnością wypiję mojito — poprosiłam.

— Domową lemoniadkę proszę — powiedziała Lauren, posyłając Gilesowi całusa.

Gdy Giles odszedł przygotowywać napoje, zostałam sama z Lauren i Hunterem.

— Nie mogę uwierzyć, Hunter — zawołałam. — Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego pozwoliłeś, bym tak długo zamartwiała się o Lauren i całą aferę z Gilesem? A co z jego narzeczoną? Co się z nią stało? Naprawdę przesadziłeś.

Z jednej strony cieszyłam się z takiego obrotu spraw ze względu na Lauren, ale czułam się też trochę wystrychnięta na dudka.

— Sylvie, ja sobie tę narzeczoną po prostu wymyśliłam, ona nigdy nie istniała — przyznała Lauren.

— Jak to: wymyśliłaś ją? — nadal nie rozumiałam.

— Nie pamiętasz? Tamtego dnia na rozgrywkach polo, kiedy zapytałam go dla kogo przeznaczone jest serduszko księżnej Letycji, odpowiedział: „Powiedzmy, że będzie to prezent zaręczynowy", co nie znaczyło, by miał na myśli konkretną osobę — wyjaśniła Lauren. — Wtedy po prostu wyobraziłam sobie, że ma jakąś wspaniałą narzeczoną ale wcale nie miał. Powiedział mi później, że postanowił ożenić się ze mną w chwili, w której mnie zobaczył. Czy to nie romantyczne? Nawet nie wydaje się prawdziwe, nie sądzisz?

— Ale ty, Hunter, dlaczego nie wyprowadziłeś mnie z błędu, kiedy tyle razy mówiłam ci, że Lauren zakochała się w mężczyźnie, który jest zaręczony? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on jest wolny? — zapytałam.

Hunter nie odpowiedział od razu. Patrzył na ocean i ważył w myślach odpowiedź. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie łagodnym pluskiem bijących o burtę fal.

— O ile cię znam, pobiegłabyś zaraz do Lauren i wszystko jej radośnie wypaplała. Nie mielibyśmy dzisiaj tej pięknej *love story* — powiedział wreszcie ze śmiechem. — Giles wymógł na mnie zobowiązanie, że utrzymam wszystko w tajemnicy. On oszalał na punkcie Lauren. Gotów był oddać jej to brylantowe serduszko, ale wiedział też, że jeżeli okaże zbyt daleko idące zaangażowanie, ona się wycofa. Poza tym udzielałaś mi znakomitych informacji o stanie uczuć przyjaciółki, które natychmiast przekazywałem Gilesowi. Jestem pewien, że nie mówiłabyś mi tego wszystkiego, gdybyś wiedziała, co planujemy.

Prawie nie wierzyłam własnym uszom. Jeżeli dobrze zrozumiałam, to Hunter pozwolił mnie i Lauren wierzyć, że Giles jest zaręczony, a tymczasem spokojnie przekazywał mu wieści o jej uczuciach, co zwiększyło szanse Gilesa na poślubienie jej.

— Twój mąż mnie przejrzał, za co mu jestem wdzięczna — przyznała Lauren. — Zaręczony mężczyzna jest znacznie bardziej atrakcyjny niż ten stanu wolnego, zawsze tak twierdziłam. Deklaracja, że brylantowe serduszko dostanie jego przyszła żona, wydała mi się taka romantyczna, ale z drugiej strony pomyślałam sobie: to nie będę ja. Od razu się w nim zakochałam.

Hunter miał rację. To była piękna *love story.* Wtedy na pokład wrócił Giles, niosąc tacę z napojami.

— Wiecie, że cytryny są tutejsze? — zagaiła Lauren, biorąc szklankę lemoniady. Gdy Giles rozdawał drinki, dodała jeszcze: — Nigdy bym za ciebie nie wyszła, gdybym wiedziała, że jesteś do wzięcia, wiesz o tym, kochanie, prawda?

Giles uśmiechnął się i pogładził ją czule po włosach. On naprawdę ją wielbił. A po chwili powiedział:

— Swoje szczęście zawdzięczam Hunterowi. On to wszystko obmyślił. Zadziwiające, ale twój mąż, Sylvie, jest naszym kupidynem.

— Zgadza się. Mój mąż jest święty — podsumowałam. — OK, dość już o tym.

Wtedy Lauren odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy. Jej koński ogon kołysał się na tle przesyconego solą oceanu.

— Widzisz, Sylvie, kiedy twój mąż mówi, żebyś mu ufała, to możesz mu ufać — powiedziała.

Spojrzałam na Huntera. On też na mnie popatrzył, a w jego spojrzeniu było coś bardzo ciepłego. W tej jednej krótkiej chwili odniosłam wrażenie, że idealnie się rozumiemy. Wierzyłam mu bezgranicznie.

— Wiem — powiedziałam, czując, jak przenika mnie szczęście. Tyle było we mnie radości, tyle zadowolenia, że czułam je w każdym zakamarku mego ciała.

Lauren osuszyła swoją szklaneczkę lemoniady.

— A teraz, kto nabrał ochoty na popołudniową porcję tequili? — zapytała, rozglądając się za stewardem.

Co za ulga: mimo statusu mężatki Lauren ani trochę się nie zmieniła.

*

— O Boże, jak świetnie jest spędzać drugi miesiąc miodowy — westchnęła Lauren. — O niebo lepszy od miodowego miesiąca rozwodowego.

Słońce chyliło się ku zachodowi, obie leżałyśmy w ogromym hamaku, kołysane delikatnie łagodnym wieczornym wiaterkiem. Giles i Hunter, korzystając z niskiej fali, poszli poćwiczyć surfowanie. W pewnej chwili Hunter przemknął niedaleko na desce i zanim wślizgnął się na falę, udało mu się przesłać mi pocałunek.

— Co za popis — powiedziałam, w głębi duszy dumna z niego.

— Wiesz, Sylvie, Hunter jest najlepszym mężem na świecie, oczywiście nie licząc mojego. Chyba nigdy nie będziesz go miała dosyć — powiedziała Lauren. — Przez cały czas wiedział dokładnie, co się dzieje, ale nie pisnął ani słowa, żeby niczego nie zepsuć. A i ja sama jestem dla ciebie lepszą przyjaciółką, teraz, kiedy mam status mężatki.

— Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie był ani trochę zaskoczony wiadomością że wyszłaś za mąż. Taki tajemniczy.

— Co byś powiedziała na *mille-feuille?* Mamy na pokładzie francuskiego cu-

kiernika.

— Chyba jest trochę za gorąco na coś z pieca — odpowiedziałam, sącząc swoje chłodne mojito. — Twoja suknia ślubna była zjawiskowa.

Lauren przymknęła oczy, jakby przywołując te piękne chwile.

— Szkoda, że nikt nie widział jej w rzeczywistości — westchnęła. — Thack jest genialny. Po tym zdjęciu w „Post" dostał masę nowych zamówień.

— A wiesz, Nina Chlore chciałaby mieć taką samą suknię, tylko w wersji niebieskiej, na wieczór oscarowy. Miałabyś coś przeciwko temu? — zapytałam.

— Pochlebia mi, że taka wyrocznia mody jak Nina inspiruje się kimś tak skromnym jak ja — powiedziała cierpko Lauren. — Chodźmy na dziób łodzi popatrzeć trochę na delfiny.

To mówiąc, wstała z hamaka, a ja za nią. Poszłyśmy na dziób i przechylone przez poręcz spoglądałyśmy w błękitną otchłań. W pewnym momencie Lauren wskazała szary cień przemieszczający się po lewej stronie.

— Patrz — szepnęła. — To żółw. Uwielbiam żółwie. Brzydactwa, ale jakie sprytne. Jak ci się wydaje, czy zniszczę ten kostium kąpielowy od Thomasa Maiera, jeśli skoczę do wody na plecy?

W tym momencie z wody wynurzył się delfin, jakby chciał zaczerpnąć powietrza. I równie nieoczekiwanie zniknął pod wodą.

—O, odpłynął — pożałowała Lauren. — Czy mówiłam ci już o Salome?

—Co takiego? — zapytałam, odsuwając się od poręczy I patrząc na Lauren.

— Wychodzi za mąż.

— Nie mów. Za kogo?

—Za Angusa McConnella, tego szkockiego chłopaka. Okazało się, że on faktycznie jest księciem. Jest z Makbetów czy jakoś tak. Pseudonim był prawdziwym arystokratycznym tytułem. Cała jej rodzina z nim rozmawia. Jej ojciec powiedział, że Salome może wyjść nawet za niewiernego, jeśli tylko pochodzi on z królewskiej rodziny. Będzie się teraz tytułowała księżna Angusowa.

— Coś takiego!

—Naprawdę. Tinsley natomiast uciekła z chłopakiem roznoszącym świeże sałatki, mimo że była zaręczona ze swoim portierem, który jest zdruzgotany. Ten od sałatek zabrał ją z jej domu, podjechał niesamowicie długą limuzyną, która sięgała stąd do Alaski. Tinsley jest w nim tak zakochana, że nawet nie udaje zakłopotania całą sytuacją. O, patrz, jeszcze jeden delfin! — zawołała, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

—A słyszałaś, że Marci myśli o tym, by zejść się z powrotem z Christopherem?

— Naprawdę? — zdziwiła się Lauren.

Zamyśliła się na chwilę, wpatrując się w morze. Potem znów zwróciła na mnie wzrok i powiedziała:

— Mam nadzieję, że do tego dojdzie. Bez względu na to, co kto mówi, bycie mężatką jest stokroć bardziej podniecające niż bycie rozwódką. W małżeństwie jest intymność. Teraz wiem, czego mi brakowało. Te wszystkie przyjęcia, wakacje, nawet orgazmy — tu Lauren nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem — nawet te wielokrotne, wcale nie były znowu takie świetne. Nie ma nic lepszego niż być byłą początkującą rozwódką. Oczywiście jestem trochę zawiedziona samą sobą.

— Dlaczego?

Lauren bawiła się przez chwilę pierścionkiem, zsuwając go z palca serdecznego i wsuwając na powrót, zanim odpowiedziała z filuternym błyskiem w oku i śmiertelną powagą w głosie:

—Zawiodłam na całej linii w swoim Planie Zaliczeniowym.

Popatrzyłam na nią pytająco.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

—Nie planowałam upolować nowego męża... — odrzekła. — I w dodatku zakochać się w nim do szaleństwa.

—Nie nazwałabym tego niepowodzeniem — zauważyłam.

—I nadal nie potrafię ustawić samodzielnie kina domowego — nie ustępowała. — A to takie niewygodne.

Lauren była zakochana po uszy w swoim mężu. To mnie zaskoczyło. Nigdy

bym nie sądziła, że to powiem, ale tak jest. Rozwiedzione dziewczyny z Nowego Jorku wkładają równie wiele wysiłku w znalezienie nowego męża, co przedtem w pozbycie się go.

TLR

Podziękowania

Nie napisałabym *Debiutantek z Park Avenue,* gdyby nie inspiracja pewnych nadzwyczaj szykownych, niezwykle błyskotliwych i bardzo oryginalnych nowojorskich panienek. Pragnę podziękować wszystkim świetnym i prawdziwym Początkującym Rozwódkom, które szeptem powierzały mi swoje sekrety i pomagały mi pisać tę książkę, wykazując przy tym wielkie poczucie humoru. Wam wszystkim — wiecie, kogo mam na myśli — serdecznie dziękuję, nie naruszając jednak waszej anonimowości.

Chciałabym również podziękować swojemu nowojorskiemu wydawcy, Jonathanowi Bumhamowi, za redagowanie książki, wiersz po wierszu, bez czego może nie byłaby tak czytelna. Wielkie dzięki, Juliet Annan z Penguin w Wielkiej Brytanii. Wyrazy wielkiej wdzięczności niech przyjmie mój agent, Erie Simonoff, który świetnie wypełniał swoją misję. Dziękuję też Luke'owi Janklowowi za to, że mnie podtrzymywał na duchu. Harvey Weinstein, Rob Weisbach, Kristin Powers i Judy Hottensen to znakomity zespół, z którym wspólna praca to wielka przyjemność. A Sandi Mendelson jest wspaniałym wydawcą.

Następujące osoby zasługują na moją wielką wdzięczność, gdyż mają swój udział w zainspirowaniu mnie do napisania tej książki w ogóle i w szczególe — począwszy od dzieł sztuki zdobiących ściany apartamentów Lauren, a skończywszy na biżuterii, jaką nosiła w łóżku: Bob Cohen, Pamela Gross, Susan Campos, Miles Redd, Daniel Romauldez, dr Genevieve Davies, Blaire Voltz-Clarke, Jeoffrey Munn z firmy Wartski, cały personel z A La Vieile Russie, Gulia Constantini, Samantha Gregory, Anthony Todd, Tinsley Mercer-Mortimer, Beth Blake, Kara Baker, Miranda Brooks, Milly de Cabrol, Holly Peterson, Cleopatra, NG, Mufly Potter Aston, Vicky Ward, Charlotte Sprintus i Samantha Cameron.

Pragnę także podziękować Annie Wintour za wspieranie mnie w mej pracy, zarówno w „Vogue", jak i poza pismem; wielkiej rodzinie Sykesów za ich lojalność i poparcie, Carly Fraser za niezmordowane sprawdzanie faktów, Ann-Louise Clegg za pomoc w redagowaniu, a Emily Berkeley z Louis Vuitton

za znalezienie pięknych skórzanych walizek na okładkę[9].

Najgorętsze podziękowania należą się mojemu mężowi, Toby'emu Rowlandowi, za czytanie w nieskończoność *Debiutantek z Park Avenue* oraz za zabranie mnie do niezwykłych miejsc, które stały się dla mnie dodatkową inspiracją.

TLR

9 Mowa o amerykańskim wydaniu.